

Bohdan Petecki

Kogga z Czarnego Słońca

1.

Chodnik przemknął estakadą, spinającą zielone skarpy trzeciej obwodnicy. Opuściłem wewnętrzny krąg miasta. Droga biegła lekkimi zakosami pod górę, a dalej niknęła w dół, pomiędzy zadrzewionymi tarasami, schodzącymi z niewysokich wzniesień.

Było pusto i cicho. Nawierzchnie chodników lśniły jak wypolerowane. Korony drzew stały bez ruchu. Jak okiem sięgnąć, śladu żywego ducha.

Pod następnym mostkiem, ślimacznica wyprowadzająca na tachostradę, sunął ciężki pojazd. Od wysokiego syku jego sprzężarek przez moment zamrowiło mi w szczękach. Na owalnej platformie posuwał się powoli jeden z tych wrzecionowatych, przypłaszczonych domków, podobnych do pękatych łodzi, odwróconych do góry dnem. Przeprowadzka. Ostatnio w trivi pełno było ofert proponujących zamianę parcel na bardziej górzyste lub nadwodne, na odkrytej płaszczyźnie bądź zalesione. Cóż, moda jak każda inna. Jej ubocznym efektem był fakt, że wszystkie budowane ostatnio domki stały się do siebie podobne. W każdym razie musiały mieć identyczne podstawy, żeby ich mieszkańcy mogli w każdej chwili wezwać transporter, jak ten, który dziesięć metrów pode mną piał się teraz mozolnie na tachostradę, i by na nowym miejscu fundamenty przenośnych willi nie wymagały żadnych przeróbek. Oczywiście chodzi o domki stawiane w dzielnicach zewnętrznych. Ale któż chciałby teraz mieszkać w śródmieściu?

Minałem estakadę i znalazłem się w najwyższym punkcie chodnika. Pasma wzgórz na bliskim widnokregu zapłonęło czerwienią. W płytkich wąwozach, łagodnych, zielonych żlebach i zakłęśnięciach terenu z wolna gęstniał fioletowoczarny mrok. Kiedy droga obniżyła się, spomiędzy brzoź, sosen i modrzewi poczęły strzelać ku mnie ostre, sekundowe błyski. Fotokomórki uruchamiały szklane ściany jajowatych sadyb, zawczasu chroniąc ludzi przed chłodem. Te ściany opadały teraz jak skrzydła, przechwytyjąc w ruchu ostatnie promienie słońca.

Chodnik biegł już wąskim pasem wśród zieleni. Spokój w powietrzu i na ziemi stał się niemal dotykalny, trafiał do wszystkich zmysłów, gładził włosy, skórę twarzy i uciszał myśli. Poeci potrafia zachłystywać się takim spokojem i robią to z czystym sumieniem, odkąd tak samo cicho i bezpiecznie jest wszędzie tam, gdzie mieszkają ludzie. Bywały chwile, w których poddawałem się nastrojom, wspominając, że mam swoją część w ładzie i harmonii naszego świata. W tym, że ludzie są syci, pewni jutra i że nie ma wśród nas nikogo, kto nie mógłby sobie pozwolić na wrażliwość. Dziś jednak ten majowy wieczór, pełen gasnącego światła, nie ofiarował mi niczego prócz pytań, na które nie było odpowiedzi innych niż fałszywe.

Przejechałem jeszcze ze trzydzieści metrów, po czym zeskoczyłem na wąską ścieżkę, wysypaną jasnoniebieskim żwirem. Cztery znane mi kamienne schodki prowadziły do niskiej furtki pod krótką pergolą, której cienkie rusztowanie oplatały kolczaste gałązki. Zatrzymałem się na wprost oka domowego komputera. Chwilę później furтка rozpląnęła się w powietrzu, w głębi ogródka błysnęły otwierane drzwi i na tle mrocznego wnętrza, rozjaśnionego jedynie resztkami słonecznego światła, wpadającymi przez boczne okna przedsionka, stanęła Avona.

Kiedy się zbliżyłem, skinęła głowa, a potem lekkim ruchem odrzuciła do tyłu kosmyk długich, kasztanowych włosów, który opadł jej na policzki. Następnie cofnęła się o krok.

- Wejdz - powiedziała. Głos miała niski, matowy.

Wchodząc do pokoju odruchowo zerknąłem na kompon. Za pięć ósma. Nie za późno na wizytę. Ale musiałem przyjść tutaj, nawet gdyby było już po północy.

Wprowadziła mnie do pracowni. Panował w niej półmrok. Jedna ze ścian

nadal była otwarta i wraz z nikłą poświatą zachodu do wnętrza przedostawał się głośny śpiew kosa, który akurat w tym momencie rozpoczął swój wieczorny program. Tuż za ustawionym ukośnie pulpitem, nie wiadomo, czy już w ogrodzie, czy jeszcze w głębi pokoju, kwitły dwa rozłożyste migdałowce.

Podszedłem prosto do niskiego, obrotowego fotela i usiadłem.

- Napijesz się czegoś? - spytała, wywabiając ruchem ręki beczkowaty bufecik, który przemknął przez pokój, by zatrzymać się tuż przede mną.

- Tak - skinałem głową. - Wszystko jedno czego. Muszę z tobą porozmawiać.

Podawała mi szklaneczkę napełnioną do połowy złotawym płynem.

- I ja tak myślę - powiedziała cicho, bez uśmiechu.

Odwrociłem się z fotelem w stronę ogrodu. Kiedy przyszedłem tutaj pierwszy raz, także o zmierzchu, ten widok sprawił, że zapomniałem o całym świecie. Nie mogłem oderwać od niego oczu. Ale nie znałem jeszcze wtedy podmiejskich dzielnic, nie wiedziałem, że niemal wszyscy ludzie mieszkają w takich właśnie, wkomponowanych w zieleni szklanych altanach. W ogóle niewiele wiedziałem o Ziemi. Od siedemnastego roku życia tłukłem się po stacjach satelitarnych, by wreszcie osiąść w filii Centrali Obsługi Gigama na orbicie Plutona. Razem z Nettem. I razem z nim przeniosłem się po kilku latach do sztabu Centrali, w kraterze Kopernika na Księżycu. Wtedy zaczęliśmy częściej bywać na Ziemi. Także razem. Nie był moim przyjacielem. Ale nie przyjaźniłem się z nikim. Tacy jak my rzadko miewają przyjaciół. Nie wynika to ani z konieczności, ani też z przemyśleń. Może ich nie potrzebujemy? A może tak się po prostu utarło?

Dość, że nie widziałem powodu, dla którego miałbym mu odmówić, kiedy tamtego wieczoru zaproponował mi ni stąd, ni zowąd, żebym z nim poszedł do jego dziewczyny. Oczywiście nie wiedziałem o nim tego, co teraz. A także nie przeczuwałem, że Avona... że w ogóle istnieje pod słońcem dziewczyna, która samą swoją obecnością, każdym słowem, uśmiechem, ruchem ręki potrafi przenosić człowieka w radosny, niepowtarzalny świat jego własnego dzieciństwa. Nie umiem tego nazwać inaczej, chociaż to, co czułem, patrząc na nią wtedy i słuchając jej głosu, nie miało nic wspólnego ze wspomnieniem mojego rodzinnego domu. Chodzi o atmosferę, jaka towarzyszy odnajdywaniu pierwszych pytań i przeciwstawianiu im pierwszych, buńczucznych odpowiedzi. O te wielkie tajemnice, w sobie samym i w otoczeniu, których rozwiązanie wydaje się wtedy sprawą niedalekiej przyszłości. I o pewność, że ta przyszłość nie przyniesie rozczarowań.

To wszystko było dawno. Na długo przedtem, zanim poznałem Airę. A także na długo przedtem, zanim Aira poleciała w ślad za nim na budowę tej bazy gdzieś w okolicy gwiazdozbioru Reticulum i zanim on, wróciwszy, poinformował nas, to znaczy Avonę i mnie, że zostaliśmy sami, bo Aira i on...

Tak. A jeszcze przedtem zrobił coś, co sprawiło, że stał mi się bardziej obcy, niż gdybym nigdy nie poznał jego Avony, a on mojej Airy.

Potem już nie poszedłbym z nim do jego dziewczyny. Los, który połączył nas jako funkcjonariuszy Centrali, sprawił, że musiałem na niego uważać, chociaż oficjalnie nikt mnie o to nie prosił. Odetchnąłem, kiedy przełożeni postanowili wysłać go do gwiazd, co było z ich strony przejawem zakłopotania. Poleciał, by po jakimś czasie tam właśnie spotkać się z Airą. Wtedy już zresztą wiedziałem, że moje małżeństwo było błędem, że nigdy nie rozumiałem Airy. Jego oczywiście także, ale jego nie chciałem rozumieć. Nie chodzi o usprawiedliwienia, mogę jednak z czystym sumieniem powiedzieć przynajmniej jedno. Jeśli nawet w historii mojego związku z Airą odegrało jakąś rolę wspomnienie pierwszej bytności tutaj, w tym

wrzecionowatym szklanym domku, smagłej twarzy o delikatnych, okrągłych kościach policzkowych, niejasnych przeczuć, które pojawiły się tak niespodziewanie, kiedy patrzyłem na jej uśmiech, słuchałem niskiego głosu, kiedy wodziłem wzrokiem po jej pięknych, nagich ramionach, to przecież nigdy nie dopuszczałem do siebie tego wspomnienia, nie pozwalałem sobie na żadne zabawy z tkwiącym we mnie, nie znanym mi chłopcem, nieodpowiedzialnym, zmysłowym i słabym.

Kos umilkł na moment. Chwilę panowała niczym niezmacona cisza, po czym śpiew odezwał się znowu. Był teraz nieco przytłumiony, ptak przeniósł się widać do któregoś z sąsiednich ogródków.

Odwrociłem się i omiotłem spojrzeniem pokój. Na pulpicie stały teledatory, wygaszone klawisze kalkulatorów przypominały klawiatury starych instrumentów muzycznych. Tylko jedna przystawka komputera była pod prądem. Musiała pracować, kiedy przyszedłem.

- Przeszkadzam ci. Nie zostanę długo. Chciałbym tylko...

- Nie... - przerwała cicho. - Ostatnio nikt mnie nie odwiedza... tak się składa - poruszyła bezradnie głową.

Odczekałem chwilę, po czym powiedziałem:

- Delikatność nie jest moją najmocniejszą stroną... Ale to nie tylko kwestia delikatności... skoro już sama zaczęłaś mówić o sobie. Dalej jesteś zakochana. Czy nic nie można na to poradzić?

Usłyszałem cichutkie westchnienie, a potem krótki, ledwie słyszalny śmiech.

- Jestem - powiedziała. - Poradzić? - - W jej tonie pojawiła się gorycz. - Zapewne można by coś poradzić, gdyby nie tacy jak ty...

- Nie tylko jesteś dalej zakochana - patrzyłem jej teraz prosto w oczy - ale w dodatku wciąż pozostajesz pod jego wpływem. Oczywiście, gdyby każdy człowiek mógł w dowolny sposób korzystać z usług Gigama, zapewne i ty po kilku seansach potrafiłabyś zapomnieć o swoim zakochaniu. Ktoś inny równocześnie zatrudniłby System, żeby zyskać niezawodną receptę na ożywianie podobnych uczuć względem siebie... w człowieku, w którym skądinąd budzi, na przykład, fizyczną odrazę. Wiesz, że dla lekarza, dysponującego aparaturą do stymulacji pól, otaczających ośrodki mózgowe, nie stanowiłoby to żadnego problemu. Ale Gigam zawiera także inne informacje... Wszystkie, jakie posiadała nasza cywilizacja, łącznie z wynikami badań, z których w porę umieliśmy zrezygnować. Jesteśmy cisi, mądrzy, dobrzy i... różni... - Całe szczęście...

- Nie wiem - powiedziałem pojednawczo. - Nie znam się na tym. Zapominasz tylko, że on robi dokładnie to samo co ja. A przynajmniej powinien to robić, jako pracownik Centrali. Pilnować, by nauka wchłaniała i przetwarzała tylko te informacje, które nasza współczesna cywilizacja jest w stanie przyjąć, bez naruszenia jej homeostazy. Żebyśmy w pewnym momencie nie obudzili się za tą nieuchwytną granicą, za którą nie tylko spokój, ale i dalszy rozwój nie są możliwe, ponieważ na skutek bez troskwej ciekawości jednostek nastąpiło oderwanie ludzkiego i stworzonego przez ludzi aparatu informatycznego od macierzy. Że to nie każdemu się podoba? Trudno. Nie wszyscy niedoszli samobójcy bywali zachwyceni, kiedy w ostatniej chwili ktoś przemocą uniemożliwiał im skok w przepaść. Powiedzmy, że ich ból, smutek, w ogóle emocje, były w danym momencie silniejsze niż głos rozsądku. Także teraz ciekawość wielu naukowców, przeróżnych pięknoduchów i... wybacz, rozgoryczenie ludzi, trawionych nie spełnionymi uczuciami, każą im myśleć pożądliwie o teoretycznych i praktycznych możliwościach systemu Gigama... znajdującego się na wyciągnięcie ręki... - mimowolnym gestem wskazałem aparaturę. Poszła za moim wzrokiem. Kąciki jej warg drgnęły.

- Pewnie myślisz - mówiłem dalej - że ten spokój, jaki osiągnęła ludzkość, nie jest pełny, skoro ktoś tam, z braku dostępu do

wszystkich informacji i sposobów ich spożytkowała nią, nie może się uporać ze swoimi stanami psychicznymi. Że tworzy się jakieś błędne koło, bo zdani na grę uczuć przy całej czujności naszych sit selekcyjnych, w pewien sposób tkwimy jednak po uszy w szumie informacyjnym. Ale to, widzisz, jest los jednostek. Tymczasem społeczność... - zmusiłem moją twarz do uśmiechu. - Avo, nie chciałabyś przecież, żeby świat, taki, jakim jest w tej chwili, znalazł się na łasce ciekawskich... prawda?

Opuściła powieki. Na jej twarzy leżał cień, ale wydało mi się, że lekko przybladła.

- Chwilami tak... - wyszeptała wreszcie, tak cicho, że ledwo usłyszałem. Następnie nagłym ruchem odrzuciła do tyłu włosy i roześmiała się nienaturalnie głośno.

- Widzisz, do czego prowadzą rozmowy o zmroku... kiedy za oknami śpiewają ptaki - powiedziała ze śmiechem. - Nie zwracaj uwagi na to, co mówię...

Sięgnęła do pomocnika i ponownie napełniła nasze szklaneczki. Uniosła swoją przed oczy i popatrzyła przez nią na mnie.

- Mówiłeś... - zaczęła.

- Ale już nie będę - uciałem. - Czy wiesz, gdzie on teraz jest?

Westchnęła, odstawiła szklaneczkę i odwróciła twarz w stronę ogrodu.

- Znowu coś przeszkrobał?

- Nie odpowiedziałas mi.

- I nie odpowiem, zanim nie usłyszę, czemu go szukasz. Mam prawo wiedzieć, skoro przyszedłeś z tym akurat do mnie. Coś się stało?

- Wyłączył swój kompon - poinformowałem ją krótko. - Straciliśmy z nim kontakt. Tymczasem jest potrzebny... i to zaraz. Jutro musi być poza Ziemią... daleko.

- Aż tak?

- Znacznie gorzej, niż możesz przypuszczać. A więc?

- Mieszka tutaj - powiedziała po krótkiej chwili zastanowienia. - Trzy domy dalej - uśmiechnęła się smutnie. - Znajdziesz go bez trudu... jeśli tam jest.

Wstałem. Raz jeszcze powiodłem spojrzeniem po jej pokoju, pogrążonym już niemal zupełnie w mroku.

- Idziesz?

- Tak.

- Czy on leci... tam?

- Tak.

- Dlatego; jesteś taki rozdrażniony?

Zatrzymałem się. Przez chwilę wpatrywałem się w nią ze zdziwieniem, nie bardzo wiedząc, do czego zmierza. Nagle zrozumiałem. Ona musiała tak myśleć...

- Dziewczyno - powiedziałem bardzo spokojnie - jutro w południe muszę się zameldować w sztabie Centrali. Razem z nim. Z Nettem. Tylko to jest dla mnie ważne...

Podniosła się powoli i zrobiła krok w moją stronę. Potrząsnęła głową, na której przy tym ruchu zatrzymał się przez mgnienie jakiś zbląkany złotawy refleks.

- Naprawdę? - spytała cicho. Westchnąłem tylko.

- Więc zostań - podeszła jeszcze krok bliżej. Poczulem zapach jej

skóry.

- Co?

- Przecież macie tam być dopiero jutro - szepnęła. - A poza tym wszystko jest nieważne. Jeżeli jest nieważne, to możesz zostać...

- Słuchaj, Ava...

- Zostaniesz?...

Pokój był pełen słońca. Przez otwartą ścianę wleciał wróbel. Okrzyknął pulpit, przysiadł na moment na antence datora, ćwierknął dwa razy jakby z dezaprobatą i wrócił do swojego świata. Pomyślałem, że i mnie czas wracać do mojego. Uśmiechnąłem się, skojarzenie było zbyt niedorzeczne.

Avona spała, przykryta do połowy lekką narzutą. Prawy łokieć podłożyła sobie pod głowę, jej twarz była niewidoczna pod chmurą włosów, które teraz, w świetle dnia, nabrały miedzianego połysku.

Wstałem, poszedłem do łazienki, ubrałem się, a kiedy wróciłem, uderzył mnie jej wzrok. Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami, z których uciekło już wspomnienie snu.

Podszedłem do leżanki. Pogłodziłem Avonę po włosach i zatrzymałem chwilą otwartą dłoń na jej policzku.

- Nie wstawaj - powiedziałem, odwracając się, by przywołać bufecik. Postukałem w klawisze, zdobiące jego boczną krawędź i odesłałem go, żeby przyniósł zamówione śniadanie.

- Jesteś śliczna - powiedziałem. Odpowiedziała mi uśmiechem.

- Mówiłeś o zakochaniu - zaczęła czystym, spokojnym głosem. - Ja zresztą także. To była tylko gra - stwierdziła. - Naiwna, ale nie dziecinna. Nie dziecinna, bo nieuczciwa...

- Gdybym wiedział - mój głos zabrzmiał ochryple - nie zostałbym...

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Zostałbyś. Umiesz odrzucać zbędne informacje... ba, jesteś specjalistą...

Zapanowało milczenie. Nie mogłem jej powiedzieć, że się myli. Zaprowadziłoby to nas za daleko...

- Jestem człowiekiem bez jutra - powiedziałem. - Dziś lecę z Nettem do gwiazd...

Uniosła się szybko.

- Nie powiedziałaś mi...

- Ty także mi nie powiedziałaś - zareplikowałem bez przekonania. - Jesteśmy kwita...

Zjawił się pomocnik ze śniadaniem. Jedliśmy w milczeniu.

Kiedy automat wrócił do kuchni, zdobyłem się na uśmiech, po czym wstałem.

- Do widzenia.

- Czy mógłbyś być ze mną? - spytała. Zagryzłem wargi.

- Lecę dzisiaj. Bądźmy rozsądni...

- Ty jesteś piekielnie rozsądny - stwierdziła bez szczypty ironii w głosie.

- Muszę już iść.

- Lecisz z nim... do Airy. Ona dalej tam jest, prawda? Dobrze, nie odpowiadaj. To jednak śmieszne...

- Co znowu śmieszne? - mimo woli odetchnąłem z ulgą. - Aira?

- To, że będziecie tam razem... ty, Nett i o-na... mniejsza z tym - powiedziała szybko. - Plotę głupstwa. Wcale nie myślałam, że to będzie śmieszne. Lepiej idź już naprawdę...

Odczekałem chwilę, po czym bez słowa wyszedłem. Czułem, że jeszcze moment, a powiem jej, że i on, i ja mamy znikome szansę spotkania Airy... żywej.

- Znalazłeś mnie jednak - powiedział.

Nie odpowiadając minałem go i wszedłem do identycznego pomieszczenia jak to, w którym Avona projektowała swoje tworzywa. I on miał tutaj pracownię. Ale cóż to była za pracownia!

Zatrzymałem się pośrodku i powiodłem spojrzeniem po ustawionych dokoła ścian przestrzennych szkicach, po na pół zamalowanych płaszczyznach i gotowych holoformach. Pomiedzy tym wszystkim walały się strzępy naświetlonej folii, kawałki różnych materiałów zapaskudzonych zwykłymi farbami, rulony błon fosforyzujących różnokolorowym, pastelowym światłem. Całość uzupełniały kamery, wąskie reflektory, teraz wygaszone, i wielkie, staroświeckie sztalugi. Obok nich rozbudowana do podejrzanych rozmiarów przystawka komputera ukazywała mnóstwo dodatkowych, naprędce skleconych łączy informacyjnych.

- Zadałeś nam trochę trudu - burknąłem. - Możesz mi jednak wierzyć, że nie szukałbym cię, gdybym nie musiał.

Zamknął za sobą drzwi i stanął na wprost mnie. Rozejrzał się, po czym rozłożył ręce bezradnym gestem.

- Tak tu wygląda. Tego się pewnie mimo wszystko nie spodziewałeś...

Mogłem mu z czystym sumieniem odpowiedzieć, że jeśli chodzi o niego, nic nie było w stanie mnie zadziwić. Nie przyszedłem jednak na pogawędki. Poinformowałem go o tym.

- Więc czego chcesz? - wyszczerzył zęby pragnąc, być może, złagodzić obcesowość swojego pytania.

Zerknąłem na kompon. Dochodziła dziesiąta.

- Za dwie godziny zameldujesz się w Centrali. Pójdziemy tam razem.

Twarz mu zmierzchła. Szczupła, smagła twarz o ciemnych oczach i zbyt daleko wysuniętej brodzie. Twarz chłopca, kiedy się uśmiechał. Teraz przybrała wyraz ponurego uporu.

- Nie jestem już gigamowcem - warknął.

- Aby porzucić służbę w Centrali, trzeba czegoś więcej, niż wyłączyć kompon, odciąć się od ludzi i zaszyć w rupieciarni. Tak jakbyś o tym nie wiedział. Pozostaniesz gigamowcem... jak długo będziesz żył...

- To wcale nie musi być tak długo - bąknął odwracając głowę.

- Nie. Zwłaszcza że dziś jeszcze lecimy na Betę Telmura. Od dwóch tygodni stacja milczy. Nikt nie wie, co się stało. I nikt nie powie głośno, co mogło się stać. A także co może spotkać tych, którzy poleca, aby przekonać się na miejscu, czy zostało tam coś do zrobienia.

Mówiłem umyślnie z brutalną otwartością. Nie chciałem, żeby się przede mną rozklejał. Osiągnąłem swój cel, ale tylko częściowo.

Stał chwilę jak skamieniały. Wreszcie wykrztusił z trudem:

- Aira...

- Co Aira? - burknąłem. Przełknął głośno ślinę.

- No, przecież... ty...

- Jeżeli już ktoś, to raczej ty - uciałem. - Tak, Aira. Ale oprócz niej jeszcze trzech ludzi. I każdy z nich ma tu kogoś... tak samo jak Aira.

Odwrócił się. Jego twarz była biała jak kreda.

- Czy to ty?... - urwał.

Poczekaliśmy kilkanaście sekund. W końcu zaczął mnie ogarniać gniew.

- Co ja, do ryżego diabła?!

- No... czy to był twój pomysł, żebyśmy lecieli tam razem?

Zacisnąłem pięści.

- Jeśli o mnie chodzi, jesteś ostatnim człowiekiem, jakiego chciałbym mieć na pokładzie. Bądź przekonany, że będę ci dobrze patrzył na palce. Niestety tak się składa, że z naszych tylko ty byłeś na Telmurze i że należałeś do ekipy konstrukcyjnej, która budowała stację. Czy coś jeszcze chcesz wiedzieć?

Nie odpowiedział. Stał jakiś czas bez ruchu, po czym nie patrząc w moją stronę zniknął za drzwiami prowadzącymi do sąsiedniego pokoju.

Nett. Obszerny rozdział w moim życiu, skądinąd raczej niezbyt skomplikowanym. Przyszedł do Centrali z dwoma dyplomami, grawitonika i biomatematyka. Obydwa były opatrzone opiniami, sformułowanymi w samych superlatywach. Przedstawił mnie Avonie, a potem, dwa lata temu, poleciał budować stację badawczą na orbicie trzeciej planety Bety Telmura, gdzie jedna z sond wykryła bezprecedensową w kosmosie postać materii ożywionej. Rok później, kiedy budowa była już zaawansowana, na stację przybyła ekipa uczonych, która miała stanowić jej właściwą załogę. Wśród nich znalazła się Aira. Tak się spotkali. A zaraz po jego powrocie dowiedziałem się, że pełniąc dyżur wyłączył kilka sekcji zablokowanego selektora informatycznego Gigama, głównego selektora informacji, jakie od słonecznego systemu komputerowego otrzymywał zamieszkały świat.

Kiedy mi o tym powiedziano, sądziłem początkowo, że zaszło nieporozumienie, wynikające ze złego odczytania kontrolnej pamięci Gigama. Prędko się jednak przekonałem, że żadnego nieporozumienia nie było. Przez kilka godzin największy w historii cywilizacji system informacyjny pracował bez sit kierunkowych. Ktoś, kto w tym czasie zadałby Gigamowi pytanie o, dajmy na to, sposób likwidacji ziemskiego systemu regulacji urodzin, kto zapytałby o możliwość ekspansywnego rozwoju naszej cywilizacji po zasiedleniu okolicznych słońc, mógł otrzymać wyczerpującą informację, opatrzoną kompletem recept technologicznych. Każdy badacz, fantasta, maniak miał możliwość uruchomienia wszystkich pokładów wiedzy i sprzężenia ich przez najdoskonalszą aparaturę wnioskującą dla sprawdzenia najbardziej szalonych, najdalszych od ekstrapolacyjnej linii rozwojowej, obowiązującej naukę, hipotez i, co gorsze, dla ich urzeczywistnienia. Na szczęście do żadnej katastrofy nie doszło. Może nikt "zainteresowany" nie zorientował się w porę, a może tych zainteresowanych nie było aż tak wielu, jak to sobie wyobrażali szefowie Centrali. Nie zmieniało to jednak sytuacji, w jakiej znalazł się Nett. Nikt nie posadzał go o świadomą próbę zniszczenia ziemskiej cywilizacji czy choćby poważnego naruszenia jej homeostazy, ale nikt też nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, co powodowało funkcjonariuszem Centrali, gdy porywał się na tak niesłychany postępek.

Po powrocie z Telmura Nett został poddany kilku przesłuchaniom, po czym zniknął. Nie sądzę, aby szukano go zbyt skwapliwie. Jego ucieczka była w gruncie rzeczy na rękę nie tylko kierownictwu Centrali, ale i Radzie Wykonawczej.

Wyłączył kompon. Wyłączył ten miniaturowy aparacik, który nosił na przegubie dłoni każdy współczesny człowiek.

Któż dziś prowadziłby jakieś książki adresowe, kto zawracałby sobie głowę ewidencją czy dokumentami tożsamości, jeżeli każdego człowieka, w każdym zakątku kuli ziemskiej i poza nią, można odnaleźć w ciągu dwóch sekund, za pośrednictwem zbiorowej anteny czasowej, umożliwiającej wyszukiwanie charakterystyki fal biologicznych kilku miliardów poszukiwanych osobników równocześnie. Mało kto wie, jak funkcjonuje kompon. Sądzę zresztą, że dwieście lat temu równie mało ludzi wiedziało, jakie urządzenia tkwiły w popularnych wówczas zegarkach elektronicznych.

Ten przedmiocik, zbudowany z litego kawałka komponentu, ożywiany falami biologicznymi, jest potrzebny jak woda i powietrze. Ma mały, chowany ekranik, na którym w każdej chwili można ujrzyć twarz wzywanego człowieka. Jeśli tylko, rzecz jasna, chciał nawiązać łączność. Inaczej kompon przekazuje tylko jego sygnał biologiczny, potwierdzając odbiór wezwania. Płynne kryształy zastępują telefon, telewizor, obliczają czas rzeczywisty i relatywny, wyręcza ją domowego lekarza. Tylko szalenięć może wyłączyć swój kompon.

Drzwi stuknęły lekko. Spojrzałem w ich stronę i ujrzałem go w białym roboczym ubraniu, identycznym jak moje. W ręku trzymał niewielką, gruszkowatą torbę. Miałem taką samą, była już w Centrali. Stał się znowu jednym z nas... przynajmniej pozornie.

- Malujesz - wskazałem ruchem głowy stojące dookoła obrazy.

Poszedł niechętnie za moim wzrokiem i przez chwilę wpatrywał się w swoje płody, jakby ujrzał je pierwszy raz w życiu. Wreszcie uniósł lekko brwi.

- Takie tam... holomazy... - wybąkał.

Na wprost mnie stał wielki obraz, składający się z trzech skrzydeł, na podobieństwo starożytnych ikonostasów. Srebrzystobiałe tło świeciło. Na tym tle uwidaczniały się jaskrawe linie, zmierzające jakby w tym samym kierunku, jednak różnymi, mniej lub bardziej zawiłymi torami. Zasadnicze kierunki były różne dla każdej z trzech części holoforny. Przestrzeń między skrzydłami żyła od tego białosrebrzystego światła i wijących się w nim krzywych. Gdyby ktoś chciał przedstawić graficznie szum informacyjny, nie mógłby z pewnością wymyślić niczego lepszego.

- Czy to coś znaczy? - spytałem. Uśmiechnął się.

- Pytanie, jakiego z pewnością już od dziesiątków lat nie usłyszał żaden malarz - stwierdził. - Na szczęście ja nie jestem malarzem. Podoba ci się?

Pokiwałem głową.

- Sześćset lat temu pewien człowiek powiedział, że wymarzoną polem do działania dla oszusta jest dziedzina zjawisk nieznanych - oświadczyłem pogodnie. - Sama niezwykłość tego, co się opowiada, budzi zaufanie do opowiadającego. Oprócz tego opowieści te są bezkarne, nie podlegają prawom logiki. To ostatecznie pozbawia nas środków do walki z oszustwem... Ten człowiek nazywał się Montaigne, gdyby cię to interesowało.

- Ja niczego nie opowiadam.

- Gorzej - warknąłem. - Ty się w y p o w i a d a s z! Czy dlatego wyłączyłeś wtedy selektory, aby wsłuchać się w bełkot informacyjny i zaczerpnąć z niego natchnienie dla twojej... twórczości? - nie mogłem się powstrzymać, by tego ostatniego słowa nie wymówić z przekąsem.

On jednak przyjął pytanie jak najbardziej serio.

- Częściowo tak - powiedział spokojnie. - Jedni grają w bridża, ktoś inny kolekcjonuje zeszkłe liście, a ja maluję. Odtwarzam to, o czym myślę, ozdabiając te myśli... aby mi się podobały. Czy to coś złego?

- Jak na funkcjonariusza Centrali, grawitonika i biomatematyka chyba

zbyt wiele uwagi poświęcasz urodzie własnych myśli. Więc o tym myślałeś... wtedy? No cóż, muszę przyznać, że można tak to sobie właśnie wyobrazić...

Zaśmiał się krótko.

- Jako grawitonik i biomatematyk interesuję się różnymi rzeczami... także takimi, którymi mi ponoć interesować się nie wolno. Dlatego wyłączyłem selektory... czego nie żałuję, chociaż ty tego nigdy nie zrozumiesz. A to... - ponownie wskazał na swoje obrazy - jest wtórne...

- Całe szczęście, że wyżywasz się jako artysta, a nie przyszło ci na myśli, na przykład, bawić się kolorowymi mozaikami, które układałbyś z twoich paneli logicznych. Jako biomatematyk byłbyś wtedy naprawdę groźny... co nie znaczy, że teraz uważam cię za bezpiecznego.

Znowu się zaśmiał.

- Ale ja tylko maluję - powtórzył. Wspomniałeś o kimś, kto powiedział sześćset lat temu coś, jak mu się zdawało, rozsądnego. Chciałbym ci przypomnieć, że grubo przed nim ktoś inny zapisał następujące zdanie: "Istota człowieka wyraża się w tym, że tworzy on zarówno mechanikę, jak i malarstwo". Autorem tej sentencji, która mnie osobiście dość nawet odpowiada, jest niejaki Leonardo da Vinci...

- Nie zbywa ci na skromności - zauważyłem przyjacielskim tonem.

- Skromność nie ma tu nic do rzeczy - obruszył się niespodziewanie. - Zarzuciłeś mi, że się wypowiadam, mając oczywiście na myśli poglądy, które uchodzą za wywrotowe i zagrażające harmonijnemu rozwojowi cywilizacji. Ale, w końcu, nie prosiłem cię, żebyś tu przychodził i oglądał moje fantazyjki. A także nie urządzam wystaw i nie wygłaszam na nich publicznych prelekcji. Spytałeś, to ci odpowiadam.

Usiadłem na czymś, co przypominało stojącą beczkę, nakrytą strzępem gobelinu, znalezionym w magazynach fatalnie zaniedbanego muzeum.

- Mamy jeszcze trochę czasu - powiedziałem. - Możesz sobie nie przeszkadzać i nie przejmować się tym, że tu siedzę. Punktualnie za dziesięć dwunasta wyjdziemy... razem.

Odgarnął czarne jak smoła włosy i westchnął. Zawahał się przez moment, po czym umieścił swoją torbę na sztalugach i usiadł naprzeciw mnie.

- Dobrze - mruknął. - Poczekamy. A jeśli chodzi o to, co się zdarzyło na Telmurze, to ja tylko w pewnym momencie przeholowałem z oceną własnej indywidualności. Ale w końcu każdy człowiek ma do niej prawo, czy nie tak? To, jak mi się zdaje, jeden z podstawowych atrybutów naszego porządku?...

Wzruszyłem ramionami.

- Mówisz o osobowości, a myślisz o indywidualizacji stylu życia. Zrealizowaliśmy najpierw łączność ideowa, za nią przyszły inne związki. Wyeliminowaliśmy przypadkowość z procesów rozwoju osobowości. Dzięki odseparowaniu od szumu informacyjnego przyrody, osiągnęliśmy równowagę wzajemnych zależności w naszej dynamice społecznej. Te związki między nami zostały powszechnie przyjęte i zaakceptowane. Z wyboru, nie z przymusu. Takie są prawdziwe przesłanki indywidualizacji stylu życia. Tymczasem ty sam, strażnik, wyłączasz selektory głównego systemu komputerowego, rzucając na nasz świat potop nie kontrolowanych informacji o wszystkim.... - powtórzyłem, dziwiąc się w duchu, jak pusto brzmi to słowo. - A potem - podjąłem szybko - nazywasz ten swój postęp "przeholowaniem"! Nie ja zaczynałem tę rozmowę, ale...

- O wszystkim? - przerwał mi w pół zdania. - Czy zastanowiłeś się kiedyś nad tym, co to znaczy?

Teraz w każdym razie zastanowiłem się. Uderzyło mnie, jak celnie

trafił w tę strunę, którą ożywił we mnie przed chwilą sam dźwięk słów: informacja o wszystkim...

- Nie odpowiadasz - w jego głosie pojawiła się ironia. - Ta rozmowa rzeczywiście nie ma sensu. Za trzy godziny będziemy w przestrzeni i wtedy wszystkie myśli, które tutaj przychodzą nam do głowy, staną się zbędne, a nawet szkodliwe. Nie bój się. Rozumiem to tak samo dobrze jak ty, chociaż godzę się - wykrzywił usta w gorzkim grymasie - że musisz mi patrzeć na palce... jak sam byłeś łaskaw się wyrazić. Teraz jednak skończę, skoro już zacząłem. Uważam, widzisz, że człowiek istnieje po to, aby obcował ze wszystkim. Jeśli, naturalnie, nie myśli się o jednym czy dwóch, a niechby nawet pięciu pokoleniach, tylko o ludziach w ogóle. Nasz styl życia... cóż. Ty sądzisz, że szum informacyjny to jedynie bałagan, prowadzący do kryzysu...

- Upraszczaś - powiedziałem. - Ale w zasadzie masz rację. Tak uważam. Kiedyś było inaczej. Kiedyś rodzili się ludzie, wyprzedzający swoją umysłowością epokę... i oni ciągnęli wózek do przodu. Dzięki przypadkowym połowom w morzu informacji udało się naszym przodkom opanować choroby, agresywność, kult posiadania przedmiotów... zgoda. Tylko to było dawno, a sprawy, o których mówiłem, musiały być rozwiązane... tak jak musiał być rozwiązany głód energetyczny, bo bez tego po prostu przestalibyśmy istnieć. Cytowaliśmy tu dwóch mędrców. Zacytuję trzeciego. Przypomnij sobie, kiedy żył

Marks. A przecież to on, już wtedy, powiedział, że podstawowym problemem jego epoki, podstawowym problemem ludzi prowadzących jeszcze wojny, gromadzących w bankach kapitały prywatne, głodujących, umierających na raka i tonących podczas powodzi, jest rozwiązanie sprzeczności między równoczesnym bogactwem i ubóstwem informacji...

Zerwał się ze swojego taboreciku z takim impetem, że aż go przewrócił. Oczy mu zabłyśły.

- Człowieku! - zawołał wysokim, niemal piskliwym głosem. - Człowieku! Gdyby współcześni i ich dzieci zrozumieli te słowa Marksa tak jak ty...

- Nie zaperzaj się - przerwałem z uśmiechem. - Chyba nie masz naprawdę zamiaru mnie przekonać... tak jak ja nie chcę nawracać ciebie. A jeśli wspomniałem o twoim malarstwie, to tylko dlatego, że jako dobry funkcjonariusz Centrali zwalczam szum informacyjny pod każdą postacią. A może boję się utyć? Przecież wiesz, że informacja posiada masę. Można się o tym przekonać, badając długo pracujące komputery. Wszystkie wykazują przyrost masy...

- Przeczysz ruchowi, chociaż przed chwilą powoływałeś się na Marksa. Nie muszę ci chyba przypominać, że sensem ruchu jest tendencja do zwiększenia masy, a skrócenia czasu...

- Po jednym zdaniu, po jednej myśli z każdej specjalności i z każdego jej przedstawiciela... niezależnie od epoki, w której żył. Oto sposób na zaspokojenie twojej tęsknoty do zanurzenia się w ożywczym oceanie informacji. Ale rad jestem, że żartujesz. Dobry nastrój będzie ci potrzebny... zresztą mnie także.

Sposepniał. Jego wysoka, szczupła sylwetka zmalala nagle, przygarbiła się. Ustawił ponownie taborecik i usiadł na nim, nisko spuszczaając głowę. Po chwili, nie odrywając wzroku od podłogi, spytał cicho:

- Dlaczego właśnie ty lecisz? Ze względu na Airę?

- Nie.

Czekał na coś więcej. Milczałem.

- Skąd wiedziałeś, że tu jestem? - Wracam od Avony.

- Od Avony? - w jego głosie zabrzmiało niedowierzanie. - Ona ci powiedziała?

Wstałem i podszedłem do przezroczystej ściany, za którą rozpanoszyła

się bujna, skłębiona zielen. Nie było tu obsypanych różowym śniegiem migdałowców ani innych kwiatów. Przez szybę nie przedostawał się najcichszy dźwięk z zewnątrz. Pomyślałem, że kto jak kto, ale właśnie on powinien lubić ptaki. Widać jednak wystarczyły mu głosy, które rodziły się w nim samym. I te uchwycone w jego holofornach.

Odwrociłem się. Siedział w nie zmienionej pozycji, wpatrzony w czubki własnych butów. Człowiek, z którym miałem lecieć na koniec świata... Nett. Chłopiec Airy. Komedia...

- Jak to się mogło stać - warknąłem w pasji, nad którą nie potrafiłem i nie chciałem zapanować - że ktoś taki jak ty trafił do Centrali? A może zrobiłeś to specjalnie?

Podniósł się, spojrział na mnie przelotnie, potem ostentacyjnie utkwiał wzrok w swoim komponie. Włączył aparaturę i odetchnął głęboko.

- Widzisz, już wiedza, że mnie znalazłeś - rzekł niemal pogodnie. - Pewnie sam nie czujesz, że się zgrywasz - dodał nie zmienionym tonem. - Gdybyś był naprawdę taki, jak mówisz, nie rozmawiałbyś ze mną... w każdym razie nie w ten sposób. W Centrali? Może chciałem się przekonać, po której stronie jest racja. A ty? Czy jeszcze pamiętasz, czy też postarałeś się zapomnieć? Nie musisz mi odpowiadać. Ja tobie także nie odpowiedziałem... i nie odpowiem.

Ochłonałem. To, że nasza rozmowa nie doprowadzi do niczego, było przecież jasne od pierwszej chwili. Po prostu mieliśmy za dużo czasu. Każdy coś robi. Dzisiaj nie zdarza się, aby ktoś poświęcał swój czas, siły i zdolności sprawie, do której nie miałby przekonania. Chyba że byłby Nettem Listurem, malarzem szumu informacyjnego, a jednocześnie funkcjonariuszem tamponady informacji... nazywając rzecz po imieniu.

- Dlaczego? - odezwałem się, najzupełniej niespodziewanie dla samego siebie. - A może chciałem zerknąć za te barierkę... która tobie wydaje się za wysoka? Kto wie?

Przyjrzał mi się z niedowierzaniem i raptem parsknął śmiechem. Opanował się natychmiast i spoważniał.

- Aira zajrzała za wszystkie możliwe bariery - mówiłem dalej. - Te istoty, które kiedyś dotarły do Bety Telmura, także doszły, zdaje się, do wniosku, że są powołane do obcowania ze wszystkim - ciągnąłem spokojniej. - Zainteresowaliśmy się nimi... w końcu to pierwszy ślad obcej cywilizacji, na jaki natrafiliśmy w kosmosie. A teraz polecimy przekonać się, czy ludzie wysłani przez nas w świat takiej cywilizacji jeszcze żyją. Mam nadzieję, że zbuntowaliście stacje solidnie... i że nie pobawiłeś się tam po swojemu przy programowaniu jej aparatury informatycznej. W przeciwnym razie musiałbym ci złożyć gratulacje... choćby właśnie z powodu Airy. Bo inne powody, obawiam się, nie trafiłyby ci do przekonania.

Mówiłem to wszystko bez żadnej myśli. Tymczasem kiedy spojrziałem na niego, już z uśmiechem, bo cała ta rozmowa stawała się doprawdy zbyt nonsensowna, ujrzałem nagle twarz zupełnie nie znanego mi człowieka. Zamknął oczy; i zagryzł dolną wargę. Był trupio blady.

2.

Odprawa dobiegała końca. Twarze uczonych stały się odrobinę apatyczne, zmatowiały, przygasły. Profesor Mevi Sound przymknął oczy, pod, którymi pojawiły się sine półksiężycy. To on zaproponował Airze pracę w pionierskiej bazie. Należała do jego ulubionych uczennic i asystentek. Stary Sound, główny koordynator programu misji na Becie Telmura. Nie chciałbym być teraz w jego skórze.

Ago Graff, szef Centrali, rozejrzał się po obecnych. Siedzieli w

ustawionych w półkole niskich, głębokich fotelach. Sterczeliśmy przed nimi już dobre czterdzieści minut, jak oskarżeni, odpowiadający przed trybunałem jakiegoś tajemniczego bractwa.

- Czy ktoś ma jeszcze pytania? - szef spojrział w lewo, a potem w prawo, unikając przy tym naszego wzroku. On sam dawno już uznał sprawę za załatwioną. Jego ludzie dostali zadanie. Odnosiłem wrażenie, że nie przejął się zbyt wiele nawet tym, co zrobił Nett. Zresztą żaden z obecnych nie zająknął się na ten temat. Nett musiał lecieć. To przesądzało sprawę.

- Chciałbym wiedzieć - odezwał się z namysłem Boukin, patrząc na Sounda - czy przebadano jeszcze raz wszystkie materiały przywiezione przez Netta i innych budowniczych... a także znalezione w zasobnikach pierwszej sondy? Wydaje się wprawdzie wysoce nieprawdopodobne, żeby coś pominięto, ale...

- Wszystkie materiały zostały powtórnie przebadane przez specjalnie powołane komisje - przerwał sucho Sound.

Mak Boukin skinął białą głową, jakby chciał powiedzieć, że tego się właśnie spodziewał. Jego pytanie miało charakter trochę przewrotny. Kiedy wróciła sonda, o której przed chwilą wspomniał, i przywiozła pierwsze próbki żywej substancji, pieniacej się na drugiej planecie Bety Telmura, był kierownikiem Instytutu Planet Granicznych. Sam badał wtedy wydobyte z zasobników próbki. I sam był rzecznikiem budowy w tym rejonie stałej stacji badawczej. Dopiero półtora roku temu został dokooptowany do Rady Wykonawczej, z której ramienia uczestniczył w dzisiejszej odprawie.

- Ja mógłbym tylko powtórzyć w imieniu Instytutu - powiedział lekko podniesionym głosem Sim Bearey - że w ekspedycji powinien uczestniczyć ktoś z pracowni pozaukładowej. W warunkach naporu informacji...

- ...Nett zachowa się prawidłowo - - wpadł mu w słowo Ago. - Pracownia pozaukładowa jest ciekawym eksperymentem, ale misja, którą dzisiaj omawiamy, wymaga oprócz swobody poruszania się w szumie informacyjnym także wielu różnych umiejętności... Umiejętności - powtórzył z naciskiem - a nie tylko wiedzy. No i dyscypliny. Sądzę, że profesor Mak Boukin, twój poprzednik na stanowisku kierownika Instytutu Planet Granicznych, zgodzi się ze mną.

- Nie wiem... - odpowiedział z nikłym uśmiechem wezwany. - Kierownikiem Instytutu jest teraz Sim i on z pewnością lepiej orientuje się w sytuacji. Ale ani on, ani ja nie zmienimy faktu, że decydujący głos ma szef Centrali Ochrony. Jeżeli Ago uważa, że powinni lecieć jego ludzie, my możemy się tylko zgodzić.

Była to odpowiedź dostatecznie dyplomatyczna, aby nikt nie poczuł się urażony i aby to, co naprawdę myślał Boukin o składzie ekspedycji, pozostało dla obecnych tajemnicą. Zresztą, do licha! Placówka pozaukładowa! Któż mógł traktować serio propozycję Beareya. Jedna pracownia, zawieszona na orbicie Transplutona, której załoga otrzymywała wszystkie zamawiane informacje... ba, sama je sobie brała. Jedyna w naszej cywilizacji grupka ludzi, działająca na wariackich papierach... Pięć czy sześć osób... wiodących żywot zupełnych pustelników. Przyszło mi na myśl, że ta właśnie pracownia była czymś jakby stworzonym specjalnie dla Netta. Ale nie. On musiał akurat wybrać służbę w Centrali...

- Nie ma więcej pytań? - - powtórzył po dłuższej chwili milczenia Graff.

- Wyjaśniliśmy sobie już chyba wszystko -

powiedział Sound. - Pozostaje sprawa otwartą, czy w wypadku powodzenia statek Centrali ma od razu wracać na Ziemię. Może się okazać, że łączność ze stacją utraciliśmy na skutek ingerencji z zewnątrz. Pytanie, czy w takim razie Centrala nie powinna podążyć

śladem tej ingerencji..

- Proponuję, żeby decyzję, podobnie jak w wypadku wszystkich sytuacji, których nie jesteśmy w stanie przewidzieć, pozostawić Lanowi Woodowi - Boukin spojrział na mnie poważnie. - W końcu i tak postąpi zgodnie z logiką faktów... a nie z teoretycznymi spekulacjami kilku starych profesorów...

Ago obdarzył mnie wreszcie spojrzeniem swoich jasnoniebieskich oczu.

- Co ty na to, Lan?

Mało brakowało, a byłbym się uśmiechnął.

- Zrozumiałem - oświadczyłem krótko. - Została jeszcze jedna sprawa.

Sześć par oczu utkwiło w mojej twarzy.

- Leci nas trzech - przypomniałem. - Jednego już znam. Czy tego trzeciego też wybraliście mi sami spośród funkcjonariuszy... z przeszłością, czy też może będę mógł wypowiedzieć się w tej sprawie?

Graff skrzywił się niemiłosiernie.

- Wybierzesz go sobie sam. Myślałem, że po odprawie przejdziemy do kartoteki, ale skoro tak... - urwał. Wstał i szybkim krokiem podszedł do stojącego pod ścianą pulpitu. Moment później na podłużnym ekranie zaczęły wyskakiwać świecące litery, które układały się w nazwiska. Tal Kransson, lat trzydzieści pięć, fotonik, Bud Leski, lat czterdzieści, Al Franci, pięćdziesiąt jeden, Jur Galin...

- Stop - powiedziałem. Literki znieruchomiały.

- Galin? - upewniał się Ago.

- Tak.

- Dobrze.

Ekran zgasł. Za pięć - dziesięć minut poznam człowieka, z którym spędzę najbliższe miesiące... lub lata. A może tylko dni? Ostatnie?

W Centrali nie ma zwyczaju stawiania zbędnych pytań. Nikt nie był ciekaw, dlaczego mój wybór padł właśnie na Jura Galina. Co odpowiedziałbym, gdyby mnie mimo wszystko o to spytano? Prawdę. To znaczy, że wybieram akurat jego, ponieważ nigdy w życiu, nawet przelotnie, nie widziałem jego twarzy. I nic o nim nie słyszałem.

Kiedy wszedłem do swojego pokoju, z ekraniku pod oknem spojrziała na mnie twarz Avony. Musiała czekać od dłuższego czasu. Jej głowa spoczywała na maleńkiej nadymanej poduszeczce.

Zamknąłem drzwi i uśmiechnąłem się do aparatu.

- Przyszłaś mnie odprowadzić? - spytałem. Przez chwilę przypatrywała mi się w milczeniu, po czym nagle ściągnęła brwi.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś, że Aira... to znaczy, że nie macie z nimi łączności?...

Poczułem chłód na policzkach. Nigdy nie znosiłem komplikacji. Dzisiejszy dzień był pod tym względem najczarniejszy w całym moim dotychczasowym życiu.

- O co ci chodzi? - spytałem, przymykając mimo woli oczy.

- Pewnie już nie pamiętasz... Była mowa o tym, czy mógłbyś zostać ze mną. Odpowiedziałeś, że dzisiaj lecisz...

- Bo lecę...

- Ale zapomniałeś dodać, że ona... och, nie rozumiesz?!

- Nie ma nic do rozumienia - rzuciłem. Podszedłem do leżanki i usiadłem.

- Jeżeli ona nie wróci... ja przecież nie mogłam wiedzieć!

- O kogo ci w końcu chodzi? - mówiłem umyślnie szorstkim tonem. - O Airę, o mnie czy o Netta? Nie wiem, po co do ciebie dzwonił, ale tylko od niego mogłaś się dowiedzieć. Byłbym rad, gdyby zajął się teraz swoją robotą. A jeśli już tak bardzo ci zależy na tym, żeby spokojnie zapomnieć o wczorajszym wieczorze, to dodam tylko, że będę się szczerze cieszył, jeśli ona i Nett spotkają się tam, wśród gwiazd, a potem wrócą zdrowo i będą mieć dużo ślicznych, rumianych dzieci. Czy możesz mi teraz powiedzieć po prostu do widzenia?

Trwało chwilę, zanim się odezwała.

- Myślisz, że wrócicie?

- Kto?

- No wy, wszyscy...

- Nie wiem.

- Aira? Westchnąłem.

- Bądź zdrowa, Ava - powiedziałem.

- Do widzenia, Lan...

Kiedy jej twarz zniknęła z ekranu, wydało mi się nagle, że od początku do końca mówiłem nie to, co chciałem. Ale w ostatecznym rachunku wszystko wypadło tak, jak wypaść powinno. Łącznie z tym "do widzenia".

Czekał na nas w przedsionku bunkra dyspozytorskiego, na skraju lądowiska. Na pierwszy rzut oka mogło się wydawać, że wybrałem go specjalnie, aby mógł w pewnych sytuacjach podawać się za mnie. Miał bodaj co do milimetra te sto dziewięćdziesiąt osiem, jak ja, i rozrośnięte ponad rozsądną miarę bary, opięte białym skafandrem. Był jeszcze bez kasku. Kubek w kubek takie same, krótko ścięte jasne włosy oglądałem codziennie w lustrze. Brody ociosał nam ten sam niezdarny kamieniarz.

- Jestem Jur Galin - powiedział, wyciągając do mnie rękę.

Uścisnąłem ją. Pomyślałem przelotnie o szczupłych, wąskich palcach Netta i po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że stanowimy chyba najdziwniejszą załogę w dziejach Centrali.

- Lan Wood - odpowiedziałem. Obejrzałem się. - A to jest Nett - wskazałem idącego za mną Listura, którego sylwetka w dopasowanym skafandrze wydawała się szczuplejsza niż zazwyczaj.

Staliśmy jeszcze, przyglądając się sobie nawzajem, kiedy z lądowiska dobiegł niski, wibrujący grzmot, który przeszedł w ostry gwizd, wspinający się ku coraz wyższym rejestrom gamy. Błyskawicznie przebiegł całą klawiaturę i umilkł. Ago Graff wystartował. Chwilę później zza bunkra wyszli profesorowie Sound i Boukin. Odprowadzali szefa Centrali, który miał na nas czekać na orbicie, przy statku. Kiedy podeszli bliżej, pochwyciłem spojrzenie, jakim Boukin przywitał Jura Galina. Wydawało mi się, że ten ostatni odpowiedział mu porozumiewawczym mrugnięciem. Była to przelotna chwila, bo natychmiast potem Boukin uśmiechnął się do mnie i mruknął coś, czego nie dosłyszałem. Mimo to przez moment poczułem się dziwnie. Wybrałem Galina zupełnie przypadkowo. Boukin?...

- Lan - Sound podszedł do mnie i wyciągnął rękę na powitanie, które było równocześnie pożegnaniem. - Pozdrów ode mnie Airę, dobrze?

W tym "dobrze" było coś więcej niż zdawkowe pytanie. Na to ostatnie mogłem spokojnie odpowiedzieć, że nie omieszkałem, co też zrobiłem. Na to, czego nie dopowiedział, i tak nie oczekiwał odpowiedzi.

- Do widzenia, chłopcy - zegnał się z nami z kolei Boukin. - Na razie nikt nie wie, że lecicie... i co się stało. Zresztą może nic się nie stało? - spytał sam siebie. - Jednak kiedy zrobicie, co trzeba, świat

dowie się o was. Za to ręczę...

Bez słowa skinąłem głową. Mogło to oznaczać podziękowanie, ale nim nie było. Wiedzieliśmy obaj, że świat powita nas jak bohaterów w jednym jedynym wypadku. Kiedy nie tylko sami wrócimy cało i zdrowo, lecz także przywieziemy ze sobą załogę stacji... żywą.

Na najbliższej platformie startowej stał jeden z tych promów, jakimi jeszcze do niedawna wożono wycieczki szkolne na Marsa i do Parku Asteroidów. Wycofany z ruchu, nadal jednak służył ludziom, których nauczono latać na wszystkim.

Zabłyły pierwsze gwiazdy. Niebo czerniało w oczach, minuta, dwie, i mogliśmy powiedzieć, że jesteśmy u siebie.

Na ekranie kontrolnym tor lotu rozwijał się zgodnie z programem. Cel był coraz lepiej widoczny. Pięć matowych kul, połączonych krótkimi mufami. Statek, który poniesie nas do gwiazd.

Uśmiechnąłem się do siebie. Zaraz potem wydałem moją pierwszą komendę, jako dowódca ekspedycji do Bety Telmura:

- Opuszczamy pokład. Sygnał.

- Sygnał przyjęty - odpowiedział natychmiast Jur, który siedział przed centralką komunikacyjną. Ziemia była gotowa przejąć kontrolę nad promem i sprowadzić go z powrotem na majową łączkę. Graff miał swój własny pojazd, błyszczący jak srebrna mucha w blasku reflektorów, oświetlających otwarty właz statku. Stał tam i czekał. Kiedy manewrując pistolecikami gazowymi przepłynęliśmy jeden po drugim obok niego, zmierzając do komory śluzy, usłyszałem w słuchawkach jego głos.

- Pewność i zaufanie - zdobył się na żartobliwy ton. - Przerobili wam nawet kabinę obserwacyjną. Macie tam trzy łóżeczka jak dla trzech krasnoludków. I kilka rezerwowych. Sprawdziłem wszystkie węzły kontrolne. Bez zarzutu.

Stanałem obok niego.

- Programy są dublowane - ciągnął

Graff. - Macie po dwa pełne zapisy w każdym członie. Wystarczy?

Żaden z nas nie odpowiedział. Nie, żebyśmy mieli mu za złe ten lekko kpiący ton. Ale informacja, jaką nam tym tonem przekazał, była dość wymowna. Mufy, łączące poszczególne kule, z których składał się statek, można było w razie potrzeby odrzucać, tworząc samodzielne pojazdy kosmiczne. W normalnych warunkach tylko dwa spośród pięciu członów były przystosowane do przyjęcia ludzi. Fakt, że tutaj w każdym z głównych elementów zainstalowano awaryjne pomieszczenia dla żywej załogi i wyposażono je w podwójne zapisy danych dotyczących lotu świadczyły, że Centrala liczy się z niespodziankami.

- Możemy lecieć? - spytałem.

- Tak - Ago odwrócił się. Zwolnił magnesy butów i powoli wypłynął w czerń przestrzeni. Za moment dostał się w snop światła naszego reflektora, które odprowadziło go aż do otwartego włazu jego rakiетки. Kiedy pancerna kłapa powoli zamknęła się za jego plecami, reflektor zgasł.

- Startuję - dobiegł nas głos Graffa. - Powodzenia, chłopcy.

- Do widzenia - mruknąłem. Nett i Jur milczeli.

W komorze śluzy zapłonęło światło i równocześnie drzwi, prowadzące do wnętrza statku, stanęły otworem. Przeszliśmy krótki korytarz i znaleźliśmy się w obszernej kabinie, której półkolisty ściany szczelnie pokrywały wklęsłe tarcze ekranów. Pośrodku stały trzy olbrzymie fotele, opatrzone kłębowiskiem przewodów. Każdy był podłączony do aparatury medycznej, korektury psychicznej i celowników. Przed fotelami stał wąski pulpit z niewielką liczbą

kolorowych klawiszy. Dom. Miło pomyśleć, że będziemy mieć do dyspozycji aż pięć takich domów. Normalnie pierwszy człon przeznaczano dla pilotów, w drugim mieściła się aparatura informatyczna, trzeci wypełniały zapasy paliwa, czwarty był właściwie jednym wielkim generatorem kolapsacyjnym, wreszcie piąty stanowił magazyn paliwa, żywności i tlenu. Tam także montowano silniki fotonowe do lotów w obrębie układów słonecznych i w ogóle z szybkościami podświetlnymi. Za tym ostatnim członem, na zewnątrz statku, znajdowało się zwierciadło o średnicy dwunastu metrów. Lusterko dla mieszkańców kosmosu...

Podszedłem do pulpitu, włączyłem wszystkie zespoły, sprawdziłem, czy ich jałowy bieg uwidacznia się w kontrolnych lampkach, po czym usiadłem w środkowym fotelu. Prawy zajął Nett. Po mojej lewej ręce ulokował się Jur Galin.

- Start - powiedziałem cicho, kładąc ręce na pulpicie.

Ekran y ożyły. Na niektórych zaczęły wyskakiwać cyferki, rosące w szeregi liczb.

Ciążenie narastało. Przez moment ściany statku odezwały się słabiutkim echem zapłonu chemicznego. Następnie nastąpiła cisza. Silniki fotonowe pracowały bezgłośnie.

- Czas?

- Minus trzydzieści siedem.

Za trzydzieści siedem sekund, już trzydzieści sześć, już pięć, opuścimy przestrzeń i czas. Znikniemy z pola widzenia najpotężniejszym ziemskim tachdarom, radioteleskopom i stacjom przechwytyjącym. Nasze komponenty staną. Nie będzie łączności nie tylko ze światem zewnętrznym, lecz także pomiędzy nami. Jedynie połączone zespoły komputera nie przestaną wymieniać informacji, nie ustanie niesłyszalna dla nas muzyka przekaźników, odmierzających drogę do gwiazd.

Wśluchiwałem się jeszcze w dźwięki kodu, śledząc równocześnie na ekranie bieg danych liniowych, kiedy zabrzmiał głos Jura:

- Sześć... Pięć...

- Załoga, przygotować się do uruchomienia generatora i przekroczenia kolapsu grawitacyjnego - powiedziałem machinalnie.

- Cztery... Trzy...

- Cześć, Jur - mruknął Nett.

- Dwa...

Płaszczyzna ekliptyki na ekranie kontrolnym zatoczyła łuk i strzeliła gwałtownie ku górnej krawędzi tarczy.

- Jeden... Zero...

Odruchowo wparłem się plecami w oparcie fotela, które objęło mnie mocnym, elastycznym kołnierzem. Ekran y rozmazały się w oczach. Czaszkę przewierciło mi nieznośne, wibrujące wycie. Nagle ustało. Ogarnęła nas czerń i cisza. Ostatnie strzępy myśli uciekły z mózgu jak wymiecione przez pocisk, uderzający celnie w sam środek skroni.

Świergot w słuchawkach stał się nie do wytrzymania. Otworzyłem oczy. Z mgły wyłoniły się powoli kontury ekranów. Wszystkie pracowały jak przed chwilą. Przed chwilą...

Ile czasu upłynęło? Rzecz jasna tyle, ile potrzebowały generatory kolapsacyjne, żeby rozwinąć pełną moc i po przekroczeniu punktu krytycznego wyłączyć się automatycznie. Na Ziemi kilkanaście minut. Tutaj dziesięć, sto, tysiąc lub milion lat świetlnych. My przebyliśmy ich pięćdziesiąt. Lat. Kilkaset lat, gdyby przyszło wracać, dysponując jedynie napędem fotonowym.

Odczekałem chwilę, zanim zdecydowałem się unieść głowę. Kiedy to wreszcie zrobiłem, oparcie fotela natychmiast posłusznie uwolniło mój kark i ramiona.

- Załoga?

- Łączność w normie - zameldował natychmiast Nett. - Komputer kończy porównanie pozycji z programem lotu. Statek na torze - dodał, odrywając wzrok od pulpitu i przenosząc go na ekrany.

- Nasłuch?

- Brak sygnałów. Zespoły interpretacyjne uruchomiły sześć dodatkowych sekcji.

Tak. Biedne zespoły. W świecie, z którego przybywały i któremu służyły, nigdy nie miały do czynienia z nie kontrolowanym naporem informacji. Tak samo jak my. Tyle, że my nie byliśmy automatami.

- Przejsć na pół ciagu.

- Pół ciagu - odpowiedział jak echo Jur. Przez chwilę sprawdzałem celowniki, biorąc namiary i zamykając pole ostrzału. Następnie zwróciłem się do Netta:

- Zaczynj wywoływać stację. W obydwu pasmach zastrzeżonych i otwartym kodem.

- Uhm - przytaknął. Wcisnął kilka klawiszy w swojej centralce komunikacyjnej. Sygnał wywoławczy statku pobiegł ku antenom. Byliśmy dostatecznie daleko od zamieszkanego świata, by pozwolić sobie na posługiwanie się otwartym kodem. W każdym razie dostatecznie daleko od świata, który mógł ten kod zrozumieć.

Stanałem przed jednym z bocznych ekranów. Kiedy do niego podchodziłem, zauważyłem, że na podłodze porusza się nikły cień mojej sylwetki. Światła w kabinie były wygaszone. A więc witaj nam znowu, kraino słońca.

Beta Telmura. Mała, zagubiona gwiazdka, dostrzegalna z Ziemi na południowym niebie jedynie przez potężne teleskopy. Zbędny punkcik w gwiazdozbiórze Reticulum. Teraz płonęła jasno, zwyciężając blask Alfego Eridana, potężnego słońca o sześciu dziesiątych stopnia jasności, którego światło przeszkadza mieszkańcom Ziemi sięgać wzrokiem ku Reticulum, a także do sąsiedniego gwiazdozbioru Hydry.

Tachjonowa łączność z Centralą miała tutaj mniej więcej dwie doby opóźnienia. Nadajniki nie potrafią stwarzać przed czołem emitowanych fal kolapsów grawitacyjnych. Na dobre rady nie mogliśmy liczyć. Cztery dni to wieczność. To więcej niż wieczność. To czas.

- Współrzędne stacji - odezwał się Jur.

- Już? - mruknął Nett.

- Sygnał? - spytałem, chociaż było oczywiste, że stacja nadal nie daje śladu życia.

- Cisza - odpowiedział Galin.

Na ekranie płonął miniaturowy biały punkcik. Miejsce przecięcia współrzędnych, wyznaczających teoretyczne położenie ziemskiego obiektu na stacjonarnej orbicie drugiej planety.

Statek zmienił gwałtownie kurs. Teraz spadaliśmy już prostopadle do płaszczyzny ekliptyki.

- Tachdar?

- Mam coś - odpowiedział z wahaniem Nett.

- Jur, komputer!

Półtorej sekundy później padła odpowiedź:

- Statek ekspedycji. Czujniki nie wykazują obecności energii. Maszynownia uszkodzona. Właz prawdopodobnie otwarty...

Wróciłem na swój fotel i utkwilem wzrok w ekranie. Pośrodku tarczy wyłaniał się w pasmach infraczerwieni wrzecionowaty kształt... jakby jeden z tych przedmiejskich domków, przeniesiony do gwiazd. Takim statkiem przylecieli tutaj ludzie. Nie takim. Tym statkiem...

A więc nie odlecieli. Ich stacja znikła. A statek, który mógł ich zabrać i unieść w bezpieczne miejsce, zamienił się w zlodowaciały strzęp materii, krążący po dalekim, obcym świecie.

- Stopuję - powiedział Jur. Zrozumiałem, że chce uniknąć drogi pomiędzy planetą a wrakiem ziemskiego pojazdu.

Z wyłączonymi silnikami, jak martwy satelita, nasz statek zatoczył łuk. Ekran pociemniał. Następna korektura położenia sprawiła, że na ich tarczach, wszystkich poza tymi, które przekazywały wyniki analiz przeprowadzonych przez zespoły komputera, ukazała się ogromna, opalizująca, lekko przypłaszczona kula. Druga planeta Bety Telmura.

Byliśmy na miejscu.

- Nasłuch? - powtórzyłem po raz chyba dziesiąty w ciągu ostatnich kilku minut.

- Zero.

- Przejdź na wszystkie pasma.

- Bez tłumików? - burknął Nett. Właściwie nie było to pytanie. Raczej powrót do naszej rozmowy... na Ziemi. Nie podjąłem rękawicy.

Jur zrobił jeden ruch dłonią nad pulpitem centrali komunikacyjnej, jakby chciał złapać muchę, która przysiadła na jakimś klawiszu.

Kabinę wypełnił dziki wrzask. Na próżno szukałbym innego określenia. Impulsy świetlne i radiowe, mowa dalekich słońc, galaktyk, ognistych i niewidzialnych obłoków. To wszystko było czymś zwyczajnym. Dźwiękowa gazeta próżni, którą ziemską nauka uczyła się czytać przez stulecia, stukając wśród informacyjnego mięsa drobnych ogłoszeń matrymonialnych. "Zintegrowana cywilizacja technologiczna, samotna nie ze swojej winy, pozna inną cywilizację kierującą się normami etycznymi..."

Tak, ale to, co zazwyczaj niosło całą treść wiadomości próżni, przełożonych na język dźwięków, tutaj było zaledwie tłem dla wszystkich możliwych i niemożliwych sygnałów, w których jednakże - co stanowiło istotę ponurej zagadki planety - naszym zespołom udawało się wyróżnić jakieś urywki ciągów logicznych, jakby miliard ludzi naraz czytało na głos miliard książek, napisanych w różnych językach i tylko momentami jeden lektor brał górę nad pozostałymi. Oto skrót sytuacji, w jakiej znajdowała się ludzkość przed rezygnacją z żywiołowego rozwoju nauk, badań, publikacji. Permanentny, narastający w postępie geometrycznym cyklon informacyjny. Nett znalazł się w swoim żywiole.

Gdzieś w głębi statku zbudził się cichutki, przeciągły jęk, jakby ktoś delikatnie sunął palcem po napiętej strunie. Aparatura była przeciążona.

- Wyłącz sekcje znaczeniowe - powiedziałem. - Teraz dwie godziny snu. Dobranoc.

Otworzyłem oczy. Komputer statku uruchomił już chyba wszystkie rezerwowe sekcje selekcyjne. Pomyślałem, że właściwie należałoby wyłączyć bębny pamięciowe, bo w przeciwnym razie wrócimy z materiałem, którego nikt nie rozgryzie nawet za milion lat. Ale na razie ich rezerwa wciąż jeszcze była znaczna. A nuż dzięki przypadkowi, leżącemu poza wszelkim rachunkiem prawdopodobieństwa, trafimy jednak na jakiś ślad?

Cztery godziny i piętnaście minut temu opuściliśmy Ziemię. Ściśle mówiąc nie Ziemię, lecz orbitę okołoziemską. Ale tutaj to oznaczało jedno.

Zwróciłem się do Jura.

- Po śniadaniu przewietrzmy się trochę. Trzeba obejrzeć z bliska tę gadułę..

- Chmury - mruknał.

- Właśnie - uśmiechnąłem się. - Spróbujemy się przekonać, jak wyglądają od dołu.

- Czy nie powinniśmy najpierw zbadać statku? - nerwowo zapytał Nett.

- Jeżeli tam ktoś jest - odpowiedział mu Jur, zanim zdążyłem się odezwać - to znaczy, że nie ma nikogo. Jestem za tym, żeby wrak zatrzymać na deser.

Skinałem głową. - Nett zostanie tutaj i będzie słuchał - zdecydowałem. - A nuż stracą cierpliwość i wymieniają jakieś uwagi na nasz temat?

Druga Bety Telmura nigdy nie wykształciła własnej cywilizacji. To jakaś inna kosmiczna inteligencja przywłaszczyła sobie tę planetę. Wysłała swoich informatyków, którzy odlatując, pozostawili po sobie sztuczną substancję organiczną. Była to swoista hodowla, ewoluująca w jednym kierunku. Jej przeznaczeniem było ekstrahować informacje bezpośrednio z natury i przekazywać je... właśnie, komu?

O bardzo podobnej "hodowli" myślano kiedyś i u nas. Ba, istniały nawet prace teoretyczne, modele i projekty konstrukcyjne. Ich twórcami byli genetycy, cybernetycy i bionicy. Pracowali, ożywieni świadomością, że samoistna ekstrakcja wiadomości bezpośrednio z natury jest jedyną drogą do wyczerpania potencjału informacyjnego kosmosu.

Cała impreza pozostała na szczęście w sferze teorii. Czerwone światło, którego zabrakło pierwszym entuzjastom, pojawiło się jednak w porę, by zapobiec przejściu do stadium poszukiwań technologicznych i eksperymentowania. Gra toczyła się o najwyższą stawkę. Nie chodzi przecież tylko o dezintegrację, jaka musiałaby nastąpić w wyniku oderwania masy informacyjnej od możliwości praktycznych zastosowań. Niepokój człowieka jest wieczny. Uczniowie zaczęliby się szamotać w beznadziejnym pościgu za narastającymi lawinowo informacjami ze swoich dziedzin. A to byłby już dzwon na pogrzeb całej cywilizacji. Coś, czego nie rozumiał Nett. Coś, co powinien był zrozumieć... jako funkcjonariusz Centrali.

Teraz polecimy posłuchać, o czym donosi wszechświat. Okrążymy tą drugą planetę Bety Telmura kilka razy, po możliwie ciasnych orbitach. Następnie zbadamy rozbity statek misji badawczej. Potem odwiedzimy najbliższy z trzech księżyców planety, z którego dowożono materiały potrzebne do budowy stacji. Swego czasu pracowały tam automaty i kierujący nimi ludzie, którzy zostawili po sobie prowizoryczną bazę. W końcu i ona mogła dać schronienie badaczom, jeśli sytuacja zmusiła ich do opuszczenia zarówno stacji, jak i macierzystego statku. Dalej pozostanie nam już tylko przebadanie całego układu. Ostatecznie i sama stacja orbitalna miała swój własny napęd, od biedy mogła się więc przeobrazić w kosmiczny pojazd średniego zasięgu. Spenetrujemy wszystko. Zajmie nam to kilka lat... oczywiście, jeśli przedtem nie znajdziemy jakiejś wskazówki ani na planecie, ani we wraku statku, ani wreszcie na tym księżycu, który przed chwilą ukazał się na ekranie i świecił teraz, jakby chciał nas oszukać, wmówić nam, że nigdy nie opuściliśmy orbity okołoziemskiej i że te widoczne na nim plamki mają dobrze znane, ludzkie nazwy.

Śniadanie zjedliśmy w milczeniu. Następnie Nett wrócił na swoje miejsce przed pulpitem, a my z Jurem ruszyliśmy w stronę śluzy. Kiedy

właz rozsunał się, wpuszczając do komory przestrzeń i gwiazdy, ujrzelśmy oświetlony białymi lampkami otwarty hełm małego pojazdu zwiadowczego, przystosowanego do lotów w atmosferze. Jedno lekkie odbicie pozwoliło nam znaleźć się w jego kabinie. Kiedy podłączyliśmy się do aparatury pokładowej i zacisnęliśmy końcówki przewodów tlenowych, kabina zamknęła się. Wyglądało to tak, jakby nad naszymi głowami złożyła swoje przezroczyste skrzydełka wielka, czarna wałka.

- Nett? - rzuciłem do mikrofoniku, umieszczonego wewnątrz kasku, w sąsiedztwie czujników promieniowania i namiaru oraz kontrolnej lampki zapasu tlenu.

- Gotowi? - odpowiedział pytaniem.

- Startujemy. Sprawdzaj od czasu do czasu, czy komputer daje nam namiar... i czy dostaje go od nas. Jeśli nas zgubisz - zrobiłem krótką pauzę - czekaj w tym samym miejscu trzy doby. Potem wracaj na Ziemię. Zakazuję podejmowania poszukiwań. Jasne?

- Nie - szczechnął.

- Nie szkodzi. Trzymaj się - zakończyłem.

- Cześć, Nett - powiedział Galin.

W słuchawkach odezwał się jakiś niewyraźny pomruk, ale w tym samym momencie przemówiły silniczki naszego ptaszka. Tak właśnie nazywaliśmy między sobą pojazdy tego typu. Ptaszki. Może dlatego, że ich sygnał wywoławczy, w porównaniu z dostojnym kodem wielkich jednostek, przypominał trochę ćwierkanie?

Z dwóch ekranów, w jakie wyposażona była kabina stateczku, jeden przekazywał nieustannie drogę naszych sygnałów radiowych, tachdarowych i laserowych. Trafiały w glob, kłując go równym, gęstym ścięciem, oczywiście pod chmurami, tak że nie wiedzieliśmy, czy przemawiamy do pustyni, oceanu czy też do pasma najwyższych na planecie gór. Te chmury przedstawiały obraz zbitej, sprasowanej substancji. Ich barwa zmieniała się. Z brudnobiałych stały się żółtawe, potem szczerwieniały, by wreszcie ukazać nam całą gamę tęczy, podziurawionej ogniskami jaskrawych błysków.

- Wenus - mruknął w pewnym momencie Galin.

Tak. To rzeczywiście przypominało trochę Wenus, ogladaną z wysokiej orbity. Ale tam mimo wszystko chmury były jakies... łagodniejsze, jeśli można użyć takiego określenia w stosunku do chmur.

Warstwa obłoków była cieńsza, aniżeli wynikało to z danych przywiezionych przez pierwszą sondę, lub też mieliśmy po prostu szczęście. Dość że po upływie zaledwie ośmiu minut ekrany pojaśniały. Chwilę jeszcze ściany kabiny zasnuwane były mgłą i nagle otworzył się pod nami rudozielonkawy ład. Gładka, horyzontalnie sklepią równina. Ocean.

Na horyzoncie ukazała się falująca nitka brzegu, nad którą w czerwonej mgiele majaczyły góry. Od kiedy wyszliśmy z chmur, ruszyły automatyczne kamery pojazdu. Wrócimy z dokładną dokumentacją topograficzną globu... i co z tego?

Dane, dotyczące atmosfery, są zanotowane w bębnach pamięciowych statku. Nie jest ona nawet trująca. Taka zwariowana mieszanina, z pewną zawartością tlenu. Podobnie jak ów ocean bezpośrednio pod nami, o którym wiedzieliśmy, że to on właśnie został przez kogoś przekształcony w swoisty kombinat informacyjny. To znaczy nie sam ocean, ale wprowadzone do niego pierwociny życia, pozbawionego bodaj takich perspektyw, jakie są udziałem najpospolitszych aminokwasów. Przeznaczeniem tej papki jest trwać w nie zmienionym stanie przez tysiące, miliony i miliardy lat. Każda z jej cząsteczek to pewnego rodzaju antena odbiorczo--nadawcza, bez selektorów, bez nadrzędnych węzłów semantycznych i sumatorów. Wymyślił je geniusz niepojęty dla ludzkich umysłów - nie potrafilibyśmy odtworzyć warunków programu,

który umożliwił realizację tej aż tak bardzo sprzecznej ze znanymi 'nam prawami materii ożywionej konstrukcji genetycznej - ale geniusz chory, obłąkany, oślepy. Świat stworzony przez ucznia jakiegoś boga, który natychmiast po akcie kreacyjnym zapomniał magiczną formułę, zdolną powstrzymać rozpętany żywioł informacyjny natury.

Zaczęło się ponoć od cząsteczek alkoholu, tak przynajmniej orzekli nasi uczeni zbadawszy próbki, pobrane przez ową sondę, której tropem mieli następnie ruszyć ludzie. A więc alkohol, a potem chyba sztuczne burze termonuklearne... i jakaś trwała blokada ewolucyjna, niezrozumiała dla naszych bioników. W efekcie tego wszystkiego, niby krzyk ostatecznej rozpacz, powstało życie... takie właśnie. Kim byli ci, którzy zafundowali sobie tego rodzaju pomnik? Gdzie są teraz... jeśli w ogóle jeszcze są? Co się z nimi stało?

Weszliśmy na linię równika i lecieliśmy niby powietrzna rozgłośnia, wzywająca stale tych samych, nie istniejących słuchaczy.

Nikła szansa oddalała się jednak, w miarę jak powtarzaliśmy pętle nad wrzeszczącymi oceanami, nad pustkowiem łądów, pod pustynią chmur. W końcu osiągnęła zero. Stało się to po upływie trzech dób, po przeczesaniu antenami całej skorupy globu, trzech dób, w czasie których na zmianę z Jurem spaliliśmy w sumie po dwa kwadransy.

Dokładnie siedemdziesiąt dwie godziny od momentu opuszczenia przez nas macierzystego statku, jego kłapa otworzyła się ponownie na nasze przyjęcie.

Przespaliśmy dzień i noc czasu pokładowego. Po przebudzeniu odruchowo przebiegłem wzrokiem ekrany, a stwierdziwszy, że nie zarejestrowały niczego, czym warto byłoby zaprzętać sobie głowę, poszedłem do łazienki, gdzie spędziłem następną godzinę. Po mnie wszedł tam Jur i również nie było go bardzo długo.

- Teraz także polecicie wy dwaj? - spytał cierpko Nett, kiedy opróżniwszy pewną liczbę pojemników z żywnością, bez słowa spojrzeliśmy sobie z Jurem w oczy.

- Tak samo jak przedtem - odpowiedziałem z naciskiem, odrobinę twardszym tonem, aniżeli to było niezbędne. Wspomnienie tego, co on nazywał "szumem", wbrew mojej woli burzyło we mnie krew.

Ptaszek czekał już przed śluzą, dokładnie tak samo jak za pierwszym razem. Kiedy osłona kabiny zamknęła się nad naszymi głowami, znowu uderzyło mnie podobieństwo jej ruchomych segmentów do skrzydeł wielkiej ważki.

3.

Zapaliliśmy wszystkie reflektory, ale ptaszek był zbyt małą jednostką, by oświetlić cały ziemski statek, który przebył dziesiątki parseków, aby tu zakończyć swoją wędrówkę. Długo krążyliśmy wokół niego, posługując się jedynie silnikiem dziobowym, zanim wyrobiliśmy sobie pogląd na to, w jakim naprawdę jest stanie.

Otwarta kłapa włazu świadczyła o tym, że w pomieszczeniach statku nie było powietrza. Z kolei nie domknięte wewnętrzne drzwi śluzy pozwalały przypuszczać, że mimo wszystko ktoś próbował dostać się do pojazdu, chociaż ten nie gwarantował już niczego, od kiedy automaty włazu odmówiły posłuszeństwa.

Ale nawet gdyby właz był w porządku, wewnątrz nie mógłby przetrwać nikt żywy. Od dziobu aż do szczytowej części korpusu biegła ostra szczerba, poświęcająca błękitnawo w blasku naszych reflektorów. Ta przestrzelina o poszarpanych, ostrych krawędziach, to pęknięcie, chociaż materiał komponowany nie pęka nigdy, jeśli nie zetknie się z antymateria, to jeszcze nie wszystko. Zwierciadło silnika fotonowego przypominało aluminiową spiralę. A cały korpus statku był dokładnie omieciony z anten.

Zresztą już samo położenie pojazdu świadczyło o tragedii, w jakiej musiał uczestniczyć. Powinien przecież trwać na posterunku w miejscu postoju stacji, gotowy w każdej chwili dać schronienie załodze i umożliwić jej szybką ucieczkę. Tymczasem nasze czujniki, kiedy weszliśmy do układu Bety Telmura, wykryły go w odległości dwa razy większej niż ta, jaka dzieli Ziemię od Księżyca. Czy uległ zniszczeniu jeszcze na orbicie, gdzie teraz czekał Nett, czy też już w czasie jakiegoś rozpaczliwego lotu, nie wiadomo dokąd? A jeśli nie sprawili tego ludzie, to kto?

- Cumujemy? - mruknął Jur.

- Nie - odpowiedziałem po namyśle. - Sądzę, że bezpieczniej będzie opukać to najpierw w pojedynkę. Masz ochotę?

- Uhm...

Sprawdziliśmy jeszcze raz szczelność skafandrów, po czym otworzyliśmy kabinę ptaszka.

- Będę czekał - powiedziałem do mikrofonu. - W razie czego zastaniesz drzwi otwarte.

- W razie czego - bąknął w odpowiedzi -nie będziesz mógł strzelać...

- Ja pozostanę za osłoną - odparłem uprzejmie. - W razie czego...

- Chyba że tak - ucieszył się.

Było aż nadto jasne, że nie będzie do kogo strzelać. Gdyby jednak wydarzyło się coś niemożliwego...

- Pusto i zimno - dobiegł mnie dwie minuty później głos Jura. Był już przy statku. Usłyszałem w słuchawkach ciche mlaśnięcie, z jakim magnesy jego butów przywarły do kadłuba.

- Nie siedź tam długo - powiedziałem. -

Opowiesz wszystko, kiedy wrócimy do Netta. Nie chciałbym pozbawiać go tej przyjemności...

- Nie bój się - odburknął.

Dłuższą chwilę panowała cisza. Alfa Eridana lśniła jasno i czysto jak u nas Wenus. Niebo południowe. Tak. Zabrnęliśmy bardzo daleko na południe. Zabawne. Dzieciom na Ziemi zawsze wydaje się, że na biegunie południowym jest cieplej niż na północnym. Ciepłej. Dobrze sobie.

- Jestem w sterowni - odezwał się znowu Jur. - Pusto. Klawisze komputera w pozycjach roboczych. Wskaźniki, rzecz jasna, czarne. Ekran też. Jeden, czołowy, strzaskany. Z tego pudła dawno już uleciało ostatnie tchnienie energii. Jednak niektóre sekcje ocalały...

- Bębny? - spytałem.

- Uhm...

- To już coś - powiedziałem po zastanowieniu. - Nie spodziewałem się...

Skoro bębny pamięciowe ocalały, może jednak czegoś się dowiemy. Oczywiście tylko w wypadku, jeśli katastrofę stacji poprzedziły jakieś wydarzenia, które zdążył zarejestrować komputer statku. Nie wyłączyli go przecież ani jego anten. To byłby zupełny nonsens.

- A sondy?

- Sondy są... raz, dwa... siedem. Nie wiesz, ile mieli?

- Mniejsza, ile mieli - odpowiedziałem. - Skoro zostało tylko siedem, to znaczy, że coś ich bardzo zaintrygowało... wtedy, kiedy byli jeszcze na pokładzie.

- Uhm - mruknał. - Odblokowuję płytę maszynowni...
- Uważaj - rzuciłem bezmyślnie, bo skoro czujniki nie wykryły śladów energii, to nie mogło być mowy o promieniowaniu, choćby szczątkowym.
- Butle są rozmagnesowane - odpowiedział już bardziej czystym głosem, lekko tylko zdyszany.

Tak. Ten wrak miał tutaj zostać po wiek wieków. Zamknięte w magnetycznych butlach cząsteczki antymaterii, paliwo silników fotonowych, uleciały do ostatniej. Zresztą gdyby nawet były pełne, naprawa zwierciadła i ustawienie jego ogniska przekraczało możliwości techniczno-konstrukcyjne automatów, które przywieźliśmy ze sobą.

- Wracaj już - mruknałem. - Szkoda czasu...

Chwilę później ujrzałem płomyk jego pistoleciku. Skierowałem w tę stronę snop światła. Zauważyłem, że w lewej dłoni trzyma jakiś niewielki, podłużny przedmiot. Nie zatrzymując się wypłynął w przestrzeń i wylądował obok mnie w kabinie. Chwyciłem go za nogę i pomogłem usiąść w fotelu. Następnie odepchnąłem się ręką od statku i dopiero gdy ten rozmył się w czerni, zaniknąłem kabinę ptaszka.

Kiedy na ekranie tachdaru ukazał się biały punkcik, miejsce, gdzie czekał na nas Nett, spytałem:

- Co tam masz?

Otworzył dłoń i podsunął mi ją przed kask. Moim oczom ukazał się maleńki automacik kosmetyczny. Jego siteczko, przez które kiedyś delikatną skórę kobiecej twarzy bombardowały rozproszone drobiny pachnącego, ożywczego kremu, było zgięte w pół i zakleszczone, jakby jakieś dziecko chciało za pomocą młotka sprawdzić, co jest w środku. Ale na pokładzie statku, który sunął teraz za nami, ślepy i bezwładny, nie było dzieci. Była natomiast kobieta. Jedna.

- Na twoim miejscu dałbym to Nettowi - mruknałem. Poczuję suchość w ustach i musiałem odchrząknąć. - Niech pomyśli...

- Nie dam mu - odpowiedział spokojnie Jur. - A może ty chciałbyś? - zawiesił głos.

- Ja tego nie znalazłem.

- Wobec tego zatrzymam dla niej... kiedy ją znajdziemy.

Nie odpowiedziałem. Znajdziemy? Pewnie, że znajdziemy. Skoro znaleźliśmy już tyle...

Nazajutrz rano przejrzelśmy filmy, zrobione w czasie okrążania planety chmur. Wraz z nami analizowały zdjęcia wszystkie sekcje komputera, które mogły się przyczynić do wyjaśnienia tajemnicy jakiejś uchwyconej przez kamery zagadkowej formacji czy konstrukcji. Ale nie natrafiliśmy na żadną zagadkę, której warto byłoby poświęcić choć chwilę uwagi. Pozostała jedna, kluczowa. Dlaczego stacja z jej załogą rozplynęła się w przestrzeni.

Analiza bębnow pamięciowych komputera strzaskanego statku zajmie trochę czasu. Nie będziemy całą trójką sterczeć beczynnym przed pulpitem. A więc, po planecie i statku, przyszła kolej na najbliższy księżyc.

- Dalej chcecie dostawać tylko kod namiarowy? - spytał Nett.

- To zależy od ciebie - odpowiedziałem. - Nie sądzę, abyśmy tam coś znaleźli. Jednak pogrzebiemy trochę. Gdybyś tu natrafił na jakąś wskazówkę, przejdź na normalną łączność. Może to się opłaci...

- Słuchałeś uważnie? - spytał pozornie od rzeczy Jur.

Nett zrobił nieokreśloną minę, po czym nagle odwrócił twarz.

- No...

- Powinieneś być słuchać - stwierdził autorytatywnie Galin. - Ty, zdaje się, jesteś odporny na tę odrobinę hałasu. Wykorzystaj to. Tam nie ma pamięci. Ale czy jesteśmy tego zupełnie pewni? Może niektóre informacje wracają, odbite czy jak, może są po pewnym czasie dublowane?... Kto wie, czy nie powtarzają impulsów przekazanych już przez sąsiadów?

Otworzyłem usta, żeby powiedzieć, co o tym myślę, ale ubiegł mnie Nett.

- Mówisz poważnie? - spytał spoglądając na Jura, jakby go ujrzał po raz pierwszy w życiu.

- Jak najpoważniej - potwierdził zapytany. Teraz z kolei ja spojrzełem na niego z niedowierzaniem.

- Zdajesz sobie sprawę, czym to pachnie? - rzuciłem cierpko. - Jemu się nie dziwię - wskazałem wzrokiem Netta - ale żebyś ty go jeszcze zachęcał?...

- Tu wszystko pachnie cmentarzem - odburknął po chwili Galin. - Cmentarzem, po którym błakają się duchy. Jeśli nie ma żywych, od których moglibyśmy się czegoś dowiedzieć, to dlaczego nie zapytać duchów?...

- To już nie moja dziedzina - stwierdziłem z przekąsem. Nie spodziewałem się, że właśnie Galin tak lekko zaproponuje dopuszczenie do pokładowych zespołów informatycznych wszystkich impulsów, jakie produkuje ta zwariowana planeta z jej śmierdzącą hodowlą. Co do Netta, to ten najwyżej zwariuje. Szaleństwo człowieka można wyleczyć. Szaleństwa komputerów, kiedy jest się o lata świetlne od Ziemi, nie. A przecież tylko od "zdrowia" tych komputerów z ich wszystkimi zespołami zależy, czy owe lata świetlne zmieniają się kiedyś w kilometry.

- Wszystkich selektorów nie pozwalam wyłączyć - powiedziałem po chwili. - Jeśli coś znajdziesz... cokolwiek, nie rób nic. Czekaj na nas. Zrozumiałeś?

- Chyba tak. Zapomniałeś, że kiedy tu przylecieliśmy, sam przez kilka sekund trzymałeś otwarty nasłuch... z wyłączonymi selektorami - odpowiedział spokojnie Nett.

Wstałem. Jur sięgnął natychmiast po swój kask.

- Wezwać ptaszka? - spytał.

- Tak. I każ automatowi przygotować coś do jedzenia. Tym razem możemy być poza domem trochę dłużej...

Zrobiliśmy dwie rundy wokół księżyca i po sprawdzeniu, że wygląda dokładnie tak, jak na przechowywanych na Ziemi hologramach, wzięliśmy bezpośredni kurs na jeden z kraterów, w sąsiedztwie którego występowała obfitość złóż pierwiastków ziem rzadkich, eksploatowanych tu swego czasu przez budowniczych stacji zarówno dla uzupełnienia paliwa, jak i jako surowiec do produkcji materiałów konstrukcyjnych.

Ptaszek zatoczył łuk, jak to robią prawdziwe, żywe ptaki, upatrzwszy sobie miejsce do lądowania, i usiadł miękko na swoich pająkowatych amortyzatorach. Otworzyłemabinę. Otoczyła nas noc. Gwiazdy były inne, ale świeciły tak samo, tak samo daleko, spokojnie i biało. Ich beznamienne ogniki dawały poczucie, że dookoła jest świat, a nie pustka. Gdyby nie gwiazdy, człowiek nigdy nie ruszyłby się poza granice układu słonecznego. Samotność stałaby się wówczas nie do zniesienia. A może to tylko kwestia przyzwyczajenia?

Kiedy pojazd znieruchomiał, wstałem i nie wychodząc na razie z kabiny, rozejrzałem się.

Coś bardzo podobnego oglądali zapewne pierwsi kosmonauci, którzy dotarli, jak to się dawniej pięknie mówiło, do Srebrnego Globu.

O srebrze, rzecz jasna, nie było mowy. Za to poszarpane ostro krawędzie dawnego krateru rzucały takie same twarde, przepastne cienie, jak na Lunie. Tam, gdzie schodziły najniżej, ukazywały się na horyzoncie wierzchołki spiczastych, skalistych gór, niemal białych w słońcu i czarnych w miejscach, do których nie docierały jego promienie. Samo słońce stało za naszymi plecami, bardziej żółte niż ziemskie, ale tu, na pozbawionym atmosfery satelicie dające tyle samo światła lub uciekające w równie głęboką noc.

Grunt wokół nas pokryty był cienką warstwą pyłu i rozrzuconymi bezładnie odłamkami skał. Tylko w jednym miejscu rozpościerał się jakby kwadratowy dywan, dokładnie wymieciony z kamieni, chociaż i na nim zdążył już osiąść białawy nalot. Wzdłuż jednego boku tego kwadratu ciągnął się rząd niskich anten, na pierwszy rzut oka nie uszkodzonych. Również widoczne w oddali, na skraju wykutego w skalistym podłożu wykopu, dwie automatyczne koparki sprawiały wrażenie gotowych w każdej chwili do podjęcia pracy. Od tego wykopu ciągnął się pas wyjeżdżonego gruntu, prowadzący ku niskiej kopulastej budowli, do połowy wkutej w pojedyncze wzgórze. Właz prowadzący do wnętrza mikroskopijnej bazy był zatrzęsnięty na głucho.

- No i co? - mruknął Jur, raczej do siebie niż do mnie.

Wzruszyłem ramionami.

- Od czego zaczynamy? Zastanowił się przez moment.

- Myślisz, że instalowali przy tych antenach - wskazał ręką lądowisko - normalną aparaturę pomiarową? A jeśli tak, to czy wyposażyli ją w jakieś zespoły rejestrujące?

Wpatrzyłem się w ślady, które pozostały po naszych poprzednikach.

- Co to jest? - głos Jura zabrzmiał naraz dziwnie obco. Odwróciłem się do niego. Podniósł się także i stał bez ruchu, z głową skierowaną w stronę przeciwną do tej, gdzie znajdowała się baza. Poszedłem za jego wzrokiem i osłepłem. Słońce stało tuż nad krawędzią krateru, zderzyłem się oczami wprost z jego gorejąca, ogromną tarczą.

Usłyszałem, że Jur wali się na fotel i uruchamia silnik. Na szybę mojego kasku nasunęła się już osłona przeciwsłoneczna, mimo to jeszcze przez dobrą chwilę widziałem tylko przemieszczające się niemrawo wielkie, mgliste koła. Wreszcie poruszyłem niecierpliwie głową i przejrzałem.

- Sygnał! - rzuciłem, nie patrząc co robi Galin.

- Nie odpowiadają!

- Start!

Wgniotło mnie w fotel. Zapomniałem usiąść. Zapomniałem o kablach, łączących mnie z pokładową aparaturą, o pasach, o wszystkim. Gdyby nie te kable, poleciałbym w przestrzeń. Byłby to najmniej odpowiedni moment po temu.

- Czujniki? Milczenie.

Nad postrzępionym grzebieniem krateru, w miejscu, gdzie pomiędzy dwiema skalnymi basztami tworzyło się jakby małe siodełko, widniała... ziemská stacja. Cała i nienaruszona. Ogromne lustra antyradiacyjne i radioteleskopy, umocowane do rufowej części pancerza, poruszały się spokojnie, przeczesując przestrzeń i broniąc przed nią równocześnie. Żółto-pomarańczowe kwadraty, w jakie wymalowany był cały korpus obiektu, nie traciły barw nawet teraz, kiedy patrzyliśmy pod słońce. Z przodu, na płaskiej platformie lądowiska widniały dwa lub trzy małe pojazdy robocze. Zdawało mi się, że przy jednym z nich pochwyciłem jakiś ruch. Ręka w grubym białym skafandrze... krótki błysk światła w szkle kasku...

Światła? Jakiego światła? - przemknęło mi przez myśl.

Klimatyzacja skafandrów działała bez zarzutu, mimo to przez moje plecy z wolna przemaszerował pochód zimnych jak lód mrówek.

- Czujniki? - powtórzyłem. Znałem już jednak odpowiedź. To znaczy wiedziałem, że nie będzie żadnej. Ten błysk światła w kasku, podczas gdy ogromna tarcza tutejszego słońca stała dokładnie na przedłużeniu linii łączącej nas z ową postacią w skafandrze!

Jeszcze sekunda, dwie, "stacja" była już nie dalej niż o dwieście metrów, kiedy nagle jej obraz zafalował, zbladł, po czym wielka konstrukcja, w poszukiwaniu której przemierzyliśmy pół galaktyki, osunęła się w dół, spływając po skałach jak swój własny, kolorowy cień.

- Stopuję - wykrztusił Jur.

Świergot silników ucichł. Pojazd sunął jeszcze rozpędem, łagodnie obniżając lot. Usiedliśmy dokładnie w tym samym miejscu, gdzie kilka sekund wcześniej w zapyłony grunt obcego satelity wsiąkła ziemską placówka badawcza.

Mijały sekundy. Obaj podnieśliśmy się z foteli i staliśmy jak zahipnotyzowani, wciąż jeszcze bezsensownie szukając wzrokiem śladu tego cienia, który zjawił się jakby tylko po to, żeby nam unaocznic całą obcość świata gwiazd, jego obojętność, bo nie okrucieństwo nawet, względem zablakanego w nim życia.

W końcu, po długiej chwili, usiadłem z powrotem i spojrzałem w okienka czujników. Były ślepe. Nie mrugnęły ani razu, od samego początku tej sceny, jakby wyjętej z filmu o starożytnych karawanach, wędrujących przez pustynię ku nie istniejącym oazom, jeziorom i lasom palmowym. W pulpicie centralki komunikacyjnej pulsowało jedno maleńkie zielone oczko. Automatyczny kod namiarowy, łączący nas żywą nicią z Nettem. Poza tym oczkiem wszystkie lampki były ciemne.

- Gdyby to uciekło do sąsiedniej galaktyki - mruknął po jakimś czasie Jur - wiedziałbym przynajmniej, co myśleć...

Oczywiście, mogło być i tak, że ktoś, kto uprowadził ziemską stację, postanowił ją nam pokazać w nadziei, że podążymy jej śladem. Piękna hipoteza... Cóż z tego, skoro stacja nie uleciała, żeby nam wskazać drogę, tylko rozplynęła się na powierzchni tego zasmolonego księżyca.

Fatamorgana. Skąd? Dlaczego? Zresztą nawet nie, bo przecież i miraży potrzebują atmosfery. Złudzenie optyczne w próżni? Więc mimo wszystko coś nowego...

Temu złudzeniu uległy jednak tylko nasze oczy. Obraz stacji nie wprowadził w błąd czujników pokładowej informatyki. Tarcze tachdaru i lidarów pozostały ciemne i puste, szperacze ferroindukcyjne milczały.

- Wracamy? - usłyszałem w słuchawkach.

Spojrzałem na niego. Siedział obok w fotelu i patrzył przed siebie. Dłonie w wielkich próżniowych rękawicach położył na kolanach. Za szybą hełmu widziałem jego szare, szeroko rozstawione oczy. Raz i drugi poruszył nieznacznie wargami, jakby chciał zapamiętać coś, co właśnie przyszło mu na myśl.

Spenetrowanie lądowiska, dawnych wyrobisk i konstrukcji, pozostawionych przez budowniczych stacji i jej załogę, zajęło nam nie więcej niż półtorej godziny. W pobliżu anten uczeni istotnie zainstalowali aparaty pomiarowe, których przeznaczeniem było badanie promieniowania kosmicznego, wiatru słonecznego, warunków geofizycznych panujących na powierzchni globu oraz zjawisk zachodzących w jego najbliższym kosmicznym sąsiedztwie. Jednak fakt, że aparaturę zaprogramowano tak, aby zebrane dane zapisywała na miejscu, czynił ją dla nas bezużyteczną. Co innego, gdyby wyposażyli ją w anteny, zdolne przekazywać informacje do miejsca stałego pobytu stacji. Wtedy moglibyśmy mieć nadzieję, że te urządzenia nadawcze przemieniały się chwilami w odbiorniki, choćby po to, by przyjmować

kolejne polecenia i że takie właśnie odwrócenie ról nastąpiło akurat w momencie, kiedy stacja opuszczała swoją orbitę na drugiej planecie Bety lub kiedy przestawała istnieć.

Zapisaliśmy dane, zgromadzone w bębnach pamięciowych osieroconych automatów i skierowaliśmy się w stronę bazy. Jej właz otwierał się zwyczajnie. Zamknęliśmy go za sobą i po sprawdzeniu szczelności budowli uruchomiliśmy miejscową elektrownię. Zapłonęły ksenonowe lampki, wskaźnik temperatury obudził się i zaczął powoli pełznąć w górę, ku czerwonej kresce, po przekroczeniu której powinny się automatycznie włączyć urządzenia klimatyzacyjne. Minutę później ruszyły sprężarki. Wody i tlenu było pod dostatkiem. Żywność mieliśmy ze sobą. Rozsiadłem się wygodnie, wyciągając nogi na całą ich długość. Następnie bez pośpiechu zdjąłem kask i głęboko wciągnąłem do płuc lekkie powietrze. Odczułem ulgę.

Jur zajął miejsce na wprost mnie. Baza była tak mała, że nasze stopy omal nie zetknęły się pośrodku jej jedynej kabiny.

- No? - mruknął. Skinąłem głową.

- Ten błysk, co?

- Tak. To chyba było na orbicie... w czasie dnia. Zwykły, codzienny obraz pracy stacji. Niczego nie znaleźliśmy, ale coś udało nam się przecież zobaczyć...

- Myślę, że wiem - powiedziałem z namysłem. - A ty?

Uniósł brwi i przytrzymał je chwilę w tej pozycji. Stanowczo mógłby być mniej do mnie podobny.

- Hipotezy? - spytał.

- Nie - westchnąłem. - Domysły.

- Skoro tak, to wiem - oświadczył nie zmienionym, lekkim tonem. - Błędny ognek. Informacyjny, rzecz jasna. Zabłąkany odprysk przechwytywanych i oddawanych kosmosowi wiadomości. Ta planeta, a raczej ocean...

- Tak - przymknąłem oczy. Poczułem, że ogarnia mnie senność i otwarłem je znowu. - Myślę, że tak - powtórzyłem. - Informacji, przetworzona na język obrazu. Jeśli coś zbiera wszystkie możliwe dane i bez wyboru wysyła je dalej, z pewnością nie przebiera także w sposobie ich kodowania. Oprócz dźwięków muszą być obrazy, zapisy liczbowe, liniowe, barwy, różne rodzaje promieniowania i tak dalej. Dziwne tylko, że ujrzelśmy kompletny obraz... raczej powinien to być nieczytelny fragment, jakaś wyrwana na oślep płytka stanowiąca część wielkiego witrażu.

- Uhm - zgodził się. - Takie rzeczy zapewne zdarzają się ogromnie rzadko... ale przecież i one należą do gry. Mieliśmy szczęście. To wszystko.

- Niezupełnie wszystko. Nie tylko nas mogła spotkać przyjemność obejrzenia sobie zwykłego, roboczego dnia stacji. Przypuśćmy, że ta cywilizacja przetrwała jakimś cudem potop informacyjny) że dajmy na to, nie mogąc zatrzymać raz puszczonej w ruch hodowli oceanicznej, przeniosła się do dalej położonego układu i że ujrzawszy nagle to, co my przed chwilą, poczuła się dotknięta odwiedzinami bez zaproszenia. I wtedy...

- Wysłała ekspedycję - wpadł mi w słowo Jur - która pośpieszyła doręczyć ludziom to zaproszenie. Dopilnowali, żeby ziemska załoga im nie odmówiła. W swojej gościnności posunęli się tak daleko, że rozwalili statek, na którym przybysze mogliby dać drapaką. A także zablokowali łączność. Chcą ich mieć tylko dla siebie...

- Przestań błaznować - powiedziałem bez uśmiechu. - Nie wiedziałem, że jesteś takim gadułą...

- To nie hipotezy - przerwał mi karcącym tonem - tylko...

- ...domysły - uzupełniłem. - Zgadza się. Masz rację. Są u nich. Ale oni jeszcze nie wiedzą, że przylecieli następni goście. Będziemy czekać na zaproszenie, czy postaramy się o nie sami?

- Ja bym poczekał - powiedział. - Ale Nett nie zechce...

W tym momencie w kabinie rozległo się ciche brzęczenie. Poczułem delikatne mrowienie na przegubie dłoni. Nett jakby usłyszał, że Jur wymienił jego imię.

Spod tarczy komponu wysunąłem miniaturową blaszkę, na której natychmiast pojawiła się twarz Netta, wielkości główki szpilki. Ułamek sekundy później rozrosła mi się przed oczami. Płynne kryształy to jednak wielka rzecz.

- Lan, Jur! - jego głos brzmiał czysto, ale obco. Wyczuwało się w nim napięcie.

- Słyszę cię - powiedziałem, zerkając w Stronę leżącego na stoliku kasku z tkwiącym w nim mikrofonikiem. - Co się stało?

- Widziałem ją! Lan, ja ją widziałem! - Stację?

Chwilę panowało milczenie.

- Stację? Jaka stację?

- Co widziałeś, Nett? - spytał łagodnie Jur.

- Airę...

- Co?!!!

- Ja... - zawahał się przez moment - wysłałem sondy... i...

- Sondy? - przerwałem. - Kto cię o to prosił?

- Pozwoliłeś wyłączyć tylko część selektorów - przypomniał. - Niektóre zespoły komputera były bezrobotne. Nasłuch też mogłem prowadzić tylko połową torów. Pomyślałem więc, że szkoda czasu... i tak przecież prędzej czy później musimy przeczesać cały układ Bety. Więc wysłałem sondy... najpierw na trzecią planetę, później czwartą i tak dalej. W sumie osiem. Dałem im krótkie programy...

- Dobra - przerwałem znowu. - I co?

- Nie analizowałem wszystkich danych, jakie przekazywały - ciągnął. - Myślałem, że zrobimy to razem, kiedy wrócicie. Od czasu do czasu jednak łączyłem się z którąś z nich i wtedy puszczałem także na ekran obraz, notowany przez jej kamery. No i w pewnym momencie... - głos mu się załamał. Usłyszeliśmy jakby urwany szloch, po czym w słuchawkach zazgrzytało.

Nie ponaglałem go. Samemu zrobiło mi się głupio. Aira.

- Lan, ona się uśmiechała - Nett odzyskał w końcu zdolność mówienia.

- Była w skafandrze, ale bez kasku. Skąd... skąd... na tych planetach nie ma przecież atmosfery... nie ma nic!

- Na trzeciej jest - bąknąłem.

- Ale ta sonda akurat szła po orbicie siódmej. To jest dalej niż u nas od Słońca do Uranu...

- Spokojnie, Nett - powiedziałem wreszcie. - My także widzieliśmy coś. Stację. Dlatego w pierwszej chwili ona właśnie przyszła mi na myśl. Nie domyślasz się, co to jest?

- Ktoś utrwalił obraz... ale dlaczego?

- Ten ocean, widzisz... - zaczął Jur.

- Krótko mówiąc - ogarnęło mnie nagle rozdrażnienie - marzyłeś przecież o obcowaniu ze wszystkim. Czy twarz Airy nie należy do... wszystkiego?

Nie odpowiadał przez dłuższą chwilę.

- Pomyśl sobie, że to był jeden z twoich obrazków - podjąłem zmienionym tonem. - Malujesz linie, zgoda. Ale przecież brałeś je między innymi stąd, z tego żywego wulkanu informacyjnego. One coś znaczą, Nett. Kto wie, jakie twarze zobaczyłbyś, gdyby ci się udało odczytać znaczenie tego wszystkiego, co stoi w twojej pracowni...

Znowu zaległa cisza.

- Szum - powiedział wreszcie Nett. - Macie rację. To tylko szum...

- Na twoim miejscu - Jur uśmiechnął się niewesoło - nie przejmowałbym się tym, co przypadkiem zobaczyłeś. Przecież wiemy, że ona tu była... Potraktowałbym to zdarzenie jako potwierdzenie tezy, że szum... swoją drogą żonglujemy tym pojęciem jak dzieci, a przecież naprawdę szum informacyjny to coś bardzo konkretnego... ale niech już tak będzie. Otóż przekonałeś się po prostu, że ten szum może być pożyteczny... dla kogoś, kto okaże się dostatecznie cierpliwy. Zajmij się nasłuchem... skup uwagę na tych antenach, które przekazują komputerowi dane bez pośrednictwa selektorów... choćby to się nie podobało Lanowi - zwrócił uśmiechniętą twarz w moją stronę. - Może po obrazkach przyjdzie kolej na coś innego?

- Pilnuj namiaru i pod żadnym pozorem nie wyłączaj więcej niż połowę selektorów - rzuciłem sucho. - Choćby to się nie podobało nie tylko tobie samemu, ale i Jurowi. Jasne?

- Uhm..

- To wyłącz się.

- Nie umiesz brać ludzi takimi, jakimi są - stwierdził po chwili Jur, mierząc mnie pogodnym wzrokiem. - Mówię to, bo ciągle jeszcze odpoczywamy - zastrzegł się szybko widząc, że otwieram usta, by coś powiedzieć. Kiedy zamknąłem je bez słowa i wzruszyłem ramionami, dodał: - Ponoć dawniej szaleńcy dość łatwo rozumieli się nawzajem, chociaż nie rozumiał ich nikt poza nimi. Tak sobie myślę, że w tym zwariowanym układzie szczypta szaleństwa może się okazać niezbędna... a w każdym razie ja nie próbowałbym jej eliminować z gry... skoro i tak gramy w ciemno.

- Zauważyłeś - powiedziałem cierpko - że jesteśmy do siebie podobni.

Jego uśmiech stał się odrobinę szerszy.

- Od pierwszej chwili.

- Nie znałem cię przedtem - mówiłem dalej. - Kiedy cię zobaczyłem, pomyślałem, że będziemy się rozumieć. Okazuje się jednak, że aby znaleźć z tobą wspólny język, musiałbym najpierw zwariować. Czuję, że zrezygnuję z tej przyjemności. Oto do czego prowadzi przyjmowanie informacji, jak leca, bez sita selekcyjnego. Przecież twarz człowieka, jej rysy, oczy, usta, kształt nosa - to wszystko także są informacje. Kiedy ma się do czynienia z dwiema takimi samymi twarzami, człowiek mimo woli myśli, że za nimi kryją się również inne podobieństwa. I popełnia błąd. Jestem zmęczony - powiedziałem. - Zmęczony i śpiący. Wtedy zawsze gadam za dużo...

- Człowiek zmęczony i śpiący - podchwycił - łatwo się myli. Nie mówię, że tak jest. Ale mogłoby być. Może informacje, jakie na pierwszy rzut oka odebrałby ktoś, kto ujrzałby nas razem, wcale nie okazałyby się fałszywe...

- Chcesz powiedzieć, że w gruncie rzeczy jesteśmy do siebie podobni... mimo zewnętrznego podobieństwa. Mylisz się. Ty jesteś bardziej podobny do Netta. Co robimy? Bo chyba naprawdę dość już gadania?

- Dość - przyznał. - Ale tu przecież nie ma nic... nic - powtórzył, bezradnie rozkładając ręce.

Tym razem nie mylił się, niestety.

Pracowaliśmy uczciwie jedenaście godzin. Przeczesałiśmy czujnikami bazę, jej zaplecze energetyczne, nawet fundamenty. Powoli, metr po metrze, przejechaliśmy całą powierzchnię krateru. Przelecieliśmy nad otaczającym go pierścieniem skał. Wyrzuciliśmy trzy małe sondy, bo tyle miał ich na pokładzie ptaszek, i wreszcie, kiedy wróciły z niczym, poszliśmy spać.

Avona uśmiechała się. Nie do mnie. Po prostu się uśmiechała. Może ktoś stał za moimi plecami i także uśmiechał się do niej, ale jej oczy nie były utkwione w żadnym punkcie, nie widziały nic, nie chciały widzieć. Ten uśmiech nie był przeznaczony dla nikogo.

I nagle jej twarz zaczęła rosnać, stawała się większa i większa. Czułem, że powinienem wkroczyć w ten proces, przerwać go, zanim dojdzie do czegoś nieodwracalnego... nie robiłem jednak nic. Stałem na wprost płaskiej, nadnaturalnie wielkiej twarzy, mały cień ludzkiej sylwetki pod ogromnym ekranem, kiedy ten nagle zafalował i wydał się jak żagiel. Otworzyłem usta, ale nie udało mi się wydobyć słowa. Wtedy Avona zaczęła śpiewać. Przynajmniej w pierwszej chwili tak sądziłem. Zaraz potem okazało się bowiem, że spomiędzy jej zamkniętych warg wypływa drażniący, monotony świergot...

Otworzyłem oczy. Poczulem natarczywe mrowienie w przegubie dłoni i równocześnie zdałem sobie sprawę, że dźwięk, który słyszałem, nie należał do mojego snu.

Usiadłem. W kabinie było jasno, kładąc się nie zgasiliśmy światła. Jur nie spał już także. Wysunąłem ekranik i włączyłem fonię.

Tym razem głos Netta brzmiał sucho, oficjalnie.

- Lan, Jur, wzywam was! Lan, Jur...

- Lan na nasłuchu - odpowiedziałem, wpadając bezwiednie w jego ton.

- Uwaga, Lan - mówił teraz wolno, dobitnie. - Wszystkie wysłane przeze mnie sondy wróciły. Zwiadowca numer dwa, który badał trzecią planetę układu, najbliższą, przechwycił sygnał biologiczny jednego z członków załogi stacji. Sonda wróciła trzy godziny temu, ale ja dopiero teraz przesłuchuję zapisane w jej pojemnikach dane. Mam współrzędne punktu emisji. Próbowałem przejść na fonię, ale nie uzyskałem łączności. Zidentyfikowałem sygnały. Wysyła je kompon Mona Chippinga. Uwaga, Lan. Dane dotyczące planety. Tlen. Temperatury przeciętne nieco niższe niż na Ziemi. Promieniowanie w normie. Grubość atmosfery...

- Dobra, Nett - rzuciłem. - Startujemy. Polecimy tam Budkerem. Przygotuj, co trzeba. I wyślij następną sondę nad tę trzecią. Jeszcze coś?

Mówiąc to mocowałem już swój lekki próżniowy kask do magnetycznej kryzy skafandra.

- Nic. Czekam.

Tym razem Jur milczał. Dopiero kiedy byliśmy w połowie drogi do statku, powiedział:

- Teraz ja zostanę. Zastanowiłem się przez moment.

- Dlaczego?

- Ty pewnie będziesz chciał lecieć. A w końcu to Nett wysłał sondy.

- Jakie to ma znaczenie? - spytałem zimno. - Żadnego - odpowiedział spokojnie. - Tylko że stacja zniknęła dokładnie tam, gdzie teraz znajduje się nasz statek. A wokół zaczyna się coś dziać... nareszcie. Skoro ty nie chcesz, zostanę ja.

- Dobrze - powiedziałem. - Moje uznanie.

Rozumiałem doskonale jego prawdziwe intencje. Nie chciał, żeby Nett stale pozostawał na uboczu tych naszych przedsięwzięć, które niosły największe ryzyko i... największe szansę. Nie mylił się jednak co do jednego. W czasie ostatniego seansu łączności z Ziemią stacja badawcza znajdowała się dokładnie tam, gdzie teraz czekał na nas statek Centrali. Chronienie go należało do zadań równie odpowiedzialnych, jak udział w wyprawach poszukiwawczych. Jeśli chciałem być konsekwentny, musiałem to wziąć pod uwagę. Zważywszy, co sam nie tak dawno mówiłem o naszym malarzu.

Inaczej mówiąc, Jur delikatnie, ale bezpardonowo pokonał mnie moja własna broń.

Do momentu, kiedy na tarczy naszego tachdaru nie pojawiło się pięć połączonych kul, najeżonych antenami, nie odezwaliliśmy się do siebie ani razu.

Budker, wielki bojowy pojazd, zbudowany tak, że mógłby bez szkody dla ukrytych pod jego skorupą ludzi przewiercić na wylot jądro komety, czekał już przy otwartej klapie śluzy. We włazie stał Nett, w kompletnym skafandrze.

- Charakterystykę atmosfery, powierzchni planety i współrzędne punktu emisji sygnału umieściłem w programie - usłyszałem w słuchawkach. - Sprawdziłem. Odprowadzić ptaszka?

Mrużąc oczy porażone blaskiem wycelowanych w nas reflektorów, przepłynęliśmy kilka metrów próżni.

- Ptaszek zostanie tutaj, żeby Jur miał go w razie czego pod ręką - oświadczyłem. - Ty lecisz ze mną.

Zawahał się przez moment. Zerknął na swój kompon, jakby się zastanawiał, czy ma dość czasu, by przyjąć moją propozycję. Może oderwaliśmy go od szkicownika? - przeszło mi przez głowę. Był to przelotny wytwór unieruchomionej wyobraźni, celowo trzymanej przede mną na wodzy, żeby na razie nie myśleć o sygnałach Chippinga. Ale przypominałem sobie twarz Airy, którą widział on, a także twarz Avony z mojego snu, i nic nie powiedziałem.

W kabinie rozblęsnęła tarcza tachdaru. Wokół niej zasnuły się mlekiem pomocnicze ekrany lidarów i komputera. Na prawo i lewo okienka celowników dawały znać o swej gotowości blado-pomarańczowym światłem.

Położyłem się w fotelu i odczekałem, aż z góry wysunie się mocna, elastyczna czapa, aby objąć mój kask. Boczne poręcze foteli rozrosły się, opinając nasze piersi i brzuchy. Z tym przewiercaniem komety to oczywiście przesada, tak się tylko mówiło, faktem jednak jest, że człowiek zamknięty w Budkerze może przeżyć anihilację, znajdując się w bezpośrednim sąsiedztwie epicentrum. I pomyśleć, że trzy zewnętrzne warstwy jego pancerza były zbudowane z materiałów wymyślonych w instytucie, w którym pracowała cicha, spokojna Avona!

Lot z orbity drugiej na trzecią planetę Bety trwał krótko. Silniki już milczały. Jeszcze pięć minut i rozpocznie się spadanie. Wejdziemy w pole grawitacyjne globu, na którym czekał człowiek. Żywy człowiek, o czym świadczyły emitowane przez jego kompon fale biologiczne. Zaczęliśmy je odbierać poczawszy od czterdziestej minuty lotu. Teraz ukazywały się na ekraniku łączności, nadal nieme, bo wszelkie próby nawiązania łączności dźwiękowej spełzły na niczym.

Mon Chipping. Egzobiolog, bionik, pilot. Może właśnie konał, nie zdając sobie sprawy, że pomoc jest tak blisko? W każdym razie utracił przytomność. Inaczej musiałyby odebrać nasze wywoławcze sygnały i zgłosić się na fonii, a także na wizji.

Z dziobu Budkera trysnęły smugi ognia i pomknęły w stronę ładu. Minuta... dwie... trzy...

- Zero i zero - powiedziałem. - Do lądowania...

Obiektywy kamer przekazywały obraz niedalekiej już, obcej ziemi. Niewysokie, łagodne góry z wykruszonymi zębami skalnych grani. Jakaś równina. Nieregularna plama zieleni i znowu równina, pusta, brązowawa, zimna. Byliśmy już bardzo nisko. Odruchowo ująłem stery. W dole przelatywały jakieś białe, geometryczne figury, pojawiło się jakby koryto wyschniętej rzeki i nagle oślepił nas potworny błysk.

- Lan! - dobiegł mnie rozpaczliwy krzyk Netta.

Zmrużyłem oczy, nie zaniknąłem ich. Nie zamknąłem nawet na ułamek sekundy, chociaż nie widziałem kompletnie nic. Mogliśmy być na skraju krateru. Mogliśmy celować prosto w skalną ścianę. Ale Budker potrzebował jeszcze trochę czasu, żeby zwolnić do najmniejszej dopuszczalnej szybkości, poniżej której przestawał słuchać sterów.

Wreszcie przejrzałem. Mój kask automatycznie uzbroił się w osłonę przeciwsłoneczną, ale nie mieliśmy na sobie specjalnych ubiorów, czyli że stanowiła ją zwykła przyciemniona szybka. Taka osłona niewiele pomoże człowiekowi, który z odległości kilkuset metrów spojrzy wprost w gwiazdę. A to, co nas przywitało przed chwilą, tak właśnie wyglądało. W ostatnim momencie, kiedy mój wzrok przestawał już reagować na bodźce, spostrzegłem jeszcze tylko, że to przeraźliwe światło dzieli się na wszystkie barwy tęczy. - Zawracaj - usłyszałem w momencie, gdy zmieniałem już położenie sterów. W tym samym momencie z ekranów buchnęła w nas nowa fala jaskrawego światła. Ten drugi błysk był jednak nieco słabszy. Jego źródło leżało u podnóża niskich, łagodnych wzniesień, tam, gdzie kończyła się pustynia.

Biały punkcik powrócił na tarczę ekranu. Zielona nitka dotknęła go, zawahała się i znieruchomiała. Cel był dokładnie w miejscu, z którego atakowały nas oślepiające błyskawice kolorowego światła. Może niezupełnie dokładnie. Powiedzmy, pół kilometra na wschód.

Źródło emisji fal biologicznych, kompon Chippinga, jego samego, mieliśmy pod sobą. Spokojnie wyłączyłem silniki i powiedziałem: - W porządku. Ziemia.

4.

Wieżyczka zatoczyła pełne koło, a my razem z nią.

- Pusto - mruknął Nett.

- Pusto - zgodziłem się. - Pusto i nieprzytulnie...

Staliśmy na wierzchołku niewielkiego garbu, pokrytego niską, skołtunioną roślinnością barwy zielonożółtej, z nikłym fioletowym nalotem. Na wschodzie wzgórze stawały się coraz wyższe, przechodząc jakieś półtora kilometra dalej w zbocza górskiego pasma. Na północy i południu rozciągała się pustynia. Natomiast na zachód, poczynając od naszego punktu obserwacyjnego, maszerowały niskie wzniesienia, podobne do dużych wydm. Ich garby były mniej więcej równej wysokości, z rzadka tylko pojedynczy szczyt wystrzelał nad pozostałe. Jedno z takich wyższych wzgórz sterczało przed nami w odległości może pięćdziesięciu metrów, zakrywając sobą widok na wąski pas terenu, położony za nim.

Stamtąd właśnie, z zachodu, biegły ledwo uchwytne sygnały, świadczące o obecności człowieka. Ponad tym górującym nad innymi wzniesieniem musieliśmy przelecieć w ostatniej chwili przed lądowaniem. I właśnie tam znajdowało się także to coś, co powitało nas salwami światła.

Włączyłem nasłuch. Cisza. Powietrze było martwe, nieruchome. Nikłe, dalekie trzaski, echa wielkiej pustki. Ani śladu szumu czy chociażby szelestu tutejszej trawy.

I nagle w tej ciszy rozległ się przytłumiony, ale mroźący krew w żyłach krzyk. Nieludzki. Nie dlatego, że rozpaczliwy, pełen grozy lub bólu. Rzecz właśnie w tym, że nie wyrażał żadnego ze znanych człowiekowi uczuć.

- Start! - rzuciłem, chwytając obiema dłońmi za pulpity.

- Wzgórze! - zawołał niemal równocześnie Nett.

Wzgórze. Tam, dokąd prowadził namiar, emitowany przez komponent Chippinga. Ale to nie on krzyczał. Chyba że...

Poczułem, że cierpnie mi skóra na policzkach.

Stoczyliśmy się z wierchołka trawiastego garbu. Budker cisnął nami niemiłosiernie. Jeszcze jeden skok, od którego żołądki podskoczyły nam do gardeł.

- Nie strzelaj! - usłyszałem w słuchawkach, ale moje palce same osunęły się z celowników. Żeby nie wiem jak starannie naprowadzałem miotacz na cel, nie mógłbym trafić tego czegoś, nie rażąc równocześnie postaci w białym, a raczej niegdyś białym skafandrze, której ręce i nogi zwisały bezwładnie, podczas gdy tułów tkwił w objęciach...

Gdyby to stworzenie stało się nieruchomo, przypominałoby może stylizowany pomnik, w formie ni to obelisku wspartego na czterech łukowato sklepionych podporach, ni to bramy, zakończonej smukłą wieżyczką. Ta ostatnia uciniała się gładko w pewnym punkcie, nie było tam śladu czegoś, co można by nazwać głową.

Prosta trąba, szyja, tego zresztą nie sposób nazwać po ludzku, zwinięta teraz supełkowato mniej więcej w połowie swej wysokości. Wewnątrz utworzonego w ten sposób węzła tkwił tors Chippinga. Nad białą plamą twarzy uczonego powiewały długie, proste włosy koloru miedzi. Jego dyndające bezwładnie stopy były białe. Stwór uciekał między dwa najbliższe wzniesienia. Może miał tam jakąś kryjówkę? Budker był jednak szybszy. Rzucił nami jeszcze raz i drugi, po czym na kolejnym stoku ujrzałem unoszące swój łup zwierzę tuż przed płasko ściętym dziobem maszyny. Wtedy w słuchawkach ponownie dał się słyszeć ów przeraźliwy krzyk. Równocześnie stworzenie rzuciło się w bok. Dopadaliśmy je już. Jeszcze jeden wysoki, chrapliwy wrzask. Kadłub zwierzęcia rozwinał się nagle. Był długi. Teraz, kiedy strzelił prosto ku górze, oceniłem jego wysokość na jakieś cztery metry.

Ostro zakręciłem, żeby nie wjechać na nieruchome, porzucone ciało Chippinga. Wieżyczka Budkera wysunęła się na szczyt wzgórza i raptem uderzył nas ponownie ów nieporównywalny z żadnym znanym światłem błysk, równie kolorowy i tak samo oslepiający jak tamten pierwszy, tuż przed lądowaniem.

Mrugając rozpaczliwie niewidzącymi oczami, szamotałem się chwilę z blokadą wjazdu. Bałem się uciekać do pomocy automatu, bo nie mogłem mieć żadnej pewności, że trafię palcem we właściwy klawisz na pulpicie. Za moment jednak i tak będę musiał otworzyć oczy, żeby odnaleźć Chippinga, zanim to stworzenie wróci... Może zresztą już wróciło, a ja wyskoczywszy z Budkera wpadnę prosto w pętlę, którą mi przygotowuje ze swojej monstrualnej szyi?

- Bzdury! - syknąłem przez zaciśnięte wargi. - Wyjść muszę, a skoro tak, to znaczy, że węzowaty stwór uciekł na dobre. Proste, nie?...

Kłapa puściła wreszcie z cichym trzaskiem, jakby coś pękło. Nic w Budkerze nie mogło pęknąć. Zeskoczyłem na ziemię, zatoczyłem się i upadłem.

- Namiar! - usłyszałem chrapliwy głos Netta.

Leżąc, podsunąłem sobie przegub dłoni przed same oczy i spojrzałem na ekranik. Nie zobaczyłem nic. Chipping nie prosił o pomoc, nie wzywał

nas ani nikogo. Tylko jego kompon sam, cierpliwie, bezustannie powtarzał swoje skierowane donikąd wołanie.

Mgła, przesłaniająca mi pole widzenia, zaczęła bardzo powoli rzednąć. Ukląknę i, pełzną na czworakach, zacząłem macać dokoła siebie, jakbym się upewniał, czy nie dotarłem do skraju przepaści.

- Na lewo, Lan - w głosie Netta zabrzmiała pewność. Posłuchałem. Nett, który pozostał przed ekranami, mógł już widzieć.

Widział rzeczywiście. Przekonałem się o tym. niemal od razu. Moja lewa ręka natrafiła na coś ciężkiego, twardego, ale poddającego się naciskowi. Jakbym dotknął worka napełnionego cukrem. Przejechałem dłonią, szukając twarzy i w tym momencie mgła ustąpiła.

Uniosłem głowę i rozejrzałem się. Pusto. Cicho. Jak okiem sięgnąć, ani śladu żywej istoty. Tylko moja dłoń spoczywa nadal na bezwładnym ciele pierwszego odnalezionego członka załogi ziemskiej stacji badawczej.

Ukląknę. Chipping leżał plecami do góry. Ostrożnie przewróciłem go na wznak. Błada jak papier twarz o ostrych, kanciastych rysach.

Oczy miał zamknięte. Ująłem go za przegub dłoni i poszukałem pulsu. Ledwo wyczuwalny. Czekał tu na nas długo... lichy wie, jak długo. Nie znaczy to jednak, że następna sekunda zwłoki nie mogła zadecydować o jego życiu. Wziąłem go na ręce i ruszyłem w stronę Budkera.

Nett czekał, wychylony do połowy z otwartej wieżyczki.

- Daj go - powiedział wyciągając ramiona. ,Wziął ode mnie nieprzytomnego uczonego i od razu uniósł go do wysokości swojej głowy. Zupełnie jakby był przygotowany na przyjęcie znacznie większego ciężaru.

Kiedy Nett zniknął wewnątrz pojazdu, wyprostowałem się i przez chwilę oddychałem głęboko, nie myśląc o niczym. Następnie odwróciłem się i wspiałem do maszyny.

Chipping leżał już w głębi kabiny, w fotelu przeznaczonym dla trzeciego pasażera. W jego ustach tkwiła końcówka aparatu tlenowego. Głowę miał oplataną pajęczyną cieniotkich przewodów, zbiegających się w płaskim pulpicie przystawki diagnostycznej i zespołu medycznego komputera. Przed tym pulpitem stał Nett i uruchamiał jakieś przekaźniki. Nie odwrócił się na-wet, kiedy wskoczyłem do środka.

Zostawiłem ich w spokoju. Było aż nazbyt oczywiste, że przynajmniej na razie Chipping nic nam nie powie o losie stacji i nie wyjaśni, skąd sam wziął się na tej planecie.

Sam?...

Namiar jego komponu przechwyciła jedna z sond, wysłanych przez Netta. Był to bardzo słaby sygnał... i bardzo szczęśliwy traf.

Podszedłem do sterów i przesunąłem Budkera tak, że znalazł się dokładnie na szczycie wzgórza. Zmarudziłem kilka minut, programując centralkę łączności, po czym wystrzeliłem jedna po drugiej wszystkie sondy, jakie mieliśmy w maszynie. Bo jeśli Chipping bawił tu w towarzystwie, mogło się zdarzyć, że innym zabrakło tej odrobiny szczęścia, dzięki której sonda wysłana z sąsiedniego globu przechwyciła akurat sygnał bionika.

Tym samym zadecydowałem, że zostaniemy tu jeszcze okrągłą dobę. Co najmniej tyle potrzebować będą aparaty zwiadowcze, żeby krążąc po niskich orbitach sprawdzić, czy w atmosferze globu nie błakają się czyjeś sygnały.

Zdjąłem kask i z przegrody ładunkowej wydobyłem inny, jeden z tych, które służą pilotom ruszającym w strefę Merkurego. Był cały biały, z wyjątkiem szyby. Człowiek mógł przez nią bezkarnie wpatrywać się w słońce całymi godzinami i to z odległości mierzonych w kilometrach.

Nett nadal zajęty był kuracją Chippinga. Ano, zobaczymy...

Umocowałem kask i ponownie otworzyłem właz.

- Od czasu do czasu - rzuciłem za siebie - zerknij na mój namiar. Nie chciałbyś chyba mieć dwóch pacjentów...

Okrażyłem maszynę i rozglądając się dokoła wyszedłem na sam szczyt wzniesienia. Pusto. Teraz jednak wiedzieliśmy już, że ta pustka i cisza są pozorne. Że pełnią rolę zasłony, za którą pleni się obce, groźne życie. Glob był na skraju słonecznej ekosfery układu. Powoli, ale nieubłaganie zamierał. Czy życie zamierało z nim razem, czy też może przygotowywało się do warunków, jakie za tysiące lat zapanują na tej ziemi? Za tysiące lat... ba, za tysiące lat! Mniejsza z tym. To kwestia w sam raz dla Netta...

Nie spiesząc się szedłem w stronę, z której atakowały nas owe piorunowe błyski. W pewnej chwili pobiegłem wzrokiem ku niebu i ujrzałem, że dzień już się kończy. Słońce schowało się właśnie za grzbiętami odległych gór. Było jeszcze jasno, ale od wschodu nadciągał już gęstniejący z wolna mrok.

Ponownie spojrzałem przed siebie i nagle ujrzałem to, czego szukałem. Przez kilka sekund stałem jak wryty, po czym nie odrywając wzroku od zbocza drugiego z kolei wzgórze, bo pierwsze było takie jak wszystkie inne, zacząłem bezwiednie iść dalej.

- Nett?

Zgłosił się od razu.

- Powinieneś coś obejrzeć. Co z nim?

- Na razie nic. Zrobiłem wszystko, co było można. Teraz pozostało czekać, aż...

- Zamiast czekać, przyjdź tutaj. Sprawdź programy, pole ostrzału, sprzężenie i zostaw go w spokoju.

Słuchawki zamilkły. Domyśliłem się, że zabezpiecza maszynę na wypadek, gdyby to stworzenie wróciło, samo lub w towarzystwie.

Byłem już blisko. Zrobiłem jeszcze kilka kroków, po czym zatrzymałem się. Usłyszałem oddech Netta. Był przyspieszony.

- Jestem - oświadczył. Stał tuż obok mnie. I podobnie jak mnie, nie przychodziło mu na myśl nic sensownego. Inaczej darowałyby sobie to spóźnione "jestem"...

Drugie wzgórze, licząc od wzniesienia, na którym został Budker, nie było wzgórzem. W każdym razie nie w potocznym znaczeniu tego słowa. Zamiast obłego garbu, z płaskiej, wylanej jakąś srebrzystą masą kotlinki strzelała w górę regularna piramida. Miniaturka w porównaniu z tym, co tłumy od tysiącleci oglądają w Egipcie. Ale tak zbudowanej, a raczej skonstruowanej - to odpowiedniejsze określenie - piramidy nie widział jeszcze nikt. Cała była z idealnie przezroczystego kryształu. Być może dlatego umknęła mojej uwadze, kiedy stojąc pod Budkerem po raz pierwszy spojrzałem w jej stronę. Ale to nie wszystko. Ten kryształ nie był jednolity. Ledwie widoczne ślady spojenia pojedynczych elementów, z których ułożono całość, tworzyły niesłychanie gęstą, regularną siatkę. Wzdłuż bocznych krawędzi ciągnęły się precyzyjnym grzebieniem trójkątne ostrza. Inaczej mówiąc cała piramida była złożona z idealnie równych, małych, biorąc pod uwagę, że użyto ich jako materiału budowlany, bezbłędnie wyszlifowanych kryształowych pryzmatów. Kiedy padały na nią promienie słoneczne, oddawała ich blask ze zwielokrotnioną siłą, wydobywając z nich równocześnie wszystkie barwy tęczy. Nic dziwnego, że ślepliśmy za każdym razem, kiedy stawaliśmy pomiędzy nią a słońcem. Mogliśmy sobie raczej pogratulować, że nie oślepliśmy z kretešem.

- Latarnia morska - bąknął w końcu Nett.

- Raczej punkt triangulacyjny - odpowiedziałem z przekąsem. -
Przyjechali, pomierzyli!...

- Tam się coś rusza! - przerwał mi. Rzeczywiście. Boki niektórych
pryzmatów ciemniały, jakby za nimi przesuwwały się jakieś kształty.
Inne pozostawały jasne...

Najpierw ujrzałem jakiś workowaty kształt, pocięty na regularne
kosteczki, niezbyt jednak przesunięte względem siebie, tak że obraz,
który tworzyły, dało się odczytać bez większego trudu. W następnym
ułamku sekundy rozpoznałem go. Wieżyczka. Anteny. Wyloty miotaczy.
Amortyzatory...

Budker. Ta piramida, ten klockowaty kryształowy twór pokazywał nam
teraz maszynę, którą przybyliśmy z sąsiedniej planety. Znowu ruch.
Obok pojazdu pojawiła się jakaś postać. Zafalowała, łamiąc się
zabawnie w krawędziach pryzmatów, i spadła w dół jak szmata. To
miałem być pewnie ja.

- To - wykrztusił Nett - ma pamięć... Pamięć. A właśnie. Po co?
Raczej należałoby spytać, dla kogo?

Spektakl dobiegł końca. Znowu mieliśmy przed oczami jedynie
nieruchomą, szklaną wieżę, jak z dekoracji teatralnej. Scena
opustoszała. Widownia...

Zacząłem iść wzdłuż bocznej ściany budowli. Niebo już ściemniało,
piramida była jednak nadal jasna, jej krawędzie rysowały się
niezwykle wyraźnie. Tak czasem na Ziemi wyglądają małe domy pokryte
świeżym śniegiem w czasie bezchmurnej, księżycowej nocy.

Za węglem mrok zgęstniał. I wtedy właśnie wewnątrz szklanej ściany
znowu pochwyciłem jakiś ruch. Stałem. Najpierw ujrzałem pionową
rurę. Nagle złamała się w pół, znikając za moment z pola widzenia. Za
chwilę wróciła. Była teraz zwinięta w węzeł, wewnątrz którego tkwiło
bezwładne ciało Chippinga.

Obraz przesunął się ku górze. Jakiś trawiasty garb, zapewne szczyt
jednego z okolicznych wzgórz. Moment później ukazały się na nim
cztery słupowate nogi. Wreszcie owa ni to trąba słońca, ni to tułów
węża pozbawionego głowy. Chippinga nie było widać. Dopiero po
dłuższej chwili rozpoznałem zarysy ciała, spoczywającego u stóp
nieruchomego teraz stworzenia.

- Kogga - usłyszałem głos Netta tak bliski i wyraźny, że aż się
wzdrygnąłem. Nie zauważyłem, kiedy nadszedł, okrążywszy przedtem
piramidę od przeciwnej strony.

- Co?

- Kogga - powtórzył, jakby rzecz była całkiem oczywista. - Stary
żaglowiec. Były wśród nich jednomasztowe. Kogga. Nie słyszałeś?

- Tak - odpowiedziałem cierpko. - Oczywiście, kogga. Widziałem w
ogrodzie zoologicznym. Kogga, rząd koggowatych, rodzina...

- A nie widziałeś gdzieś przypadkiem takiej piramidy?

- Właśnie chciałem ciebie o to zapytać. Nie, nie widziałem. Sadzę
jednak, że ty potrafisz ją jakoś zaszeregować. Od biedy mogłaby
uchodzić za dzieło sztuki. Proporcje...

- To jest bardzo ładne... - mruknął potakująco. - Takich rzeczy nie
musi się nazywać - dodał jakby od siebie. - Mogłaby stać na placu,
pośrodku parku...

- Żeby oślepiac zakochanych i dzieci - dokończyłem. - Pewnie. A może
zechcesz ją namalować?

- Nasze kamery sfotografowały ją już wielokrotnie... a wszystkie
możliwe dane zostaną zapisane w bębnach komputera -
odparł lodowatym tonem. - W razie czego potrafią to odtworzyć...

- To dobrze - mruknąłem - że nie chcesz tu rozstawiać sztalug. Jeszcze przyszliby jacyś ciekawscy. Ten stwór wygląda mi na przykład na wścibskiego - wskazałem ręką na nieruchome zwierzę, uwiecznione w jednobarwnym witrażu. - Ma taką długą szyję... przepraszam, zapomniałem, że to jest maszt. Jakże się to nazywa?

- Kogga - odpowiedział już łagodniejszym głosem.

- A może wiesz także, czym to właściwie krzyczy? Gdzie jednomasztowce miewają gęby? O, właśnie - dodałem szybko, bo akurat w tej samej chwili zza wzgórz dobiegł wysoki, przeciągły jęk.

- Mniejsza o gęby - Nett otrząsał się, jakby nagle dostał dreszczy.

- Sądzę, że tutaj napatrzyliśmy się już dosyć. Dałeś sondom sporo czasu - dodał bez związku. - Wracamy?

- Tak. Dałem sporo czasu... sondom, nam i wszystkiemu, co żyje na tej sympatycznej planetce. Wracamy.

Chipping leżał w nie zmienionej pozycji, z zamkniętymi oczami. To znaczy pozycji i tak nie mógł zmienić, bo pasy aparatury medycznej uniemożliwiały mu jakikolwiek ruch. Ale nadal nie odzyskał przytomności. Był przeraźliwie blady i oddychał z trudem. Od czasu do czasu pokaszliwał chrapliwie, jakby usiłował pozbyć się jakiejś przeszkody, która utkwiała mu w gardle. Sprawdziłem wskaźniki przystawki diagnostycznej, po czym szczelnie zamknąłem klapę wjazdu. Odczekałem, aż sprężarki wymieniają powietrze wewnątrz pojazdu. Kiedy umilkły, zrzuciłem ciężki kask i rozciągnąłem się w fotelu.

- Wyślij automat pod tą kupę szkła - powiedziałem do Netta, który krzątał się jeszcze przy Chippingu. - Niech tam postoi i popatrzy.

- Ale bez broni - zastrzegł się.

- Boisz się, żeby nie zatopił twojego jednomasztowca? - spytałem. - Czy też, że strzeli w piramidę i popsuje jej boskie proporcje?

- Po prostu nie uważam za słuszne, żeby ludzie, latając do gwiazd, zostawiali za sobą trupy... obcych istot lub zwierząt. Tak czy owak to nie nasza sprawa.

- Chipping to także nie nasza sprawa?

- Chipping żyje - zareplikował. - Skąd wiesz, w jakim stanie znalazło go to stworzenie i czy na przykład to, co z nim robiło, nie było jakaś swoista... opieka?

- Nie wiem - mruknąłem niechętnie. - Osobiście jednak wolałbym, żeby mnie w ten sposób nie niańczono...

- Nawet gdybyś miał zginać?

- Jeszcze żyję - warknąłem.

- Kogga także - odburknął, po czym zajął się programowaniem aparatu, który miał objąć posterunek przy kryształowej piramidzie.

Połączyłem się z sondami. Żadna z nich nie zarejestrowała bodaj śladu jakiegokolwiek sensownego sygnału. Żadna nie pochwyciła w obiektywy kamer zarysów konstrukcji, która przypominałaby stację lub też stanowiła produkt obcej cywilizacji.

Wychodziło na to, że jedyną pamiątką, jaką pozostawili tu po sobie przedstawiciele rasy, która na sąsiednim globie założyła hodowlę informacji, był ten ulepiony z pryzmatów stożek za najbliższym wzgórzem. O tym, że planeta jest nie zamieszкана, podobnie jak cały układ Bety Telmura, wiedzieliśmy już przedtem. Czyli nil novi sub sole... nie, nie sub sole, tylko pod słońcami. Wszystkimi.

Sondy wrócą dopiero w południe. Nie spodziewałem się rewelacji, ale trzeba czekać.

Ułożyłem się wygodnie i zamknąłem oczy. Cisza. Ten stwór, kogga, jak

chciał Nett, nie odzywał się już. Może podszedł pod maszynę i obwachuje teraz jej amortyzatory?

- Potwór - mruknąłem, nie otwierając oczu. Usłyszałem, że Nett układa się na sąsiednim fotelu. Chwilę marudził z oparciem, opuszczając je do odpowiedniej pozycji, po czym znieruchomiał.

- Co? - spytał sennym głosem. Uśmiechnąłem się do swoich myśli.

- Potwór - powtórzyłem. - Prawdziwy, żywy potwór. Jak z książek dla dzieci. Latało się tu i ówdzie, człowiek pałęta się po tym lunaparku od lat... zaraz... ilu to już?

- Ja od dwunastu.

- Ja nieco dłużej - stwierdziłem. - Ale nawet ci, którzy latają od stu lat, i ci, którzy ruszali w przestrzeń przed nimi, nigdy jeszcze nie spotkali na żadnym ze znanych globów bodaj odcisku stopy autentycznego kosmicznego monstrum. Możemy sobie pogratulować...

- Trzydzieści lat temu Seymour znalazł gdzieś w okolicy Procjona te pajęczaki...

- Uhm - uśmiechnąłem się znowu. - Wiem. Było wtedy trochę szumu, zwłaszcza kiedy się okazało, że tworzą jakieś organizacje, te niby mrowiska. Tylko że pajęczaki Seymura miały po pięć milimetrów długości... gdzie im tam do twojego koggi! Nie, mój drogi. Jesteśmy pierwsi. Wszystkiego się spodziewałem, tylko nie tego, że uda mi się w życiu spotkać wielkiego, uczciwego i stuprocentowo materialnego potwora, biegającego po jakiejś planecie.

- Co do mnie - odezwał się nieco mniej sennym głosem - sądzę, że w kosmosie istnieją mniej więcej wszystkie formy życia, jakie kiedykolwiek wylęgły się w wyobraźni człowieka. A to dlatego, że nasza wyobraźnia także jest częścią natury... i nie widzę powodu, dla którego by akurat ona musiała się cieszyć szczególnym przywilejem budowania żywych organizmów... jak zresztą i innych rodzajów czy kształtów materii.

- Bardzo piękny wywód - odparłem. - Przypuszczam, że ta teoryjka nawiązuje do idei obcowania ze wszystkim? - otworzyłem oczy, uderzony nową myślą. - A piramida? Powiedziałeś, że ma pamięć. Faktem jest, że przyzmaty zatrzymują w jakiś sposób obrazy, które ukazują się w najbliższej okolicy, a potem je powtarzają. Widziały i nas, ale tym nie musimy zaprzętać sobie głowy. Ważniejsze, że to może być próbka... eksperyment, rozumiesz?

Uniósł się na łokciach i spojrzał na mnie z zastanowieniem.

- Informacyjny?

- A jakże. Przylecieli tutaj, żeby w bezpiecznej odległości od domu urządzić sobie małe laboratorium. Najpierw robili próby z minerałami... lub z jeszcze innymi tworzywami. Wkrótce okazało się, że to za mało. Że z najpiękniejszych nawet przyzmacików nie da się zbudować protezowni inteligencji, która zdołałaby obsłużyć całą kosmiczną rasę. A nuż właśnie w tym czasie doszli do słusznego skądinąd wniosku, że sztuczna inteligencja nie umożliwi im kontaktu z całym potencjałem informacyjnym natury? Tak więc postawili tę piramidę, przekonali się, że to na nic, i polecili na sąsiednią planetę, żeby sobie zafundować żywą maszynę. Tutaj nie ma warunków... glob jest na krawędzi ekosfery, jak u nas Mars. Druga natomiast ma przed sobą długi żywot... no i nie hasają po niej potwory, które mogłyby zasmakować w oceanicznej hodowli. Czyli to, co widzieliśmy dzisiaj, oznaczałoby pierwszy etap ich poszukiwań... i pierwszą porażkę. Do prawdziwej klapy doszło niedługo później...

- Jesteś bardzo pewny tego, że ponieśli klęskę - zauważył kwaśno.

- Najzupełniej - potwierdziłem. - Kto wie, czy sam się nie przekonasz... może będziesz musiał. Życzyłbym sobie tylko, żeby ta klęska nie zaciążyła na całym, otaczającym nas teraz obszarze

Galaktyki. Ze względu na... - chciałem powiedzieć: Airę, ale ugryzłem się w język - ludzi - dokończyłem.

Zaległo milczenie. Nasłuch przyniósł odgłos jakiegoś bardzo dalekiego, ledwie uchwytnego szmeru. Zaszepotał przez kilka sekund, jakby w okolicy ktoś sypał na tekturową płytę pojedyncze ziarenka piasku, i ucichł.

- Niewiele widzieliśmy dotąd - odezwał się wreszcie Nett. - Wy obraz stacji... Nie stację, zgoda, tylko jej wizerunek... mniejsza, skąd się tam wziął. Ja widziałem Airę. I to wszystko. Jednak zechciej wziąć pod uwagę, że jedno i drugie zawdzięczamy tej hodowli...

Nie odpowiedziałem. Nett nie miał racji, kiedy przechodził do uogólnień. Spekulacje na temat jego argumentów nie wchodziły w rachubę. Pozostawały jednak fakty, które chcąc nie chcąc musiałem wziąć pod uwagę. Otóż faktem było, że jedynie bezprzykładowemu rozpasaniu informacyjnemu drugiej planety zawdzięczaliśmy widok stacji i Airy... widok tylko, ale taki widok w kosmosie stanowi konkret wart zapamiętania, nawet jeśli bezużyteczny. Może zresztą i nie całkiem bezużyteczny. W końcu jednak dowiedzieliśmy się czegoś o możliwościach tej hodowli. A więc punkt dla Netta. Teraz Chipping. Przecież to Nett wystrzelił sondy, kiedy my z Jurem przeszukiwaliśmy dawne wyrobiska na księżycu. Wysłał je sam, na własną odpowiedzialność. Drugi punkt.

- Te kryształki są rzeczywiście niebrzydkie - powiedziałem jakby nigdy nic. Następnie uniosłem głowę i spojrzałem na ekran. Strażnikowi, którego postawiliśmy pod piramidą, służba upływała w zupełnym spokoju. Nie działo się nic. Cisza, mrok, noc. Prawdziwa. Granatowe niebo, pełne filujących gwiazd. Prawdziwa noc jest wtedy, kiedy gwiazdy filują. A może to tylko odruch obronny człowieka, który niesie ze sobą do najdalszych światów wspomnienie ziemskiego nieba?

- Kryształki? - zamruczał niewyraźnie. - Masz rację, niebrzydkie...

- Dobranoc - powiedziałem cicho.

- Dobranoc.

Otworzyłem oczy i natychmiast zamknąłem je z powrotem. Ekran bezpośredniego podglądu zalane były jaskrawym, słonecznym światłem. Wypaliliśmy się za wszystkie czasy.

Leniwie sięgnąłem do rączki po prawej stronie fotela. Oparcie posłusznie wyniosło mnie do pozycji siedzącej. Odwróciłem głowę i ponownie uniosłem powieki. Mój wzrok padł na leżącego nieruchomo Chippinga. Przyglądałem mu się chwilę, po czym wróciłem do ekranów. Martwy bezruch. Automat czuwający pod piramidą milczał w dalszym ciągu.

Połączyłem się z sondami. Miały za sobą już więcej niż połowę pracy. Jak do tej pory, daremnej.

Ponownie zważyłem się całym ciężarem ciała na oparcie i utkwiliem wzrok w ekranach. Z pozycji, w jakiej się znajdowałem, mogłem widzieć maleńki skrawek gór na horyzoncie, garb najbliższego wzniesienia i wielkie, bezchmurne niebo. Błękitne. Prawdziwe niebo - pomyślałem niedorzecznie, przypominając sobie, że przed zaśnięciem uczyniłem podobne spostrzeżenie, dotyczące prawdziwej nocy.

Prawdziwe niebo. To znaczy tylko tyle, że tutaj, jak na Ziemi, w górnych warstwach atmosfery jest wodór. To on właśnie rozprasza błękit w promieniach słonecznych. Teoria fluktuacji gęstości, sprawdzona przez każdego, kto choć raz w życiu po wyjściu z domu zadarł głowę do góry.

Staję się sentymentalny. Czy to wpływ Netta? Uśmiechnąłem się.

- Powitaj dzień uśmiechem - usłyszałem zaspany głos. - Robisz postępy, Lan. Menu jak zwykle, czy z karty?

- Jak zwykle - mruknąłem. - Może być bez muzyki.

Umilkł.

Skończyliśmy jeść to, co piloci nazywają umownie śniadaniem, obiadem lub kolacją, i zajęliśmy się aparaturą diagnostyczną.

Stan Chippinga nie uległ zmianie. Szok trwał dłużej niż po największych nawet urazach. Mimo to wskazania zespołów medycznych nie były alarmujące. Nic z tego nie rozumiałem. A przynajmniej wolałem nie rozumieć.

Połączyłem się z Jurem i podzieliłem się z nim najnowszymi wiadomościami.

- Przekazać czy poczekać na dane, jakie przywieziecie w bębnach pamięciowych? - spytał.

- Przekaż tymczasowe doniesienie - odpowiedziałem. - Podkreśl, że jest tymczasowe - dodałem. - Inaczej Ago będzie się wściekał.

- Nie martw się - odpowiedział i przerwał łączność.

- Przewietrzmy się trochę? - spytał zachęcającym tonem Nett.

Nie potrzebowałem zbyt wiele czasu na zastanowienie. Szkoda.

- Nie - powiedziałem twardo. - Po co?

- No... - zrobił nieokreślony ruch ręką.

- Właśnie - uciałem.

Jeśli sondy nie odkryją czegoś na tym pustkowiu, z pewnością nie uda się to i nam, w jednym małym rejonie, na skraju wzgórz. A wychodzić po to, żeby zobaczyć jeszcze jednego potwora lub przejrzeć się w kryształowych lusterkach? Ryzyko niemal żadne, prawda. Ale tylko "niemal". Nie jesteśmy ekspedycją badawczą.

- Może zostawimy tutaj automat, a sami zatoczmy szerokie koło wokół tej piramidy? - Nett nie dał za wygraną. - A nuż zbudowali w okolicy coś równie ładnego? - uśmiechnął się.

- Nie.

Stanął nade mną i zmierzył mnie badawczym spojrzeniem. Broda wysunęła mu się do przodu na zupełnie niesłychaną odległość. Kąciki zwężonych nagle oczu skierowały się ku dołowi. Nie przypominał już chłopca.

- Więc co będziemy robić?! - wybuchnął w końcu.

- Nic - odpowiedziałem flegmatycznie.

Stał jeszcze chwilę, przeżuając jakieś nie wypowiedziane słowa, po czym odwrócił się gwałtownie. Okrzyknął fotel, potknął się o łącza aparatury diagnostycznej i usiadł ciężko. Zamruczał co niewyraźnie, wreszcie umilkł i znieruchomiał.

W południe zająłem się obiadem. Nett przyglądał się zobojętniałym wzrokiem, jak powolutku układam na pulpicie małe plastikowe pojemniczki. Jedliśmy w zupełnym milczeniu. Wyrzuciwszy naczynia, odruchowo zerknąłem na Chippinga i teraz dopiero, w ułamku sekundy, poczułem cały ciężar dotychczasowej beczynności. Uczucie ulgi było tak silne, że omal nie krzyknąłem.

Mon Chipping leżał z twarzą odwróconą w naszym kierunku. Z pewnością nie przyszło mu to łatwo, o czym świadczyły napięte pasy. Dokonał tego jednak. Teraz wpatrywał się w Netta szeroko otwartymi oczami.

- Mon! - zawołałem, podchodząc do jego fotela. Usiadłem na bocznym oparciu i położyłem mu rękę na kolanie. Drgnął i próbował podciągnąć nogę.

- Mon - powtórzyłem, zniżając głos. - Jak się czujesz?

Ujrzałem wpatrzone w siebie wielkie, ślepe oczy. Ich źrenice były nienaturalnie rozszerzone. Zobaczyłem w nich własne rozdwojone odbicie.

- Mon! - Nett pochylił się, słyszałem jego przyspieszony oddech. - Mon!

Żyły na skroniach Chippinga nabrzmiały, jakby zmagał się z jakimś ciężarem. Wreszcie wargi mu drgnęły. Usłyszeliśmy cichy, zdławiony szept.

- Czarne słońce - w kącikach ust pojawił się nikły ślad uśmiechu. - Czarne słońce - powtórzył. - Trzeba... trzeba., polecimy tam. Polecimy, dobrze?... Dobrze?... - szarpnął głową, próbując się poderwać. Chwilę trwał tak, napinając pasy, aż zajęczały, po czym opadł ciężko na poduszkę. Wpatrywał się we mnie z jakąś rozpaczliwą nadzieją. Przez sekundę, dwie, jego źrenice żyły. Następnie zaczęły gasnąć, matowieć, aż znieruchomiały i zamarły ponownie.

Zrobiłem wszystko, co mogłem, żeby się uśmiechnąć. Odchrząknąłem i powiedziałem:

- Polecimy, Mon. Niedługo. Musisz tylko przedtem wyzdrowieć. Jesteś tymczasem... - zawahałem się - słaby - znalazłem wreszcie właściwe słowo. - Polecimy jutro. Pokażesz nam, prawda?

Milczał długo. Już myślałem, że znowu zapadł w błogosławiony dla nas i dla siebie stan uśpienia, kiedy raz jeszcze przemówił:

- Czarne słońce - wypłynęło z jego ledwie rozchylonych warg. - Czarne słońce. Trzeba polecieć... wiersz. To jest taka piosenka... czarne słońce. Koordynaty... nie wiersz. Dane są... polecimy...

Dalsze słowa były już tylko nieartykułowanym mamrotaniem.

Sondy wróciły punktualnie co do sekundy. Żadna z nich nie natrafiła na ślad sygnałów stacji ani pozostałych członków jej załogi. Chipping był sam. Jak się tu dostał?

Zapisaliśmy dane, które nie wносиły niczego nowego, i pięć minut po powrocie ostatniego aparatu zwiadowczego wystartowaliśmy.

Kiedy Budker znieruchomiał, zakończywszy powrotną drogą z Trzeciej na Drugą Telmura, ze śluzy wielkiego statku wynurzyła się od razu postać w skafandrze.

- Przysłać automat? - spytał Jur.

- Nie - mruknąłem. - Wezmę go sam...

Mon pozwolił się ubrać jak kukła, nie stawiając oporu, ale i nie pomagając jednym najmniejszym ruchem. Chwilami leciał Nettowi przez ręce, po czym prostował się znowu i zastygał na moment, wpatrzone w jakiś nowy obraz, powstały w jego rozprężonym, obłąkanym umyśle.

Otworzyłem wieżyczkę i wziąłem go na ręce. Bezwiednie odwracałem głowę, żeby nie widzieć jego oczu. Nett szedł za nami, na wszelki wypadek trzymając w pogotowiu gazowy pistolecik. Ale pomoc okazała się zbędna. Już w służbie, kiedy wróciło ciężenie, wydało mi się nagle, że trzymam w ramionach manekin. Wrażenie było tak silne, że omal nim nie potrząsałem. Opanowałem się jednak.

To pewnie dlatego, że był taki lekki.

Poszedłem prosto do kabiny i złożyłem go w fotelu. Odwróciłem się, skinąłem na Jura i wskazałem mu oczami nieruchome ciało. Kiwnął głową, po czym niezwłocznie zajął się aparaturą medyczną i zespołami korektury. Wtedy poszedłem do łazienki, po drodze zrzucając z siebie skafander. Miałem dość, gdyby się ktoś pytał.

Zjedliśmy coś, a następnie siedząc przed pulpitem czekaliśmy, aż komputer podsumuje wszystkie zebrane przez nas dotychczas dane. Nie było ich zbyt wiele, należało jednak liczyć się z komplikacjami,

wynikającymi z sąsiedztwa tej bezprzykładnej hodowli. Wyłączając część selektorów wprowadziliśmy przeciw niewielką porcję najrozmaitszych "błędnych ogników" informacyjnych do krwiobiegu naszej aparatury.

Rzeczywiście, w okienku sumatora dość długo działały się dziwne rzeczy. Nie staraliśmy się zrozumieć sensu procesów, zachodzących w zespołach komputera. Byłby to zresztą trud z góry skazany na niepowodzenie. Wreszcie ukazały się wyniki.

Wtedy przekazaliśmy je Ziemi. Ago, Boukin, Sound i inni otrzymają je za dwa dni. Ich odczytanie zajmie im, powiedzmy, tydzień. Następny tydzień minie, zanim na podstawie uzgodnionej interpretacji przedstawia nam swój pogląd na sprawę i udzieli kilku dobrych rad. Do tego czasu powinniśmy im dostarczyć nie jedną, lecz kilka podobnych porcji. Jeśli, oczywiście, nadal mamy wierzyć w naszą szansę.

Kiedy zgasła kontrolna lampka, potwierdzająca bezpośrednią łączność z Centralą, zaświtała mi pewna myśl.

- Czy w rejestrze jednostek chorobowych, zapisanych w pamięci aparatury - wskazałem głową pulpit przystawki diagnostycznej - istnieje coś takiego jak szok informacyjny? - spytałem patrząc na Galina. Jur wyprostował się powoli i zmarszczył brwi.

Jego spojrzenie przesunęło się wolno na Netta.

- To można sprawdzić - powiedział z ociąganiem.

Milczenie.

- Widać nie wyraziłem się dość jasno - wycedziłem. - Jak były zaprogramowane selektory informacyjne stacji?

Galin wpatrywał się jeszcze przez chwilę w miejsce za moimi plecami. Nett, jak mogło się zdawać, zasnął, wstrzymując w dodatku oddech, po czym nagle odwrócił głowę. To już była odpowiedź. Spodziewałem się jej. Nie sądziłem jednak, że potwierdzenie moich podejrzeń wprowi mnie w aż taką pasję. Doskonale wiedziałem, że słowa nie pomogą, że to, co się stało, rzuca wprawdzie pewne ponure światło na przyczynę zniknięcia stacji, ale w niczym nie zmienia naszej sytuacji, mimo to jednak nie potrafiłem się opanować.

- Ty! - syknąłem, odwracając się gwałtownie do Netta. - Spójrz tutaj - wyciągnąłem rękę w kierunku Chippinga. - Spójrz, mówię! - wychrypiałem, mimo woli zaciskając pięści. - No?! - krzyknąłem z furją, bo Nett wciąż stał nieruchomo, z wzrokiem utkwionym w koniuszkach własnych butów. - Zachciało ci się obcowania ze wszystkim! To obcuj teraz z nim! Tobie ma do zawdzięczenia, że napatrzył się kryształków i zawarł znajomość z prawdziwym kosmicznym potworem. A także swoje czarne słońce! Ale on przynajmniej żyje. A reszta?! Milczysz? Ty? Miałeś tyle do powiedzenia, kiedy zobaczyłeś nagle zabłąkany w twoim ukochanym szumie informacyjnym portrecik Airy! A może takie portreciki ci wystarczą? Może wolisz je od żywych ludzi? Jesteś obłąkany? Nie bój się, wyleczymy cię... jeżeli zechcesz. Ale nie byłeś na tyle szalony, żeby nie zdawać sobie sprawy, co robisz, kiedy jako przedstawiciel Centrali przyleciałeś tu, na budowę stacji, żeby dopilnować naszych instalacji, które miały chronić ludzi przed tym, - co produkuje ta śmierdząca skorupa, a zostawiłeś im informatykę bez selektorów!

- Lan, dosyć... - dobiegł mnie cichy głos Jura.

Umilkłem. Nie na długo jednak.

- Żebym był wiedział! - wyrzuciłem z siebie. - Żebym ja był wiedział... noga twoja nie powstałaby na tym statku!

- Lan, oni prosili... - wychrypiał Nett tak cicho, że ledwo usłyszałem. - Ale zostawiłem osłonę...

- To nie jest argument - zauważył łagodnie Jur. - Dobrze wam radzę,

dajcie spokój. Poza wszystkim, tracimy czas...

- Oni prosili - powtórzył odrobinę głośniejszym głosem. - Byli ekspedycją badawczą... nie tak jak my...

Tym razem ugryzłem się w język. Jur miał rację. Tracimy czas. Nie mamy go zbyt wiele. Spokój.

W kabinie zaległa cisza. Staralem się za wszelką cenę nie myśleć o tym, co mogło wynikać z faktu, że Nett nie wyposażył stacji w kompletne selektory informacyjne.

Prześliznąłem się wzrokiem po nieruchomej postaci w fotelu.

- Jur! - rzuciłem.

- Uhm...

- Sprawdź, czy przystawka diagnostyczna ma zakodowaną taką jednostkę, która odpowiadałaby szokowi informacyjnemu. Jeśli nie, pomyślimy, jak go leczyć...

- To trochę potrwa... - mruknął. Bez zwłoki ruszył jednak w stronę pulpitu. Przejrzenie programów, wniesionych chociażby tylko do niektórych zespołów, musiało zająć kilkanaście minut. Znowu czas.

Wróciłem na swoje miejsce i usiadłem. Jur dwoił się i troił, krzątając się przy aparaturze. Kabinę wypełniał stukot przełączników.

- Pomóż mi, Nett - usłyszałem w pewnej chwili. Tuż za moimi plecami coś się poruszyło. Pomyślałem, że stał tam do tej pory, głuchy i oniemiały. Aira... Może jednak nie powinienem był mówić...

Jur opadł na sąsiedni fotel i otarł wierzchem dłoni czoło.

- Miałeś rację - powiedział. - Nie leczylimy go dotychczas, jak należało...

Nett usiadł obok nas i wpatrzył się tępo w ekrany. Był trupio błydy. Znowu przez moment zakipiała we mnie krew. Żeby nam choć powiedział. Na co liczył? Że do tego nie dojdziemy? Przecież chciał ich znaleźć... żywych. Podejrzewanie go o coś więcej niż to, co już wyszło na jaw, graniczyłoby z obsesją. Czyli, że nie liczył na nic. Wiedział, że prędzej czy później odkryjemy prawdę... i żył z tym przeświadczeniem od chwili startu. A nawet wcześniej, od kiedy tylko przyszedłem do niego, żeby mu powiedzieć o Airze. I że to on właśnie poleci jej szukać... razem ze mną.

Jur wrócił do aparatury. Przez chwilę wpatrywał się w okienka wskaźników.

- Trzy tygodnie. Za trzy tygodnie będzie zdrowy jak ryba. Jakaś szczególnie skomplikowana kuracja.

- Ludzka psychika to w ogóle dość skomplikowane urządzenie. Szczególnie kiedy zaczyna się zacinać... - odburknąłem.

Trzy tygodnie. A zatem trzeba robić swoje, nie oglądając się na Chippinga. Robić... tylko co?

- Czarne słońce - powiedział z roztargnieniem Jur, kręcąc głową. - To rzeczywiście słowa jakby wyjęte z piosenki.

- Tę piosenkę potrafi zaśpiewać tylko Chipping - odparłem. - Mam nadzieję, że nigdy jej już nie usłyszymy. Chyba że... - urwałem.

Galin spojrzał na mnie badawczo.

- To jest coś - podchwycił niepewnie. - W naszej sytuacji... tylko musicie sobie przypomnieć bardzo dokładnie wszystko, co mówił. Nie zapisywaliście?

- Nie - powiedziałem. - Za dużo działo się na zewnątrz Budkera, żebyśmy mogli rejestrować jeszcze i to, co mówiliśmy do siebie. A kiedy przynieśliśmy Chippinga, żaden z nas o tym nie pomyślał.

- Nie mówił prawie nic - odezwał się wreszcie Nett. - Kilka słów...
- Jakże to były słowa? - spytał szybko Jur.
- Czarne słońce - przypomniałem raz jeszcze. - Czarne słońce...
- I że trzeba tam polecieć - dodał Nett.
- Na czarne słońce? Przytaknąłem ruchem głowy.
- Owszem. Ale zaraz potem zaczął coś bredzić o wierszach, piosenkach.,.
- Kiedy mówił, że trzeba tam lecieć, w jego głosie pojawiła się jakaś autentyczna nuta - wtracił znowu Nett. - Poza tym powiedział także "koordynaty"...

Jur zwrócił się do niego z nagłym ożywieniem.

- Jak?

- Koordynaty. Wtedy, kiedy wspomniał o czarnym słońcu... kiedy pierwszy raz wymówił te słowa. Koordynaty. Tak jakby chciał je nam podać...

Czarne słońce? Niech będzie. Byliśmy nie musieli tkwić w tej kabinie jak dyżurne pielęgniarki przy chorym, któremu i tak od tego ani się nie poprawi, ani nie pogorszy.

Jur wstał i zaczął od niechcenia przerzucać klawisze na pulpicie. Przez ekran przeleciały gwiazdozbiory... Hydry, Reticulum, Telmur... niebo południowe. Komputer przetrząsał mapy nieba, by zlokalizować najbliższe czarne słońce. Kiedy je znajdziemy, nie pozostanie nam nic innego, jak opuścić tę orbitę i ten układ. Poszlaka była śmiesznie nikła. Dwa słowa... niechby nawet trzy, wyszeptane przez obłąkanego. Ale może Jur miał rację mówiąc, że komuś, kto chce tutaj cokolwiek osiągnąć, szczypta szaleństwa jest potrzebna jak powietrze i woda? A zresztą... ja sam, w czasie mojej służby w Centrali, ładowałem już na dwóch czarnych słońcach. Inni mieli nawet więcej szczęścia. Kilka lat temu Tai za konstelacją Wieloryba znalazł czarną gwiazdę, na której zdążyły się już rozplenić jakieś porosty. Czarne słońce. No cóż...

5.

- To właściwie smutne - powiedział Jur, patrząc w ekran.

Smutne. Tak, to odpowiednie słowo. Smutne.

Kiedys sądzono, że życie może powstawać i rozwijać się tylko na planetach. O inteligencjach, dojrzewających w płomieniach słonecznych protuberancji, pisywano najwyżej humoreski.

A jednak życie istniało i na gwiazdach. Były to karłowate słońca, mniejsze od milionów planet Galaktyki, chociaż posiadające znacznie większą masę niż na przykład Ziemia. Gwiazdy stare, stygnące, o stałej powłoce, ogrzewające ją jeszcze zaskorupiałym w sobie ciepłem, ale wciąż słabiej. Konanie takich słońc trwa dostatecznie długo, by na ich tężejącej powierzchni powstało życie, zbyt krótko jednak, by to życie zdążyło przekształcić się w cywilizację. To znaczy tak myślano dotychczas.

Część nieba, którą przemierzaliśmy, była zbadana stosunkowo dobrze. Co to jednak znaczy zbadać niebo, jeśli mieszka się na peryferiach Galaktyki, w jednym jedynym układzie i stamtąd podejmuje się tylko, a i to z rzadka, wypadki, w przypadkowych na dobrą sprawę kierunkach. Wiedzieliśmy to i owo o materii, wypełniającej ten sektor niebieskiej

czaszy. Nie wiedzieliśmy jednak na przykład o takiej błaźstwie, że tutaj właśnie istnieje czarna gwiazda, która wyplastywała pogrążoną w wiecznym mroku rasę istot rozumnych.

Od momentu wyjścia z nadprzestrzeni, już w sąsiedztwie celu, nasze szperacze zasypywały nas istną lawiną informacji o sztucznych księżycach tego słońca, które w atlasach nieba nie miało nawet swojej nazwy, o konstrukcjach, a właściwie jednej gigantycznej konstrukcji, pokrywającej szczelną siecią całą powierzchnię globu. Jak dotąd nie natrafiliśmy jednak bodaj na ślad ich systemów komunikacyjnych. Nasłuch, szukający na wszystkich pasmach fal, przekaźnik fal biologicznych, przystawki semantyczne, wszystko to pozostawało ślepe i nieme.

Zamierający glob, samotny w swym konaniu, pozbawiony planet, które konałyby z nim razem. Błyszczał na niebie przed miliardami lat. Odkąd jego światło zaczęło przygasać, pogrążał się nieuchronnie w ciemności. Sam będąc gwiazdą, nie miał przecież własnego słońca. Zamieszkujące go istoty od zarania swego istnienia nie widziały światła. Patrzenie było dla nich czynnością całkowicie zbędną.

I jeszcze jedno. Zналиśmy już skład tutejszej atmosfery. Była rzadka i fatalna. Mieliśmy także dane, dotyczące średniej temperatury panującej na powierzchni. Wynosiła minus siedem stopni. Co za istoty mogły żyć i rozwijać się, ba, tworzyć gigantyczne konstrukcje, w takiej średniej temperaturze?

Lodowate zimno, kosmiczna samotność, mrok próżni. Dalekie, nigdy nie oglądane gwiazdy. Jur miał rację. Nam byłoby tu bardzo smutno.

Glob leżał już pod nami. Jego koordynaty... to słowo, które natchnęło Galina myślą, by sięgnąć po atlas nieba. Nie musieliśmy ich szukać długo.

W okolicy Telmura znajdowała się tylko jedna czarna gwiazda.

Lecieliśmy jak ona sama, milczący i mroczni. Silniki nie pracowały. Zawczasu ustawiłem statek tak, by wszedł na wysoką orbitę bez ingerencji hamownic i bez żadnych korektur. Parametry orbity nie odgrywały w tym wypadku żadnej roli. Byleby była dostatecznie wysoka. Dalej i tak polecimy Budkerem.

- Myślicie, że wiedzą? - odezwał się w pewnej chwili Nett.

Minęła może minuta, zanim Jur zdobył się na odpowiedź.

- Jeśli to oni przechwycili naszą stację... Zapanowało milczenie. Spełniało się odwieczne marzenie romantyków, czujących na swoich barkach ciężar kosmicznej samotności człowieka. Po raz pierwszy mieszkaniec Ziemi miał przed oczami dzieło stworzone przez obcą cywilizację.

Że doszło do tego w okolicznościach mniej odpowiadających romantikom, a bardziej zgodnych z przewidywaniami sztabu Centrali? No cóż. To i nie mogło nas zdziwić. My byliśmy przecież właśnie z Centrali.

Dwie godziny później Nett i ja, zamknięci w panczerze Budkera, znajdowaliśmy się w połowie trzeciego okrążenia, na wysokości tysiąca pięciuset metrów nad powierzchnią globu. I znaleźliśmy już odpowiedź na kilka najważniejszych pytań, związanych z jego gospodarzami. Wiedzieliśmy w każdym razie, że nie musimy się ich obawiać.

- Tak właśnie wygląda śmierć rasy... która nie była dość ciekawa, by w porę zdobyć informacje o zasobach energetycznych natury - odezwał się w pewnym momencie Nett. - Każdy uczeń wie, że te zasoby są praktycznie niewyczerpane. Jedyny warunek, jaki pozostaje do spełnienia, to zdażyć. Gdybyśmy w dziewiętnastym wieku, przed rozbięciem atomu, co wymagało zaangażowania ogromnej ilości energii, wyczerpali pokłady...

- ...węgla, a potem ropy, to nigdy nie odkrylibyśmy energii jądrowej, nigdy nie zbudowalibyśmy najprostszej baterii słonecznej, nie

latalibyśmy do gwiazd, bo nikomu nawet nie śniłoby się o generatorach kolapsacyjnych, a w ogóle dawno by nas już nie było - dokończyłem gładko. - Rozumiem, do czego zmierzasz. Mam cię traktować jak partnera i przyjmować twoje argumenty z należytą uwagą. Jesteś sprytny... ale nie za bardzo. Poza tym powtarzasz się...

- Może po prostu nie chcę, żebyś traktował mnie jak szaleńca - odburknął ponuro. - Dlatego przedstawiłem ci mój punkt widzenia... Energetyką jest szkolnym przykładem. Ale i w wielu innych żywotnych kwestiach każdej możliwej cywilizacji decydującą rolę odgrywa czas. Niektóre z owych kwestii znamy... i z tymi jako tako potrafiliśmy się uporać. Ale czy znamy wszystkie? Może w tej chwili właśnie, dzięki niezawodnemu funkcjonowaniu selektorów, strzegących systemu Gigama, ludzkość traci jakąś szansę... niepowtarzalną? Jesteś zupełnie pewien, że to niemożliwe? Mam swoje poglądy... ale los Ziemi leży mi na sercu tak samo, jak tobie. Nie chce, by kiedyś wyglądała tak właśnie - ponownie wskazał ekran.

Nie odpowiedziałem. Nie miałem ani prawa, ani ochoty wdawać się z nim w dyskusję. A poza tym... niezależnie od wszystkiego widok, który otwierał się przed nami na ekranach, nie zachęcał do mówienia.

Nie kończące się szeregi zabudowań, konstrukcji, poprzecinane wąskimi korytarzami o wypukłych nawierzchniach, które kiedyś pełniły pewnie funkcje szlaków komunikacyjnych. Wszystko to milczało nie wiedząc odkąd i nie ulegało wątpliwości, że nie odezwie się już nigdy. W wielkich halach, w fabrykach z ich siłowniami, łącznością i rozrzędem, w zespołach miejskich, w akumulatorach, bo jakieś przecież musieli mieć, bez względu na rodzaj magazynowanej w nich energii, nie pozostało śladu ruchu. Nasze anteny, czułe na każdy rodzaj promieniowania, nie wykryły jednego, najmniejszego źródła ogniska energetycznego.

Bez względu na to, co Nett miał na myśli, jego słowa trafiły w sedno. Tak wygląda śmierć.

- Ładujemy - mruknąłem.

- Gdzie?

- Wszystko jedno...

Glob był cały zabudowany. Także i to sprawiało paskudne wrażenie. Nie znali niczego, co przypominałoby ziemskie łąki, parki, rezerwy... Jak okiem sięgnąć, tylko niskie, pudełkowate budowle, tworzące powielane w nieskończoność zwarte kompleksy. Ich dachy były płaskie, gładkie, nijakie. Wszystko w tonacji ciemnoszarej, jeśli nie liczyć brudnawego szronu, skażonego kosmicznym pyłem.

Jedynymi skrawkami gruntu, wolnymi od zabudowy, były małe, prostokątne placyki, wytyczone w miejscach, gdzie krzyżowały się tutejsze ulice, te jakieś wąskie, tunelowate korytarze.

Lecieliśmy teraz zaledwie sto pięćdziesiąt metrów nad dachami. Jeśli to słońce, stygnąc, przeżywało kiedyś okres erupcji tektonicznych, to potem jego mieszkańcy dołożyli starań, żeby powierzchnię swojej "ziemi" wyrównać jak jedno wielkie, staroświeckie lotnisko. Ale brakowało nie tylko wzniesień. Okrążając glob nie dostrzegliśmy niczego, co górowałoby nad nie kończącymi się płaszczyznami dachów. Żadnych placów ozdobionych obeliskami. Czegóż, co przypominałoby, na przykład, stare ziemskie kościoły. Równa, gładka, monotonna zabudowa, poprzecinana geometryczną siatką korytarzy.

Wybrałem w końcu jeden z tych miniaturowych placyków i położyłem maszynę w łuk. Zatoczyłem koło, po czym bez dalszych ceregieli usiadłem.

Musieliśmy odczekać, aż kamery ukążą nam znowu czysty obraz otaczającej nas zabudowy. Ładując wznieciliśmy chmurę białawego pyłu.

Sprawdziliśmy skafandry, po czym otworzyłem wieżyczkę.

- Idziemy obaj? - spytał Nett.

- Jeśli chcesz, możesz zostać. Nie wzięłeś przypadkiem łyżew? Mogłyby się przydać... - Temperatura na zewnątrz wynosiła minus jedenaście stopni.

Odwrócił się i wspiał po czterech stalowych szczeblach, umocowanych za oparciem środkowego fotela. Ruszyłem za nim.

Gładkie ściany, pozbawione jakichkolwiek otworów. Zgoda na to, że istotom, pogrążonym w wiecznym mroku, okna mogą być niepotrzebne. Swoje mieszkanka wietrzyli widać jakoś inaczej. Którędyś jednak musieli się do nich dostawać.

Wszedłem na grzbiet wypukłości, ciągnącej się środkiem drogi. Jeśli dołem biegł jakiś przewód, umieścili go dość głęboko. I tutaj odgłos kroków brzmiał głucho.

Postępowaliśmy obok siebie w zupełnym milczeniu. Analizatory przedstawiły nam już wcześniej swój pogląd na materiały, jakich używali tutejsi budowlani. Polimery, metal, tworzywa mineralne o nieznanej nam energetyce wiązań. W sumie nic szczególnego.

Najbliższe skrzyżowanie wypukłych drózek, przy którym jedna ze ścian budowli cofała się, tworząc prostokątny zaułek, widniało przed nami w odległości niespełna dziesięciu metrów. Światła, padające z naszych czołowych lamp, niosły dalej. Mogliśmy się przekonać, że droga za placykiem jest tak samo obudowana i pusta jak ten odcinek, który zostawiliśmy za sobą.

Jeszcze parę kroków i stanęliśmy.

- Co to jest? - spytał nieswoim głosem Nett.

- W każdym razie coś wreszcie jest - powiedziałem ruszając w stronę, gdzie reflektorki wyłuskały z mroku konstrukcję zupełnie różną od wszystkiego, co widzieliśmy do tej pory.

Wzdłuż odchodzącej w lewo bocznicy, zagrządzając ją całkowicie, leżała długa, pogięta i potrzaskana w wielu miejscach kratownica. Jej górna część, padając, uszkodziła jakieś sto metrów dalej dach następnego budynku. Na wprost nas rozkraczały się cztery wielkie podpory. Dwie z nich zaryte były w nawierzchnię ścieżki, dwie pozostałe sterczały ukośnie ku górze, celując w czarne jak one same niebo. Czyżby ta konstrukcja stała kiedyś pionowo? Sto metrów. Dla budowniczych, którzy pokryli cały glob piętrowymi pudełkami, byłoby to doprawdy niezwykłym przedsięwzięciem.

Szedłem powoli, wpatrzony w potężne prowadnice i zastrzały, w resztki jakichś wystrzępionych sznurków czy kabli, i ni stąd, ni zowąd przyszły mi na myśl wyrzutnie rakietowe, stosowane w czasach, gdy ludzie zaczynali latać na Księżyc. Nagle trafiłem stopą na jakiś próg czy kamień. Przyzwyczajony do idealnej gładzi tutejszych ścieżek potknąłem się i usiłując złapać równowagę poleciałem kilka kroków do przodu.

- Cóż to znowu?! - wyrwało mi się. - Raptem zaczęli kopać dołki?

Tam, gdzie końce podpór powalonej konstrukcji ryły nawierzchnię drogi, brało początek niewielkie, koliste wklęsnięcie głębokie na jakieś osiem, dziesięć centymetrów. Jego krawędzie tworzyły zgrubienia, przypominające ściankę miniaturowego krateru.

Nett stanął po przeciwnej stronie zagłębienia i melancholijnie wpatrzył się pod nogi.

- Sądę - powiedział po dłuższej chwili - że na wszelki wypadek nie zaszkodzi przyjrzeć się temu bliżej...

Puściłem, sztabę, o którą się opierałem. Wydobyłem czujnik promieniowania, po czym kucnąłem i pojeździłem aparacikiem tuż nad powierzchnią zagłębienia. Kontrolna lampka pozostała ciemna.

- Jeśli myślisz o tym samym co ja - zaczął Nett - powinniśmy wezwać automat z zestawem pomiarowym. Nasze przyrządy mogą być za mało czułe...

Jeśli myślisz o tym samym... Dwóch samotnych funkcjonariuszy Centrali na zagubionym w Galaktyce czarnym słońcu, którzy nagle równocześnie zbzikowali.

Wstałem, schowałem czujnik i spojrzałem w niebo, jakby tam szukając natchnienia. Gwiazdy. Jeśli naprawdę...

- Ja nic nie myślę - powiedziałem, kierując wzrok w perspektywę drogi. - Obejrzymy najpierw inne placyki.

Ruszyłem przed siebie. Znowu nie kończące się ślepe ściany, ZNOWU ten gładki, wybrzuszony chodniczek, ucięty równo krawędziami budowli, bez śladu łączenia, nitów czy jakiegokolwiek innego zamocowania. Wreszcie ujrzelśmy przed sobą następne skrzyżowanie. Także i tutaj ściany załamywały się tworząc prostokątny placyk, ozdobiony dokładnie takim samym wklęsnięciem jak poprzedni. I identycznie jak tam, jedną z przecznic tarasowała leżąca ażurowa wieża. Tutaj skutki nieudanej próby jej ustawienia były nieco bardziej opłakane. Upadła ukośnie, druzgocąc na znacznej przestrzeni dach budynku. Postrzępione krawędzie tego dachu rozstępowały się, ukazując pogrążone w zupełnej ciemności wnętrze.

- To już nie może być przypadek - stwierdził Nett.

- Myśl jest odkrywczą - przytaknąłem. Spojrzałem na ścianę budynku, przepołowioną padającą konstrukcją i po namyśle połączyłem się z Budkerem, posyłając sygnał wezwania jednemu z automatów roboczych.

Aparat skończył pracę. Jego anteny wykonały pół obrotu i stanęły. Oczekałem, aż przekaże dane komputerowi pojazdu i aż ten ostatni je zinterpretuje. Po minucie znowu nawiązałem łączność z Budkerem.

W słuchawkach odezwały się urywane impulsy. Charakterystyka promieniowania, struktura powierzchni "ścieżki" w miejscu, gdzie tworzyła ów miniaturowy krater. Słuchałem niezbyt pilnie, a kiedy słuchawki umilkły, przez dłuższą chwilę pozostałem w nie zmienionej pozycji, jakbym wciąż jeszcze skupiał całą uwagę na przekazywanych mi informacjach. Wreszcie bezwiednie pokiwałem głową.

- No i co? - spytał szybko Nett.

Westchnąłem.

- Pole startowe. Oczywiście według ziemskich danych wejściowych, zakodowanych w pamięci komputera. Pole startowe - powtórzyłem. - Sześćdziesiąt procent prawdopodobieństwa. Zagłębienie powstało w wyniku uderzenia termicznego.

- A ta konstrukcja? - spytał po jakimś czasie, wskazując leżącą kratownicę.

- Metal - odpowiedziałem lakonicznie. - Przeznaczenie nieznane...

- Ale skoro stała nad miejscem eksplozji.:

- Skąd wiesz, że stała? - przerwałem. - Ktoś ci powiedział? Pewnie, jeśli stała...

Dłuższą chwilą milczeliśmy, pogrążeni w myślach. Wreszcie Nett poruszył się niecierpliwie i spytał:

- No to co robimy?

- Idziemy dalej.

- A automaty? - w jego głosie zabrzmiało zdziwienie.

- Pójdą z nami. Niech się trochę przewietrzą. Ostatnio miały mało ruchu... w przeciwieństwie do nas - mruknąłem.

Krażyliśmy po mieście, po jego maleńkim sektorze, od bitych trzech godzin. Ale z powodzeniem mogliśmy poprzestać na tamtym pierwszym placyku z zastygłym źródelkiem i przewróconą wieżą. Poza głuchymi i ślepyimi ścianami, poza skrzyżowaniami, gdzie niezmiennie powtarzał się widok małego zagłębienia i odrzuconej w głąb jednej z przecznicy metalowej kratownicy, nie spotkaliśmy niczego. Chociaż nie mieściło się to w głowie, nasze niejasne domysły były chyba słuszne. Te wieże kiedyś stały. Zapełnili nimi niemal wszystkie skrzyżowania, może specjalnie w tym celu nie zabudowane, a może po prostu budując swoje wyrzutnie wykorzystali jedyne wolne miejsca na powierzchni globu?

Bo to były wyrzutnie. Każda z tych wież przytrzymywała kiedyś rakietę. I te rakiety najprawdopodobniej wystartowały. Wszystkie. Nigdzie bowiem nie natrafiliśmy na ślad prawdziwej katastrofy. Oczywiście nie znaczyło to, by nie miało pozostać wiele takich śladów na milionach prostokątnych placyków, jakie istniały w tym globalnym mieście. Ale nie będziemy ich szukać.

Stałem. Nett, zatopiony w rozmyślaniach, nie spostrzegł tego w porę i wpadł na mnie. Nie przygotowany na odparcie uderzenia, zatoczyłem się i wyrzuciłem barkiem w najbliższą ścianę. W słuchawkach zabrzmiał dźwięczny, wibrujący ton, jakbym tracił napiętą strunę.

Ostrożnie stuknąłem łokciem i natychmiast cofnąłem ramię. Zadźwięczało tak samo.

- Blaszka - skwitowałem nowe odkrycie. - Budowali swoje domki z cienkich blaszek. Toż to niemal membrany...

Nett bez słowa podszedł do ściany i tracił ją lekko pięścią. Taki sam odgłos. Długi, wysoki, wibrujący. Niebrzydki.

- To mogło grać... - powiedział z ożywieniem. - Na przykład na wietrze... wiesz, gdyby te ściany były różnej grubości... ale i tak są przecież dłuższe i krótsze budynki... to mogło być jakieś śpiewające miasto.

- Jakbym słyszał Chippinga - odpowiedziałem z ironią, chociaż uderzyła mnie trafność tego spostrzeżenia. - On także mówił najpierw o czarnym słońcu, a potem o wierszach i piosenkach...

- Czarne słońce już mamy - zareplikował. - A jeśli tak, to może ta piosenka, którą przypisaliśmy wyłącznie jego chorobie, także nie była tylko szaleństwem?...

- No to zagraj - warknąłem. - Przetnij tutaj - odwróciłem się do roboczego automatu, wskazując palcem miejsce, w które przed chwilą uderzyłem łokciem.

- Dlaczego? - przestraszył się Nett. - Czy nie moglibyśmy wykorzystać przejścia, zrobionego przez którąś z tych wież? Przecież mijaliśmy tyle strzaskanych ścian...

- Właśnie. Jedna mniej, jedna więcej, co za różnica. Nie będę ryzykował całości naszych skafandrów i łąził po zdruzgotanych rusztowaniach.

Cofnąłem się, robiąc automatu miejsce. W, płaszczyźnie ściany ukazała się wąska rysa.

- Dość - powiedziałem, kiedy szczerba osiągnęła wysokość dwóch metrów. - Teraz wytnij drzwi.

Nie poruszył się. No tak. Zapomniałem przez moment, że mam do czynienia ze zwykłym aparatem roboczym.

Połączyłem się z komputerem i przekazałem mu polecenie. Jak tylko skończyłem mówić, w słuchawkach odezwały się popiskiwanie kodu, którym komputer "tłumaczył" na język automatu to, co usłyszał.

- Czy wśród tych danych, które przedtem przekazał Budker - spytał nagle Nett - nie było mowy o czasie?

Odczekałem chwilę, przyglądając się pracującemu automatowi, zanim odpowiedziałem.

- Była. Chcesz wiedzieć, kiedy te skrzyżowania oglądały stojące wyrzutnie? Informacje nie są zbyt ścisłe, ale... krótko mówiąc - zmieniłem nieco ton - od trzydziestu do dziesięciu tysięcy lat. Aparatura pomiarowa nie jest przystosowana do pracy w tutejszych warunkach, a przeprogramowanie jej byłoby bezcelowe. Nic nam z tego nie przyjdzie, że zdołamy ustalić, czy opuścili ten glob trzydzieści, czy dajmy na to siedemnaście i pół tysiąca lat temu. Tak czy owak zrobili to dostatecznie dawno, żebyśmy nie mieli tu czego szukać...

Przedział czasu, podany przez automaty pomiarowe, był rzeczywiście duży... dla archeologa. My nie potrzebowaliśmy dokładniejszych wiadomości. Wystarczyło, że aparatura wykryła jednak ślady radioaktywności w tych zagłębieniach na skrzyżowaniach dróg.

Wycięta w ścianie płyta zachybotała, po czym powoli przechyliła się do przodu i upadła.

Zanim wszedłem, odwróciłem się do Netta.

- Powiedziałeś, że tak wygląda śmierć... z braku ciekawości. To miał być, zdaje się, argument. Założmy, że to zdanie nie padło z twoich ust. Oszczędzę ci komentarzy...

- Jeśli coś ich mimo wszystko uratowało, to właśnie ciekawość. Wobec tego...

Przestałem słuchać. Wszedłem na płytę jak na trap prowadzący na pokład jachtu, stanowiącego własność miss świata, zanim ta ostatnia zmarła na uwiad starczy. Płyta zadzwierczała pod moimi stopami, nie ugięła się jednak. To niby tradycyjne tworzywo, z którego budowali, nie było takie złe.

Zatrzymałem się mniej więcej metr za wypalonym przez automat przejściem i omiotłem wewnątrz światłem reflektorka. Na prawo uciekała w mrok ściana biegnąca prostopadle do ulicy. Na wprost duża, pusta przestrzeń. Nieco na lewo majaczyły w głębi zarysy jakiejś niskiej, masywnej skrzyni, nakrytej kapeluszem w kształcie odwróconego lejka. Bliżej wspinała się ukośnie z podłogi szeroka gładka płyta. Jakaś pochylnia?...

Plama bladego światła padła ponownie na tę skrzynię, przypominając trochę kominek w starym zamczysku. Skierowałem się w tę stronę. Wystarczyło jednak kilka kroków, by wszelkie podobieństwo do kominka zniknęło bez śladu. Okapy nad "paleniskami" służyły przecież do tego, by odprowadzać dym na zewnątrz. Tymczasem ten odwrócony lejek, sterzący nad opasłą konstrukcją, ucinał się nagle, pozostawiając między swym zasklepionym szczytem a sufitem co najmniej metrowy prześwit. Okazało się także, że byliśmy w błędzie, biorąc to, nad czym wisiał, za prostokątną skrzynię. Zmyliło nas zapewne punktowe światło naszych lamp. Konstrukcja była walcowata, okrągła.

- Jakaś studnia? - spytał niepewnie Nett, usiłując zajrzeć w szeroką na dziesięć centymetrów szczelinę, pozostawioną między krawędzią beczki a jej pokrywą. Ujrzałem jego dłonie, ujmujące od spodu obrzeże lejka.

- Zostaw - mruknąłem. - Jeszcze zwalisz nam coś na głowy...

Powiedziałem to jednak za późno. Wielka, stożkowata konstrukcja drgnęła, po czym przechyliła się niebezpiecznie.

- Uciekaj! - zawołałem. W tym samym momencie rozległ się przeraźliwy zgrzyt, jakby ktoś przeciągnął nożem po szkłe, i lejek wyprostował się znowu, wracając do poprzedniej pozycji. Zaraz potem ruszył w górę, unoszony na dwóch wąskich szynach, które niespodziewanie wychynęły z obudowy studni. Moment później usłyszeliśmy niegłośny, głuchy stuk. Szczyt lejka uderzył w sufit.

Czekaliśmy chwilę w napięciu, ale nic się już nie wydarzyło.

- Zajrzę tam - powiedział wreszcie Nett.
- Poczekaj - zatrzymałem go. - Zrobi to automat.

Wezwałem aparat roboczy i poleciłem mu zbadać otwór beczkowatej bryły.

- Pewnie uruchomiłem jakiś mechanizm. To działa chyba na zasadzie wagi... - bąknął Nett.

Znowu musiałem skorzystać z pośrednictwa pokładowego komputera, zanim nasz automat zrobił to, czego żądałem. Wreszcie jego górna część przechyliła się i zawisała nad otworem. Usłyszałem znajome chrobotanie w słuchawkach.

- Szyb - powtórzyłem na głos.

Kod płynął nieprzerwanie. Szyb, prowadzący pionowo w dół, o średnicy półtora metra, grubość ścian szesnaście milimetrów, obudowa wykonana z nieznanego materiału, głębokość...

- Co?
- Co?! - zawołał Nett.

Przez chwilę w słuchawkach trwała cisza, po czym znowu zaczęły napływać sygnały. Komputer powtarzał dane. Oczywiście nasze okrzyki zrozumiał po swojemu. Kiedy doszedł do głębokości, pomiędzy poszczególnymi impulsami kodu pojawiły się wyraźne przerwy. Tłumaczył nam jak dzieciom.

- Szesnaście tysięcy metrów... Coś mnie tknęło.
- Pamiętasz - zwróciłem się do Netta - ile wynosi grubość litosfery tego słoneczka?

Nett rozłożył bezradnie ręce.

- Dane są na statku. Musielibyśmy połączyć się z Jurem. Myślisz?...
- Na razie myślę tylko, że dzięki komputerom nasza własna pamięć jest jak stara, pomarszczona cebula, z której wyparowały ostatnie soki - odburknąłem.

- Chyba przesadzasz... - mruknął urażony. Szesnaście kilometrów! Niezła studzienka. Tym razem pytanie "po co?" nie było bezsensowne. Szukali energii, której jedynym źródłem był dla nich ich własny stygnący glob. Musieli sięgać wciąż głębiej po życiodajne ciepło, paliwa i wszystko, co mogło przedłużyć ich agonię. Nie ulegało wątpliwości, że osiągnęli naprawdę wysoką swobodę technologiczną, skoro mogli sobie pozwolić na drażnienie takich szybów. Bo mieli ich z pewnością bardzo wiele. Byłby to już zbyt niedorzeczny zbieg okoliczności, gdybyśmy wchodząc do pierwszej z brzegu budowli trafili na jeden jedyny, a choćby tylko jeden z kilku czy kilkunastu, jakie wydrążyli w skorupie swojej emerytowanej gwiazdy.

- Zajrzyj do środka! - krzyknął Nett.

Powtórzyłem to polecenie komputerowi. Automat wysunął magnetyczne zaczepy, pomachał nimi niepewnie i wciągnął je z powrotem. Obudowa szybu nie była z metalu.

Obserwowaliśmy w milczeniu poczynania aparatu. Po pierwszej nieudanej próbie wyrzucił z siebie dwa długie wysięgniki, zakończone potężnymi kleszczami. Uchwycił nimi krawędź studni, po czym niezgrabnie przewalił się przez nią, znikając nam z oczu. Tylko te szponowate kleszcze, zaciśnięte na obrzeżu, świadczyły, że nie runął w szesnastokilometrową przepaść.

Sufit nad naszymi głowami zalała niebieska łuna. Automat zapalił reflektor. To nie była mała, pomocnicza lampka, w jakie wyposażono nasze skafandry.

Nagle pod okapami kasków zamigotały jaskrawymi, pomarańczowymi gwiazdkami alarmowe sygnalizatory promieniowania.

- Co jest?! - Nett wydawał się raczej zły niż przestraszony.

Nie śpiesząc się zbyt, wydobyłem czujnik. Natężenie wzrosło bardzo nieznacznie. Zważywszy jednak, że już naturalna radioaktywność globu była dość wysoka, wystarczyło to, by zaalarmować nasze opiekuńcze lampki.

- Zgaś reflektor - poleciłem spokojnie. Sufit pociemniał. Automat przestał szyc wewnątrz szybu laserowym szperaczem.

- Zaświeć!

Odblask mknącej w głąb wiązki promieni ponownie pojawił się na suficie. Równocześnie ożyły >ostrzegawcze światełka umieszczone wewnątrz naszych kasków. Zmrużyłem oczy i zażądałem od komputera, żeby scharakteryzował źródło promieniowania. Zaczął jak zwykle od dokładnego określenia kierunku.

- Co? - zawołał znowu Nett.

- Masz dobry dzień - zauważyłem. - Same niespodzianki...

Automat, namierzając źródło radioaktywności, zignorował całkowicie otwór szybu. Wskazał natomiast ową pochyłą ścianę, spadającą skosem od sufitu do podłogi.

Zwróciliśmy się w jej stronę. W tym momencie lampki zgasły. Zapomniałem o czymś. Komputer zorientowawszy się, że to lasery automatu akty

wizują jakiejś miejscowe, uspię od tysiącleci źródło groźnego promieniowania, rozkazał mu zaniechać przeszukiwania szybu. System bezpieczeństwa. Dopiero kiedy usunąłem blokadę, reflektory zapłonęły ponownie. Wtedy nie zwlekając dłużej podszedłem do pochylni i zrobiłem użytek z mojego małego czujnika, który wydobyłem przed chwilą, na pierwszy sygnał alarmu. Zacząłem mianowicie wodzić nim przed sobą, kierując jego wylot w różne punkty ukośnej ściany. Nie powodowała mnie żadna konkretna myśl, chciałem tylko sprawdzić, czy cała jej powierzchnia jest w równym stopniu aktywna. Bardzo prędko przekonałem się, że nie. A po następnej minucie okazało się, że mam przed sobą jedynie rozrzucone, pojedyncze, punktowe źródła promieniowania.

- Wiesz - powiedział Nett, który stał tuż za moimi plecami - zdaje się, że coś zaczynam rozumieć. Ten szyb daje jeszcze odrobinę energii. Musi być już od dawna za płytki, warunki bardzo się przecież zmieniły. Jednak wiązka lasera ożywiła jakimś cudem umieszczoną w nim aparaturę tak, że ta przypomniała sobie dobre czasy. Sądzę, że to nie potrwa długo, nawet gdyby automat nie przestał posyłać impulsów...

- I ja tak sądzę - mruknąłem. - Zobacz... - podsunąłem mu czujnik. Utkwił wzrok w miniaturowym okienku wskaźnika i zamyślił się.

Związek między radioaktywnością skośnej ściany a rozbłyskami laserowych reflektorów naszego automatu był oczywisty. Szyb sam, przynajmniej już teraz, nie służył niczemu. Za to ożywając uruchamiał aparaturę, zainstalowaną za tą pochylnią... lub w jej wnętrzu. Musiała tu zatem istnieć sieć podziemnych przewodów, rozprzodających energię.

- Punkty są nieruchome - odezwał się wreszcie Nett - ale nie tworzą żadnego rysunku...

Wzruszyłem ramionami.

- Może wiązka laserowa nie jest dostatecznie silnym bodźcem - powiedziałem. - Kto wie, czy kiedyś te radioaktywne kropeczki nie układały się w ruchome obrazy. Może ta pochylnia to takie sztalugi - wykrzywiłem twarz w uśmiechu, czego Nett nie mógł zauważyć, nawet

gdyby ten uśmiech na to zasługiwał. - Albo ekran...

Zaledwie to powiedziałem, coś zaczęło mi świtać.

- Słuchaj - głos Netta zabrzmiał o pół tonu wyżej - przecież oni byli ślepi, prawda?...

Po raz któryś od początku naszej podróży musiałem stwierdzić, że mimo wszystko, co nas różniło, nasze myśli nieraz biegają tymi samymi torami. Skinąłem głową.

- A zatem... - urwał, odwracając się raptownie.

- Zajmij go tym - powiedziałem - niech przeniesie te punkty na ekran świetlny w Budkerze. Zobaczymy. Ale nie siedź tu zbyt długo. A kiedy skończysz, wycofaj także automat z szybu. Nie powinniśmy pozwalać świecić tym pomarańczowym lampeczkom dłużej niż to niezbędne...

Powiedziawszy to odwróciłem się i wyszedłem z budynku. Odruchowo powędrowałem wzrokiem ku gwiazdom. Stęskniłem się za nimi. Przeszedłem kilka kroków, po czym stanąłem i oparłem się plecami o ścianę.

Czekałem jakieś dziesięć minut. Automat pomiarowy popisывał się swoją skrupulatnością, a może Nett zażądał od komputera jakichś dodatkowych danych. Wreszcie jednak z wyrwy w ścianie wyłonił się cały orszak. Najpierw Nett, za nim klockowaty aparat pomiarowy. Pochód zamykał automat roboczy. Wciągnął już swoje chrabąszczowate wysięgniki i znowu przypominał dwa nałożone na siebie jaja, z których dolne kroczyło na trzech przegubowych nóżkach.

Oderwałem plecy od ściany, odwróciłem się i bez słowa ruszyłem w powrotną drogę do Budkera.

Białe, poświęcające punkty, rozrzucone bez ładu i składu po matowej tarczy. Jeden z nich, blisko prawej krawędzi ekranu, lśnił jaśniej od pozostałych i pulsował, na przemian przygasając i ozywając w nagłych rozbłyskach. Pozostałe tkwiły nieruchomo jak gwiazdy.

Gwiazdy?...

Wpatrzyłem się w obraz. Przez moment wydawało mi się, że rozpoznaję coś znajomego... Przymknąłem oczy i otworzyłem je ponownie. Nie. A jednak...

Rozmieszczenie radioaktywnych punktów na ukośnej ścianie wewnątrz budowli tworzyło teraz przed naszymi oczami jakby obraz Ziemi oglądanej w czasie niskiego lotu nad nocną półkulą. Komputer "tłumaczył" promieniowanie na język światła. Poleciałem mu, żeby zaczął powoli obracać tę planszę, której projekcję rzucał nam teraz na ekran, wokół jej własnej osi.

- Patrz - powiedział natychmiast Nett.

- Nic innego nie robię...

Obraz obracał się powoli, świecące punkciki zmieniały położenie, zachowując dzielące je odległości. Te, które przedtem znajdowały się u dołu, zmierzały obecnie ku górze tarczy. Najprawdziwsze podręczne planetarium...

- Stop! - Nett chwycił mnie za ramię.

- Stop - powtórzyłem, potwierdzając decyzję uderzeniem w klawisz. Obraz znieruchomiał. Miałem rację, że dopatrywałem się w nim czegoś znajomego.

- No, równocześnie - zaproponowałem. - Ty i ja...

Spojrzał na mnie szybko, po czym skinął głową.

- Raz, dwa, trzy...

- Reticulum.

- Reticulum.

Obydwaj wypowiedzieliśmy to słowo równocześnie. Uśmiechnąłem się mimo woli.

- A teraz przekonamy się, co jesteśmy warci - powiedziałem i wezwałem komputer, by porównał widniejący na ekranie zbiór świecących punktów z atlasem nieba.

Odpowiedź przyszła trzydzieści sekund później. Współrzędne, dane dotyczące ruchu względem osi Galaktyki i płaszczyzny równika, a także, na dodatek, położenie konstelacji tam, gdzie widzieli ją twórcy pierwotnego zapisu.

Reticulum. Gwiazdozbiór Sieci, z Ziemi ledwie widoczny pod Oktantem, Żółtą Rybą i Gołębiem, przyćmiony światłem Drogi Mlecznej i blaskiem Achernara, Alfya Eridana. Jeden z małych gwiazdozbiorów okołobiegunowych. Pokazywał nam teraz dwadzieścia kilka swoich słońc, z których jedynie piętnaście znaczyło coś na niebie pod względem stopnia jasności. Na naszym ziemskim niebie. Tutaj sytuacja wyglądała trochę inaczej.

- Eta Sieci - mruknąłem. - Co za pomysł, żeby akurat tam... - nie dokończyłem.

Ta jedna jedyna pulsująca gwiazda na naszym ekranie to Eta Reticulum. Coś musiało znaczyć, że tak ją wyróżnili. Komputer powiedział nam o niej tylko tyle, że posiada układ planetarny.

- Gdybym to ja zamalował płótno takimi kropeczkami - odezwał się nagle Nett - powiedziałbyś, że to szaleństwo. Nie. Jak się wtedy wyraziłeś? Oszustwo. Tak, oszustwo. Cytowałeś, o ile pamiętam, Montaigne'a. W najlepszym razie dodałbyś coś na temat bełkotu informacyjnego. A skąd wiesz, czy w moich liniach nie ma równie praktycznych wskazówek, jak na tym tutaj obrazku, który powiedział nam, dokąd oni...

- Nie nam - przerwałem cierpko. - Nie nam. To tobie powiedział. Poza tym jest pewna różnica pomiędzy istniejącym w rzeczywistości gwiazdozbiorem a... zresztą mniejsza z tym - zakończyłem. - Teraz musimy coś zjeść i chwilę odpocząć. Czeka nas długi spacer.

- To jednak wspaniała rasa - oznajmił kilka godzin później Nett. Staliśmy, już dobrze zmęczeni, we wnętrzu którejś z kolei pudełkowatej budowli. Jak we wszystkich innych, poza głębokim szybem i pochyłą płytą nie było w niej nic, co potrafilibyśmy sobie skojarzyć z naturalnymi potrzebami żywej istoty.

- Co? - spytałem z roztargnieniem.

- Pomyśl tylko. Przecież oni powstali i rozwinęli się bez słońca... chociaż na jednym z nich. Spróbuj sobie wyobrazić istoty, które nie widzą nieba... Które nie są przez setki pokoleń kuszone widokiem gwiazd, Drogi Mlecznej, galaktyk... Które nie wpatrują się bezchmurnymi nocami w Księżyc... tak długo, aż w końcu pokonują wszelkie przeszkody, żeby do niego dotrzeć. No, pomyśl, ile trzeba wiedzy, uporu, zgodności wewnątrz własnej cywilizacji, aby pomimo braku oczu - a nie mogli ich mieć żyjąc w ciemności, bo ewolucja jest nieubłagana - polecieć w przestrzeń, do gwiazd. Czy gdybyś nie miał nosa, potrafilibyś wyprodukować perfumy? Powiesz, że nie byłyby ci potrzebne, a im gwiazdy były... zgoda. Tym niemniej skala trudności jest podobna. Wspaniała rasa... - powtórzył na zakończenie.

Przemilczałem to jego nowe odkrycie. Wzruszyłem ramionami, ale nie odezwałem się ani jednym słowem.

Po powrocie do Budkera długo siedzieliśmy przed ekranem. Punkty promieniowania pochyłych ścian wszędzie tworzyły zarysy Reticulum. I wszędzie najjaśniej świeciła Eta. Tylko jeden jedyny raz, w jednej budowli, obraz gwiazdozbioru Sieci zastąpiły kontury jakiegoś sześciennego pudła, zakończonego u dołu krótkimi rurami. Za tym

puddem majaczyła wysoka konstrukcja. Oczywiście przyszła nam na myśl jedna z tych wież, które leżały przy skrzyżowaniach.

- Może to były telewizory - powiedziałem w pewnym momencie, bardziej do siebie aniżeli do Netta. - Zwykle, domowe trivi, przy których spędzali wolne popołudnia. W ostatnim dniu przed odlotem wszystkie stacje nadawały jeden wspólny program. Cóż to mogło być, jak nie przypomnienie celu podróży? Przedstawienie widzom ich nowego układu... nowej ziemi? Nawiaź łączność z Jurem - zakończyłem - i przygotuj się na mały seansik. Teraz my pójdziemy spać, a on z kolei posiedzi przed obrazkami. Musi wiedzieć to samo, co my.

Do statku dotarliśmy szybko i bez przygód. Leżąc już w fotelu otworzyłem jeszcze raz oczy i spojrzałem na Jura, tkwiącego przed dużym ekranem.

- Kiedy skończysz - powiedziałem - namierz kurs na Etę Sieci. Reticulum, wiesz. Sprawdź tor w komputerze i zaprogramuj generatory. Ale zbudź nas, zanim uruchomisz silniki. Chciałbym jeszcze pomachać tej gwiazdce na dole...

6.

Najgłębsza noc, nie znana pilotom próżni, nieporównywalna z niczym, obca nie tak, jak obce są dalekie układy słoneczne, gwiazdozbiory i galaktyki. Czarno na ekranie tachdaru i lidarów, na tarczach malujących obrazy, przekazywane bezpośrednio przez zewnętrzne obiektywy.

Potworny błysk, jakby w ułamku sekundy przed dziobem weszło ogromne słońce i w następnym ułamku sekundy zgasło. Statek zadrżał, ściany kabiny odpowiedziały stłumionym rezonansem.

- Tor wolny - dobiegł mnie spokojny głos Jura.

- Brak toru - zameldował niemal równocześnie Nett.

Pod powiekami gasną jeszcze czerwone koła. Porażone oczy dostrzegają znowu przecinającą ekrany zieloną nitkę, która ginie, nie natrafiając na żaden, choćby najślabiej świecący punkt. Komputer zgubił drogę. Lecimy na oślep.

Nowa eksplozja, tym razem jakby nie przed nami, lecz już na samym dziobie, na powierzchni umownego przodu statku, jaki stanowi pierwszy kulisty człon, wewnątrz którego umieszczono naszą kabinę.

- Metal.

To słowo padło z ust Jura już chyba po raz pięćdziesiąty od chwili, kiedy wyszliśmy z nadprzestrzeni. Działo się coś dziwnego. Eta Reticulum była jeszcze stosunkowo daleko. Tymczasem próżnia wokół nas roi się od krążących w niej mniejszych i większych okruchów metalu. Już co najmniej pięćdziesiąt razy ten błysk anihilacji, ta sekundowa eksplozja w miejscu, gdzie wiązka strzelająca z naszych akceleratorów przekształcała jakąś masę w antymaterię, ratowała nas przed zderzeniem z ciałem, którego obecność w tym miejscu stanowiła zagadkę nawet dla komputera. A poza tym dlaczego z naszych; ekranów znikły wszystkie gwiazdy? Dlaczego nie widzimy planet Ety? I wreszcie dlaczego tachdar wykrywa przeszkody na torze dosłownie w ostatniej chwili, podczas gdy jego tarcza przedstawia widok, który nie mógłby być inny, gdybyśmy się zbliżali do stalowej ściany wielkości płaszczyzny ekliptyki układu słonecznego, ale ustawionej prostopadle do kierunku lotu.

- Zwolnij.

- Ćwierć ciągu - odpowiedział natychmiast Jur.

Na ekranie komputera ukazały się dane, zawierające nie tyle "wskazówkę" dla nas, ile polecenie. "Konieczna zmiana kursu".

- Trzymaj kurs - mimo woli zagryzłem wargi.

- Obawiam się - mruknął Nett - że komputer włączy blokadę dyszy kierunkowych. Tak samo jak my nie wie, gdzie jesteśmy i dokąd lecimy.

- Lecimy na Etę Sieci - odparłem. - Powiedz mu to.

- Przecież jej nie ma - wymamrotał. Usłyszałem stuk klawiszy, ale nie zobaczyłem niczego, bo w tym samym momencie ciemność przed nami znowu rozdarta została upiornym światłem, które rozprysło się jak monstrualna raca, wystrzelona przez pomyłkę na pokazie ogni sztucznych. Raca, która zdolna była unicestwić glob wielkości Księżyca.

Eta zniknęła z naszych ekranów jeszcze wtedy, kiedy na ich obrzeżach widniały znane, nieruchome gwiazdozbiory. Lecieliśmy prawidłowym kursem, co do tego nie mogło być wątpliwości. Dlaczego zatem tarcze naszych lidarów i potężnego tachdaru zaczęły się nagle zamazywać, ściemniać, aż zgasły zupełnie?

- Słuchajcie - odezwał się w pewnej chwili Nett - czy my nie niszczymy jakichś obiektów latających? Urządzeń pomiarowych lub strażniczych?

- W takiej odległości poza układem? - bąknął Jur.

- Tylko metal - powiedziałem. - Nie słyszałem o sztucznych obiektach, które nie byłyby wyposażone w żadną aparaturę informatyczną. A wyobrażacie sobie taką aparaturę sporządzoną z czystego metalu? Bez osłon chroniących przewody i tak dalej? One niczego nie emitują. A w końcu, przy okazji powiem im "przepraszam"...

Minęło kilka minut, w ciągu których nic się nie zdarzyło. Już myślałem, że naprawdę zostawiliśmy za sobą rój jakichś pozaukładowych asteroidów, kiedy przed dziobem znowu wybuchło morze ognia.

Przód statku odchylił się od linii, łączącej naszą pozycję z niewidocznym słońcem układu. Jeszcze moment i na ekranach ponownie ukazały się gwiazdy.

- Pół ciągu.

- Pół ciągu - powtórzył jak echo Jur. Przez dłuższą chwilę lecieliśmy w zupełnym

milczeniu. W pewnym momencie za naszymi plecami rozległ się cichy trzask przekaźnika. Obejrzałem się. Na odsuniętym pod ścianę fotelu spał Chipping. Długie, rude włosy zakrywały mu część twarzy. Leżał nieruchomo, spowity w pasy i łącza aparatury medycznej. Od czasu do czasu któryś z przekaźników reagował na procesy zachodzące w organizmie chorego. Przez moment pomyślałem o nim z uczuciem idiotycznej zawiści. Zbudzi się, kiedy będzie już po wszystkim... lub nie zbudzi się w ogóle.

- Cały ciąg - rzuciłem z pasją.

- Cały ciąg - potwierdził Jur, opuszczając otwartą dłoń na pulpit.

- Spróbujmy zacząć od środka - powiedziałem patrząc w ekran, gdzie przez bezmiar gwiazd znowu biegła prostopadła, zielona linia. - - Wychodzimy z płaszczyzny ekliptyki. Wejdziemy w nią ponownie mniej więcej w połowie odległości, dzielącej Etę od granicznej planety układu. Sprawdź tor - zwróciłem się do Netta - a my - przeniosłem wzrok na siedzącego po lewej ręce Galina - zobaczymy, czy nie uda się uruchomić generatora. Tak lecielibyśmy jeszcze dwa dni. To trochę za długo jak na moje nerwy. Tutaj jest już czysto - dodałem.

Rzeczywiście od dobrej chwili przestrzeń między nami przestała nas zaskakiwać obecnością metalowych strzępów. Jej czerń stała się zwykłą, znajoma. Czerń próżni, w której żyją gwiazdy. Przyszło mi na myśl to, co Nett powiedział o gwiazdach i wzroku. Nie mógłbym żyć na czarnym słońcu. To śmieszne, jak bardzo te złote punkciki na niebie są człowiekowi potrzebne...

- Tor wolny - zameldował Nett. Jur skinął głową.

- Myślę, że możemy spróbować.

- Uwaga - rzuciłem sucho - przygotować się.

Kiedy ponownie ujrzeliśmy przed sobą światelka czujników i ekrany, czarnogranatowe niebo roilo się od gwiazd. Jedna z nich stała się słońcem. Wielkim, biało-pomarańczowym, żywym. W zasięgu tachdaru pozostał zaledwie skrawek owej przeszkody, do której wyminięcia, przed uruchomieniem generatora kolapsacyjnego, zmusił nas komputer.

Przód statku opisał łuk na tle gwiazdozbiorów. I natychmiast pustka wokół nas zmieniła się nie do poznania. Ekrany znowu oślepyły.

Kontrolne okienko komputera zaczęło nam coś błyskawicznie sygnalizować przelatującymi rzędami liczb. Kilka sekund później zgasło słońce, jakby przesłonięte skalną ścianą. Ale nie było ani takich chmur, ani skał, przez które nie przeniknęłyby tachjonowe "oczy" naszej aparatury.

- Metal - padło znowu pojedyncze słowo, tym razem z ust Netta.

- Metal z tyłu - zabrzmiał spokojny głos Jura.

Szaleństwo. Mogło się zdawać, że wpłynęliśmy w obszar zasłany zasiekami z drutu kolczastego. Chociaż nie. To były raczej jakieś krążące w przestrzeni, monstrualnie wielkie metalowe tarcze, otoczone rojowiskami drobnych odprysków blachy.

Spadaliśmy teraz prosto w płaszczyznę ekliptyki, po stycznej do orbity jej trzeciej planety. I nagle, tuż przed nami...

- Stop! - zawołałem, rzucając się do pulpitu. Za późno. Zanim zdążyliśmy zredukować szybkość, przemówiły akceleratory. To, co przed chwilą zamajaczyło na ekranach tachdaru i pomocniczych radarów laserowych uderów, przestało istnieć. Eksplozja trwała znacznie dłużej i objęła większy obszar nieba niż wszystkie poprzednie. Ale też nigdy dotąd nie napotkaliśmy skrawka metalowej skorupy pokrytej... zabudowaniami. W ostatnim ułamku sekundy, zanim czujniki uruchomiły wyrzutnie, widzieliśmy je dostatecznie wyraźnie, by pozbyć się ewentualnych złudzeń.

- To samo! - krzyknął Nett. - Lan, co my robimy?!

- Lecimy - wysyczałem przez zęby.

Silniki umilkły. Statek szedł kosmiczną, dotychczasowym torem. Niesłychanie powoli zbliżaliśmy się do celu.

- Trzecia na tachdarze - zameldował po pewnym czasie Jur. Planeta, niezbyt już teraz odległa, ukazała się na moment i natychmiast zniknęła znowu, przesłonięta jakąś metaliczną przeszkodą.

- Cóż to w końcu jest?! - zirytował się Galin. - Jak długo jeszcze będziemy tak lecieć na oślep, pałac po drodze wszystko, co nam nie odpowiada? Może zdecydujemy się na jakąś orbitę? - spojrzał na mnie pytającym wzrokiem.

- Akurat komputer obliczy ci tutaj orbitę - mruknąłem. - Zresztą spróbuj...

Obydwaj pochyliliśmy się nad pulpitem.

- Brak orbity - odebraliśmy kilka sekund później odpowiedź.

Wyprostowaliśmy się równocześnie. Nasze oczy spotkały się.

- To były takie same zabudowania, jak na czarnym słońcu - powiedział po chwili półgłosem Jur. - Nedorzecznosc...

- Nedorzecznosc - przytaknałem. - Niemniej były rzeczywiście takie same. A przeciez, gdyby tu miała miejsce katastrofa, w wyniku której zamieszкана planeta rozpadła się na miliony okruchów, to przeciez, u licha, nie pozostałoby śladu po jakichkolwiek sztucznych urządzeniach. Nie mówiac już o budynkach!

- Ale były - odezwał się ponuro Nett.

- Właśnie. Zapanowało milczenie.

Zastanowiłem się. "Brak orbity". Taką odpowiedź tłumaczyła jedynie kapitulacja tachdaru, oślepięgo na skutek zaburzeń grawitacyjnych. I nic dziwnego. Czujniki, natrafiając wszędzie na metaliczne przeszkody, nie dostarczały komputerowi danych niezbędnych do obliczenia parametrów orbity, z której -moglibyśmy przeprowadzić rekonesans. Staliśmy się bezradni jak dzieci. Nie można opuścić statku, który nie czeka w ściśle określonym miejscu.

Nagle wszystkie lampy alarmowe w naszej kabinie rozjarzyły się ostrą czerwienią.

- Wielkie stop! - skwitował pojawienie się nowej przeszkody Jur.

Komputer podjął jeszcze jedną, desperacką decyzję. "Wielkie stop". Raz w życiu miałem już okazję zapoznać się z tego rodzaju własną inicjatywą aparatury informatycznej. Rzecz jasna na poligonie.

Odczekałem dwie minuty, po czym pochyliłem się nad pulpitem. Wyłączyłem blokadę, a następnie ponownie uruchomiłem silniki.

- Tam nie będzie błękitnie - stwierdził Nett. Powiedział to takim tonem, że mimo woli musiałem pomyśleć o chłopięcym wyrazie jego twarzy, kiedy się uśmiechał. O mało nie popatrzyłem na niego, żeby siei przekonać, czy i teraz nie jest uśmiechnięty.

Glob rósł powoli na ekranie, od czasu do czasu pojawiała się między nim a statkiem jakaś przeszkoda, zaznaczająca swoją obecność czarnofioletową mgłą, jednak silniki pracowały normalnie, znikąd nie dochodziły sygnały, które mogły uzasadnić niedawne "wielkie stop". Lidary nadal funkcjonowały tak, jakbyśmy się przedzierali przez obszar wypełniony miliardami zawieszonych w przestrzeni żelaznych gwoździ.

- Nie zostawimy statku - powiedział z żalem Nett. - Tutaj to byłoby szaleństwo...

- Sądzę - odpowiedziałem z namysłem - że to właściwe słowo.

- Nie możemy jednak stać zbyt długo - Jur przypomniał wyrok komputera, zawarty w zdaniu "brak orbity". - Nie uniknęlibyśmy zapewne spotkania z tutejszymi meteorytami, a tuż nad powierzchnią globu lepiej nie bawić się antymaterią. Trochę za duża dla nas ta skorupa... mimo wszystko.

- Mimo wszystko - podchwyciłem - po-będziemy tu trochę. Upatrzmy sobie jakiś punkt i odzależymy trochę energii, żeby trzymać się w miejscu.

- Tak właśnie myślałem - powiedział Jur z lekkim wyrzutem.

- No to przygotujcie się - zakończyłem. Nasz statek, zbudowany w próżni, miał kiedyś, w przyszłości, zakończyć swą służbę także w próżni. Nie był przystosowany do lądowania w naturalnym polu grawitacyjnym. Jego przeznaczeniem było docierać do gwiazd i planet, a potem pozostawać na orbicie i czekać na ludzi, dla których niósł w swojej ładowni mniejsze i większe pojazdy atmosferyczne. Ten glob, tutaj, nie miał jednak orbit, chociaż takie stwierdzenie wygląda na kiepski żart. Może jego oś była nietrwała? Może zbyt dużo małych pól grawitacyjnych w jego bezpośrednim sąsiedztwie sprawiało, że zamiast

zataczać elipsy wokół swego słońca, kreślił w przestrzeni najdziwniejsze zygzaki?

Ogromny, bezchmurny ład, wypływały w słabych, jakby zabłąkanych promieniach słońca. Zbliżaliśmy się do niego metr po metrze, nie licząc minut ani godzin. Kiedy zobaczyłem na ekranie obłoki płomienistego kurzu, powstające z miejsca, w które były dysze napędowe statku, włączyłem przygotowany uprzednio program. Silniki, główny i kierunkowe, zrównoważyły układ sił grawitacyjnych. Staliśmy.

Tysiąc pięćset metrów pod nami teren załamywał się tworząc ostrą krawędź ogromnej, nie objętej wzrokiem kotliny. Kiedyś mógł ją wypełniać ocean. Ale wody uciekły z tej planety razem z jej atmosferą.

Półtora kilometra. No cóż. Tam, gdzie nie można wejść na orbitę, niżej oznacza bezpieczniej.

Czapa lodowa bieguna południowego docierała niemal do strefy podzwrotnikowej. W wielu punktach pojawiła się silna radioaktywność niewiadomego pochodzenia. Niektóre połączenia ładu były zrównane, jakby przetoczył się po nich monstrualny walec. Wszędzie, w górach i na równinach, pomiędzy sprasowanymi warstwami dawnej skorupy planety, wyzierały ślady cywilizacji. Tak, to była jedna z takich tragedii, o jakich czyta się w dzieciństwie z wypiekami na twarzy, by po odłożeniu książki puścić wodze fantazji i zaludnić bezpieczne domowe zacisze wizerunkami umarłych istot, kultur i światów. Tylko że ta tragedia, oglądana na własne oczy, realna jak to tylko- możliwe, wcale nie wywoływała na twarzach rumieńców. Jej obraz był zbyt zimny, cichy i zarazem okrutny w swojej nieodwracalności.

- Na czarnym słońcu - powiedziałem niespodziewanie dla samego siebie, nie patrząc w stronę Netta - oświadczyłeś, że zginęli, bo byli nie dość ciekawi. Potem wyszło na jaw, że twoja pomyłka, zamiast przemawiać na rzecz określonej argumentacji, stała się oskarżeniem. Byli dostatecznie ciekawi, żeby nie widząc gwiazd, jednak do nich polecieć. A teraz okazuje się, że byli za mało ciekawi. Twierdzą, że zgubiła ich właśnie ta niepojęta ciekawość. Albo jeśli wolisz, brak selektorów informacyjnych. Proszę, udowodnij, że się mylę...

Wymamrotał coś niewyraźnie.

- Nie dosłyszałem!

- Powiedziałem "dobrze" - powtórzył dobitnie.

- Świetnie - zatarłem ręce. - To bierz się do rzeczy.

- Co robisz? - spytałem po chwili, widząc, że programuje zespół łączności.

- Teraz mu nie przeszkadzaj... - odezwał się

Jur. Spojrzałem na niego przelotnie. Twarz miał poważną, zmęczoną. Nie żartował. - Jak gra, to gra - dodał.

Sonda, wysłana przez Netta w kierunku słońca, umilkła po dwóch minutach. Strzaskana w zderzeniu z jakąś blaszką, pozostanie tutaj na zawsze, powiększając liczbę kosmicznych szczątków, przepełniających płaszczyznę ekliptyki układu Ety Reticulum. Nie przekazała nam żadnych danych, które mogły wzbogacić naszą nikłą wiedzę o losie ziemskiej stacji. Czemu innego mogliśmy się zresztą spodziewać, skoro sami, na pokładzie statku uzbrojonego w najpotężniejszą aparaturę, przepychaliśmy się niedawno tamtędy ślepi i niemi, nie rozumiejący niczego?

Drugi aparat pomknął w kierunku przeciwnym. I tym razem Nett nie potrafił zaprogramować orbity, która po opuszczeniu pola grawitacyjnego trzeciej planety pozwoliłaby sondzie osiągnąć dalsze globy. Nie poprzestał jednak na jednym aparacie. Zmienił nieco położenie wyrzutni i wystrzelił następny. W ślad za drugą sondą poleciała następna, również po minimalnej zmianie kąta nachylenia

wyrzutni. I ta wreszcie znalazła lukę w otaczającym nas gigantycznym śmietniku. Jej kamery, które po starcie przekazywały obraz czarnego chaosu, naraz odzyskały ostrość widzenia. Na naszych ekranach ukazało się czyste niebo, gwiazdy, konstelacje i galaktyki. Mikroskopijna w porównaniu z komputerem statku aparatura informatyczna zwiadowcy bez trudu odszukała dalsze planety układu i podała nam wszystkie dane dotyczące ich położenia. A kilka sekund później wszyscy trzej, jak na komendę, podnieśliśmy się z foteli. Stanęliśmy obok siebie, pochyleni nad pulpitem. Przestały dla nas istnieć gwiazdy, niebo, zaśmiecona przestrzeń i cmentarzysko na powierzchni globu. Wszystko poza jednym jedynym słabym pulsującym światłem, potwierdzającym, że statek poprzez odbiorniki sondy utrzymuje łączność z ludźmi. Że odbiera fale biologiczne, emitowane przez ich kompony.

- Start - rzuciłem. Tamci dwaj usiedli. Ja nie. Uruchomiłem silniki i ruszyłem z takim przyśpieszeniem, że pociemniało mi w oczach. Zapomniałem, że biwakujemy w potężnym polu grawitacyjnym. A raczej nie chciałem o tym pamiętać.

Kiedy oprzytomniałem, leżałem w fotelu, wduszony głęboko w jego poduszki. Przed nami znowu trwała upiorna kanonada. Błyski następowały po sobie tak szybko, że w pewnej chwili zdziwiłem się, jakim cudem automatyczne celowniki akceleratorów mogą nadażyć. Śmieszne.

- Brak namiaru - zameldował nieco zdyszczanym głosem Jur.

- Pełna ekranizacja - dodał z rozpaczą Nett.

- Tor?

- Jak dotąd, pokrywa się z drogą sondy - odpowiedział ponuro Galin, kładąc nacisk na tym "jak dotąd".

- To dobrze - zamknąłem oczy, bo przed nami znowu rozbłysła, pękła i rozsypała się na miliardy płonących rakiet wielka, jaskrawa gwiazda. Nie widziałem, kiedy na ekranach ponownie zapłonęły wszystkie alarmowe światła.

- Cholera! - wyrwało się Nettowi.

- Wielkie stop - oświadczył z rezygnacją Jur.

Statek błyskawicznie wytracał szybkość. Fotele samoczynnie objęły nas mocnym uściskiem sprężystych ochraniaczy.

- No i tyle - mruknąłem.

Światła na pulpitych zgasły. Tarcza tachdaru przekazywała odbicie nieskończonej, metalicznej płaszczyzny, zagrządzającej drogę. Okienka lidarów były ciemne. Utknęliśmy.

Uniosłem dłonie do twarzy i mocno przetarłem palcami oczy. Moje rozdrażnienie i napięcie minęły bez śladu. Poczuję się senny.

- Co z torem? - spytałem bez żadnej nadziei.

- Komputer nie reaguje - padła spokojna odpowiedź Jura. - To mi wygląda na zaburzenia magnetyczne.

- Ze zwykłymi zaburzeniami magnetycznymi poradziłyby sobie bez trudu - Nett pokręcił z niedowierzaniem głową.

- A kto ci powiedział, że to są zwykłe zaburzenia? Miałeś widzenia? Znowu?

- Nie - rzucił lodowatym tonem. - Nie widzenia, tylko natchnienie. Wiem już, co zrobić. Sam polecę w charakterze sondy. Nie bój się - dodał szybko, widząc, że otwieram usta - nie Budkerem. Wiem, że mamy tylko jednego i że może się jeszcze przydać. Wezmę ptaszka...

- Nie polecisz.

- Właśnie że polecę. Mam już po dziurki w nosie tej zabawy w

ciuciubabkę, zresztą nie zdołasz mnie zatrzymać. Nie jesteś w stanie zaproponować innego rozwiązania. Polecę, ponieważ jest to jedyne, co możemy zrobić dla naszego własnego bezpieczeństwa i ocalenia stacji.

Galin otworzył usta. Spojrzałem na niego ostro. Poruszył wargami, ale nie powiedział nic. Kiedy Nett zniknął już w przejściu do śluzy, rzuciłem za nim:

- Łączność na fonii. Mów jak najwięcej. Przynajmniej będziemy mieć pewność...

Zatrzymał się na moment i skinał głową tkwiącą w wielkim próżniowym kasku. Następnie odwrócił się i zniknął w mroku korytarza.

- Logika faktów - mruknął pod nosem Jur.

- Fakty - odpowiedziałem. - Co do logiki, nikt tutaj o nią nie pyta. I nikt jej nie musi dorabiać do tych faktów. To właśnie jest ten jego osławiony szum...

- Ano - bąknął i umilkł.

- Na dolnym ekranie zaczynam widzieć zarysy globu. Jest blisko. Radary dalej pokazują metalową ścianę - mówił Nett. - Zniżam się. Zaczynam powoli widzieć ład, wiecie, jak to jest...

Odkrył jakiś glob tam, gdzie nie mogło być żadnego. Najbliższa, czwarta planeta układu znajdowała się od niego w odległości, jaka dzieli Ziemię od Marsa. Go więcej, przygotowywał się do lądowania... chociaż jego radar pokazywał echo pełnometaliczne.

- Mów dalej - rzuciłem oschle, bo zrobił dłuższą przerwę.

- Nie rozumiem - odezwał się chwilę później, lekko zmienionym głosem.
- Tu nie ma śladu grawitacji. A przecież najwyraźniej mam pod sobą dużą planetę... jej tarcza jest lekko wklęsła, jak zwykle. I rozrasta się... widzę już tylko wycinek łuku horyzontu. Zniżam się...
Słońce!!! - jego okrzyk zabrzmiał tak głośno, że obaj z Jurem omal nie podskoczyliśmy w fotelach. - Niebo i słońce! Pode mną wielkie półkole ład. Schodzę...

- Nie śpiesz się - powiedziałem bezwiednie.

- Idę jedną szóstą mocy - odpowiedział nieco zdziwiony. - Ten horyzont coś za długo pozostaje wywinięty... rozumiecie?

- Zwolnij jeszcze - poleciłem.

Wywinięty? Horyzonty globów, kiedy przybywa się z przestrzeni, zawsze są zwinięte na krawędziach jak suche liście. Ale nigdy wtedy, kiedy na ekranach pozostaje już tylko wycinek łuku widnokręgu. Na długo przedtem widzi się uczciwy, wypukły ład, z konturami kontynentów, oceanów, ba, nawet niewielkich mórz.

- Jaka masz wysokość? - spytałem.

- Czterdzieści pięć kilometrów. Na samym horyzoncie obszar zaciemniony urywa się. Czekaście... tak, to są budynki! Zabudowania! Prostokątne, ale znacznie większe niż t a m...

- Wysokość?

- Dwadzieścia dziewięć.

- Nett, schodzisz za szybko - upomniał go Jur.

- Słuchaj - powiedziałem - czy ten punkt na widnokręgu, który sobie upatrzyłeś, zmienia położenie? Czy przemieszcza się w krajobrazie?

- Właśnie - mruknął po dłuższej pauzie - nie bardzo mogę namierzyć...

- Przesuwa się czy nie? - powtórzyłem nieprzyjemnym tonem. - Stale widzisz te same budynki?

- Nie mogę tego stwierdzić - odparł krótko.

- Uważaj, Nett - mówiłem teraz twardo i dobitnie - gdyby to była planeta, zabudowania musiałyby się przemieszczać razem z całym horyzontem... rozumiesz? Miałbyś pod sobą wciąż nowe obszary globu... w zależności od własnej, zmieniającej się pozycji. Zastopuj, Nett. Bardzo możliwe, że za sekundę lub dwie znajdziesz się poza krawędzią tarczy... bo to nie jest glob, tylko płaska tarcza. Jaką masz wysokość?

- Siedemnaście...

- I dalej są te same budynki?

- Tak...

- Nett, pomyśl chwilę. Zastanów się. Zastopuj...

- Stopuję - odpowiedział jak echo. Mimo woli odetchnąłem z ulgą.

- Rozumiesz już, że to nie może być planeta?

- Lan, Jur, mam sygnał! - krzyknął w odpowiedzi. - Mój kompon!...

- Wysokość?

- Dziewięć.

- Nett! - wrzasnąłem.

- Nett! - powtórzył Jur. ;- Nie włączyłeś hamownic. Spadasz dalej! Powiedziałeś, że stopujesz...

- Już, już - mruknął niechętnie. - Zagapiłem się...

Zacisnąłem pięści. Zagapił się! No, dobrze... zostawimy to na potem.

- Co z komponem?

- Wysuwam ekranik - odpowiedział natychmiast. - Sygnał jest wyraźny. Twarz! Widzę jego twarz! Mam łączność! Słyszycie? Mamy łączność! Oni żyją!!!

- Czyja to twarz, Nett? - spytałem. - Co to znaczy "łączność"? Odezwał się?

Cisza.

- Nett, odpowiedz - powiedział Jur. - Z kim nawiązałeś łączność?

Nic.

Sygnał potwierdzający sprzężenie z ptaszkiem zgasł nagle i cicho. Przez dłuższą chwilę wpatrywaliśmy się obaj w ciemną, ledwie widoczną, mikroskopijną główkę kontrolnej lampki. Słyszałem przyspieszony oddech Jura. Poza tym w kabinie panowała zupełna cisza. Nawet przekaźniki aparatury, opiekującej się Chippingiem, przestały już żądać od zespołów medycznych interwencji lub informacji.

- To ten przeklęty Telmur - wycodziłem, żeby przerwać ciszę. - Jest za blisko. Hodowla informacji egzystuje od kilkunastu tysięcy lat. Mogła zapełnić wszystkie okoliczne układy nie istniejącymi planetami.

- Sygnałami biologicznymi też? Wiesz, jak są strojone kompony?

- Co z tego? Chipping, na przykład, tam był. Mogli być i inni. Jeśli hodowla nauczyła się naśladować ich kompony?...

- Mają krótki zasięg - mruknął z powątpiewaniem. - Impulsy utknęłyby po drodze z sąsiedniego układu.

- Więc co to było?

- Polecę - oświadczył zamiast odpowiedzi. Wstałem.

- Ty nie polecisz - zacząłem dobitnie - bo Graffowi spodobało się mnie zrobić szefem tej ekspedycji. Nie mógłbyś wydać mi polecenia, które musiałbym respektować. Natomiast ja tobie mogę. Posłuchaj uważnie. Poczekasz tutaj dobie. Jedną. I ani sekundy dłużej. Jeśli do

tego czasu nie wrócimy...

- Jak to "my"?...

- Nie przerywaj. Jeśli do tego czasu nie wrócimy - powtórzyłem - odleciś stąd i postarasz się pójść dokładnie torem tej trzeciej sondy, która przechwyciła czyjeś sygnały. Spróbujesz złapać namiar. Masz rację mówiąc, że nie mają zbyt dalekiego zasięgu... więc nie powinieneś szukać zbyt długo. Jeśli ich nie odnajdziesz, wrócisz na Ziemię z samym Chippingiem. Dowiedzą się przynajmniej, co spotkało załogę stacji. Czyli tak czy owak zrobimy, co do nas należy. Reszta mnie nie obchodzi.

- Tak, ale...

- To tyle - odwróciłem się, sięgnąłem po kask i zacząłem go nakładać. Przyglądał się temu w milczeniu. Dopiero kiedy posławszy mu pożegnalny gest ruszyłem w stronę śluzy, powiedział:

- Weź Budkera...

- Nie - rzuciłem przez ramię, nie zatrzymując się. - Nie ruszaj anten... Ja przestroję moje na częstotliwości Netta. Może będę trochę mniej gadał... nie przejmuj się tym. A Budkera nie wezmę, bo jeśli przypadkiem kogoś znajdziesz, to przecież w jakiś sposób będziesz go musiał ściągnąć na statek.

- Dam sobie radę - nie ustępowałem.

- Nie - powtórzyłem. To słowo padło, kiedy nad moją głową złączyły się już przezroczyste skrzydła ważki, zamykając mnie w ciasnej kabinie małego pojazdu.

Budynki, o których opowiadał Nett, ukazały się na moim ekranie w pełnym blasku słonecznego dnia i wtedy od razu przechwyciłem sygnał. Leciałem wyżej niż on, zachowując bezpieczną odległość od blaszanej tacy, udającej planetę. Za chwilę jednak będę musiał się zniżyć.

Powiedziałem Jurowi, że odbieram namiar biologiczny Netta, ale że nie mam go jeszcze na fonii. Następnie skierowałem dziób ptaszka prosto w ów punkt na linii horyzontu, gdzie widniało skupisko zabudowań. Było dokładnie tak, jak się domyślałem. Te ocalałe budynki stały nieruchomo na krawędzi widnokregu i czekały, aż się zbliżą, bez względu na moją szybkość i kierunek lotu. To absurd wziąć coś takiego za horyzont jakiegokolwiek bryły, wiszącej w przestrzeni.

Trzydzieści sekund później utraciłem łączność ze statkiem.

Pomyślałem przelotnie o Jurze, o tym, że teraz zaczyna odmierzać czas, jaki pozostał jemu i mnie, ale nie przejąłem się tym, że nie może mnie słyszeć. Nett był niedaleko. Fakt, że jego komponent funkcjonował normalnie, dowodził, że w sąsiedztwie tej zabudowanej płaszczyzny utrata łączności nie jest równoznaczna z katastrofą. A pokładowy komputer notuje przecież drogę ptaszka, notuje ją dokładnie, biorąc pod uwagę najmniejsze zmiany szybkości czy kursu, bo nadal działa sprawnie, prowadząc mnie ku Nettowi. A więc wszystko w porządku.

Leciałem teraz prosto w dół. Widok przesłaniały purpurowe w promieniach słońca smugi ognia, strzelające z hamownic, jednak ład rozrastał się przede mną wciąż jeszcze bardzo szybko. Nagle wpadłem w cień. Znalazłem się po przeciwnej stronie gigantycznej tarczy, stanowiącej jedyny w swoim rodzaju sztuczny obiekt planetarny. A kiedy kabinę pojazdu zalało ponownie światło, raptem oślepił mnie przeraźliwy błysk. Dokładnie takim samym witała gości trzecia planeta Telmura, sąsiadująca z globem, oblanym informacyjnym oceanem...

- Do rzyżego diabła! - syknąłem, nie panując nad sobą. - Znowu?!

Powierzchnia ładtu była tuż. Wypatrzyłem gładki jak szkło kwadrat, otoczony zwałami kamieni... a może to były ruiny? - i wszedłem w ciasną spiralę.

Znalazłem się na wysokości mniej więcej metra nad poszarpanymi krawędziami jakichś bloków, płyt, dźwigarów przypominających sterczące pionowo, złamane śmigła. Jeszcze jedna upiorna błyskawica. Zły na siebie, że choć ostrzeżony w porę, nie włożyłem słonecznego kasku, zmieniłem kurs i wzniosłem się odrobinę wyżej. Kilka sekund później przekroczyłem granicę cienia. Wtedy zawróciłem i ostrożnie, nie spuszczać wzroku z zielonej nitki, biorącej swój początek w komponie Netta, ruszyłem z powrotem. Nie leciałem długo. Dosłownie kilkanaście metrów za linią dzielącą noc od dnia, ale już na oświetlonej płaszczyźnie, w płytkim zagłębieniu, wypełnionym wszechobecnym gruzem, ujrzałem coś dobrze znajomego. Kryształki. Piramida zbudowana z pryzmatów. Eksperyment informacyjny późniejszych twórców przeklętej hodowli na drugiej planecie Telmura.

Ta tutaj nie stała jednak jak jakiś słoneczny pomnik. Była rozłupana niemal dokładnie na pół. Jedna jej część leżała, zagrzebana częściowo pod resztkami zabudowań. Tuż obok, cały w bieli, choć oświetlony przez kolorowe, załamane w pryzmatach promienie, stał nie uszkodzony na pierwszy rzut oka ptaszek Netta. Pomiedzy pojazdem a resztkami pięknej piramidy widniała leżąca bez ruchu postać w skafandrze, podobna do porzuconej, źle wypchanej kukły.

7.

Zrobiłem jeszcze jeden krok w stronę leżącego i w ułamku sekundy, bez najmniejszego przejścia od najgłębszej ciszy, słuchawki przewierciły mi czaszkę nieopisanym hałasem. Być może nie był to aż taki wrzask, jaki wydawała sama hodowla na Drugiej Telmura, ale dla zwykłych ludzkich uszu różnica doprawdy nie zasługiwała na uwagę.

Odruchowo uniosłem do skroni dłoń w wielkich próżniowych rękawicach i z całych sił przycisnąłem je do twardej powłoki kasku. Bezsensowny gest.

W następnej chwili cofnąłem się o ten jeden krok. Nastąpiła cisza. Ulga była tak dojmująca, że kolana ugięły się pode mną, o mało nie usiadłem. Potrzebowałem co najmniej minuty, żeby ponowić próbę. Z takim samym skutkiem. Dokładnie tam, gdzie stałem, przebiegała granica, na której dzięki jakiemuś niebywałemu kaprynowi natury zatrzymywały się fale emitowane czy przetwarzane przez rozłupaną piramidkę z pryzmatów.

Cofnąłem się jeszcze o krok i próbowałem skupić myśli. Muszę Netta zabrać. Aby tego dokonać, wystarczy przebyć te pięć, sześć metrów. Droga była najeżona poszarpanymi ostrzami dawnych konstrukcji, ale ona sama nie przedstawiała najmniejszych trudności. Nic tutaj nie powinno być trudne dla człowieka w skafandrze. Ubiór Netta także wydawał się nie uszkodzony, zresztą gdyby rzecz wyglądała inaczej, nie przeżyłby ani kilku sekund w próżni. A jednak leżał tam nieruchomo jak podłużny, niedbale uszyty worek. Co doprowadziło go do tego stanu?

Odpowiedź nasuwała się sama. Stał i słuchał. Może o jedną jedyną sekundę za długo? Obezwładnił go hałas w słuchawkach. Lawina informacyjnej mierzwy. A więc jeżeli pójdę po niego, za chwilę sam będę tam leżał, równie wygodnie jak on rozciągnięty na gruzowisku.

Tamta piramida, pod którą znaleźliśmy Chippinga, milczała. Posyłała nam zabójcze "zajaczki", pokazywała obrazki; miała pozornym ruchem kryształków, ale siedziała cicho. A może nie? Może tym razem tylko dlatego jest inaczej, że tutejsza budowla z pryzmatów jest ruiną, jak

wszystko dookoła? Przepołowiona, zdruzgotana w znacznej części. Kto wie, czy właśnie nie dlatego, zamiast słać swój hałas do jakiegoś umiejscowionego w kosmosie odbiorcy, daje nieustanny, obłąkany koncert w promieniu kilku lub kilkunastu metrów?

Zastanowiłem się. Eksperyment informacyjny. Pryzmaty. Zabawa w dzielenie promieni słonecznych na barwy tęczy.

Pryzmaty?...

Odruchowo spojrziałem w niebo. Słońce stało dość wysoko, jeśli można się tak wyrazić, przebywając na powierzchni czegoś, co nie jest ani planetą, ani księżycem, ani w ogóle żadnym trójwymiarowym ciałem niebieskim. Ta taca nie ma orbity, zgoda. Nie znaczy to jednak, że wisi w próżni nieruchomo, że nie kręci się wokół jakichś zwariowanych osi, drepcząc równocześnie dookoła Ety Sieci.

Cień zaczynał się dwadzieścia, dwadzieścia pięć metrów za piramidą. Dłuższą chwilą spędziłem bez ruchu, obserwując jego granicę. Trwała w miejscu. Trwałem i ja. Nogi zaczęły mi drżeć jak po długotrwałej wspinaczce, ale stałem dalej. Wreszcie spostrzegłem, że linia cienia w ślimaczym tempie wspina się na odłamek dawnej ściany. Szła w moją stronę. To nie ulegało wątpliwości.

Pięknie. Teraz pozostaje tylko czekać. Ponieważ owa piramida jest zbudowana z pryzmatów, więc nośnikami wszystkich gromadzonych i emitowanych przez nią informacji są promienie słoneczne. Inaczej mówiąc, kiedy ogarnie ją cień, umilknie i pozwoli mi bezpiecznie podejść do Netta.

Usiadłem na kupie gruzów i wyciągnąłem nogi. Raz czy dwa obejrzałem się na pojazdy. Stały grzecznie, czekając tak samo jak ja. Może była pewna różnica... zresztą mniejsza z tym.

Czekałem. W przestrzeni zderzały się galaktyki, przestawały istnieć miliardy słońc, rodziły się nowe. Na Ziemi...

Pomyślałem o Avonie. Zagryzłem wargi i intensywnie zacząłem się zastanawiać, czy w moim mieście jest teraz noc czy dzień. Czy Ago przewraca się właśnie z boku na bok, czy też na przykład, jak zawsze świeży, z tym swoim ironicznym grymasem na gładko wygolonej twarzy, mówi akurat do profesora Boukina: - "Nic się nie martw. Jeśli nie wróca, pošlemy innych..." Uśmiechnąłem się. Uśmiechałem się jeszcze, kiedy ponownie stanęła przede mną twarz Avony, tak wyrazista i bliska, że aż się zląkłem. Nie dlatego, że bym pomyślał o zabłąkanych informacjach czy innych zwidach. Powód był zupełnie inny...

Czekałem. Próbowalem się zdrzemnąć, ale nic z tego nie wyszło. Otworzyłem oczy i zacząłem ostrożnie rozgarniać gruz. Jakies porozdzierane płytki, pozostałości większej płaszczyzny, kawałki blach, katowników, nieregularne bryły o ostrych jak noże krawędziach.

Pomyślałem, że grzebiąc w tym świństwie mogę z łatwością uszkodzić rękawice, i dałem spokój.

Za moimi plecami, w odległości mniej więcej dwóch kilometrów, ład kończył się pozornym horyzontem. Tam stały nie uszkodzone budynki, które zwabiły Netta. Teraz nie mogłem ich widzieć. Ale kiedy ponownie znajdą się przede mną, kiedy przekroczę krawędź rzekomego ładu, który miałem pod nogami, znowu usłyszę Jura.

Cień przyszedł nagle, a wraz z nim złudzenie chłodu. Był to miły chłód, niosący ciszę i ukojenie, jakbym w bardzo upalny dzień wszedł do pokoju w domu mojego dzieciństwa. Oczekałem jeszcze chwilę, po czym podniosłem się, sprawdziłem, czy do nogawek spodni nie przylgnęły mi jakieś śmieci i ruszyłem w stronę leżącego.

Słuchawki pozostały głuche do końca. To znaczy do momentu, kiedy pochyliłem się nad Nettem, podniosłem go i przerzuciłem sobie przez ramię. Milczały także, gdy lokowałem go w fotelu mojego ptaszka. Odezwały się dopiero, kiedy kilka minut po starcie przekroczyłem

linię "horyzontu". Odezwały się, rzecz jasna, głosem Jura.

- No - powiedział spokojnie - pośpieszyłeś się...

- Robiłem, co mogłem. Co u ciebie?

- Wszystko po staremu.

Nett poruszył się i coś zamruczał.

- Co tam? - zainteresował się Jur.

- Nic, nic - odpowiedziałem, kładąc równocześnie dłoń na ramieniu Netta. Pod moim dotknięciem obudził się i otworzył oczy. Były niemal białe. W ich wyrazie przebijało coś, co tak nam się nie podobało w spojrzeniu Chippinga.

- Przez chwilę nie będziemy rozmawiać - poinformowałem Jura.

- Masz kłopoty?

- Nie. Nie mów teraz.

Wstałem, opuściłem oparcie fotela, na którym leżał Nett, i zająłem się tą namiastką aparatury medycznej, jaką dysponował komputer ptaszka.

Kiedy zapinałem ostatni pas, mocuający do poduszki fotela niefortunnego łowcę informacji, z jego nieruchomych warg wypłynęło głębokie westchnienie.

- Leż spokojnie - powiedziałem. - Wszystko w porządku...

Próbował się podnieść. Na jego twarzy odmalowało się napięcie. Pochyliłem się nad nim.

- Twarz... - wyszeptał z wysiłkiem. - Twarz... strefa...

Coraz lepiej. Chipping mówił o czarnym słońcu, a ten o twarzy i strefie.

- Buk... to był Buk... - wykrztusił odrobinę głośniej. Zamknął oczy i powtórzył: - Buk Ramanian. Coś mówił... ale ja nie słyszałem. Nie słyszałem - ponownie zamknął oczy. - Strefa... - dodał po chwili. Wyraźnie opadał z sił. Za dużo trudu kosztowało go mówienie. - To jest strefa... - wyszeptał jeszcze i umilkł.

- Co się stało? - spytał Jur, kiedy ponownie usłyszał mnie na fonii.

- Nic - odpowiedziałem. - Leczyłeś rudzielca, teraz zajmiesz się brunetem. Nie powinno ci to sprawić większej różnicy...

- Nie wiem... Czy jest bardzo źle? - spytał po chwili zmienionym głosem.

- Nie. Żadnych urazów, obrażeń, skafander cały, butle tlenowe pełne. Szok...

- Tak jak tamten?

- Powiedzmy... - zgodziłem się. Może nie aż tak, ale co za różnica. Za to tamten nie był z Centrali. Mógł sobie pozwolić na miesiąc odpoczynku. Nett nie.

Poczułem lekkie mrowienie w przegubie dłoni. Odruchowo obejrzałem się, obrzucając niezbyt życzliwym spojrzeniem sąsiedni fotel. Daje mi znać, że żyje. Jakbym o tym nie wiedział. Zwróciłem się ponownie ku ekranom. W lewym górnym rogu centralki komunikacyjnej paliła się nikłym światłem lampka wezwania. A mój kompon odzywał się nadal.

Przebiegło mi przez myśl, że zbyt długo siedziałem pod tą rozłupaną piramidą. Przymknąłem na moment oczy, po czym otworzyłem je szeroko. Lampka na pulpicie nie przestawała pulsować bladozielonym światłem.

Wysunąłem ekranik. Natychmiast ukazała się na nim głowa mężczyzny.

Patrzył wprost na mnie i coś mówił. To jego kompon emitował wezwanie. Ale ten człowiek nie próbował nawet przekonać się, czy jego sygnały ktoś odbiera. A może właśnie próbował zbyt długo, a dziś uważa spoglądanie na swój ekran za zbędny trud?

Pochylił głowę. Jego wargi nie przestały się poruszać. Był bez kasku, dobrze oświetlony. Ciemne włosy, rysy twarzy nieco zatarte, ale poznałem go od razu. Buk Ramanian. Członek załogi stacji. Egzobiolog, badacz, kolega Airy i Chippinga. Nie jest sam. Mówi przecież do kogoś.

Sięgnąłem do płytki na rękawie i wdusiłem klawisz.

- Buk - powiedziałem głośno i dobitnie. - Buk, wzywam cię. Odezwij się...

Głowa na ekraniku nie zareagowała najmniejszym ruchem, który mógł świadczyć, że kompon przekazał mu choć jedno moje słowo.

- Buk Ramanian - powtórzyłem. - Halo! Nie, to na nic. Jest za daleko. Fale biologiczne mają ograniczony zasięg. Ściśle mówiąc nie one same, tylko aparatura, która pozwala wykorzystywać je jako narzędzie łączności. Buk jest za daleko, żebym mógł z nim rozmawiać. Znajduje się jednak na jakimś globie, oświetlonym przez słońce. Chodzi po nim bez kasku. Czyli mogło być gorzej.

- Jur - powiedziałem spokojnie - przygotuj statek do lotu.

- Jest przygotowany - odpowiedział z lekkim zdziwieniem. - Stało się coś?

- Na razie niewiele - mruknąłem.

- Generatory? - spytał już normalnym tonem.

- Nie. To blisko. Nie dalej, niż sięgają optyczne sygnały komponów.

- Widzisz coś?

- Jakbyś zgadł - burknąłem.

Twarz Ramaniana zniknęła z ekraniku, kiedy tylko znalazłem się po przeciwnej stronie monstrialnej płaszczyzny, którą Nett wziął za planetę. Sygnały słabły z sekundy na sekundę. Ustaliłem ich kierunek, ale co znajdowało się na jego przedłużeniu? Planeta? Jeśli tak, to która? Sondy dostarczyły nam nieco danych o układzie planetarnym Ety Reticulum. Tyle tylko, że kierunek, nawet w przestrzeni, nie zawsze oznacza równocześnie drogę. Komputer nie obliczy toru lotu, zanim tachdar nie "pokaże" mu docelowego obiektu. A tachdar pokazuje jedynie metalowe tarcze i rojowisko kosmicznych odprysków.

A może w otoczeniu statku zaszły jakieś zmiany?

- Uważaj, Jur - powiedziałem. - Podam ci teraz tor sygnałów. Już...

Przełączyłem nadajnik z fonii na namiar i podłączyłem wzmacniacze. Sprawdziłem sprzężenie z sekcją fal biologicznych, po czym spytałem:

- Jak z odbiorem?

- W porządku - odpowiedział po chwili. - Bardzo słaby - dodał z wahaniem.

- Nie szkodzi. Posłuchaj teraz. Za kilkanaście minut będę na statku. Nie ma najmniejszego ryzyka. Wszystkie zespoły, poza celowniczymi, skieruj na namiar Ramaniana. Może w tej żelaznej piance dokoła nas robią się od czasu do czasu małe dziurki. Próbuuj. Próbuuj bez przerwy. Nie mów do mnie nic, nie zajmuj się niczym innym. Jeśli znajdziesz jakąś planetę i potrafisz dokazać tego, żeby komputer zaprogramował drogę, to będzie koniec naszych kłopotów. Rozumiesz?

- Uhm...

- No to powodzenia. Wyłączam się...

- Lan... - usłyszałem słaby głos za sobą. Odwróciłem się. Oczy miał przymknięte. Pod nimi widniały szerokie, sine półksiężycy. Nie ulegało wątpliwości, że dostał za swoje.

- Leż spokojnie - powtórzyłem bez zastanowienia.

Wykrzywił wargi w ironicznym grymasie.

- Odwiąż mnie - wyszeptał. - Przecież to idiotyczne...

- Co do tego, zgoda - burknąłem. - Jak się czujesz?

- Ty pewnie powiedziałbyś, że normalnie - próbował się uśmiechnąć. Przyjrzałem mu się nieco uważniej. Chyba rzeczywiście mogą sobie darować te pasy.

Nie śpiesząc się wstałem i podszedłem od tyłu do jego fotela. Uwolniłem go, następnie podniosłem oparcie. Westchnął z ulgą. Zaraz potem próbował unieść głowę. Przytrzymałem go przez chwilę, po czym cofnąłem ręce.

- Normalnie, nienormalnie - powiedziałem - powinieneś mieć przynajmniej tyle rozsądku, żeby dokończyć kuracji. Nie przerywaj połączenia z aparaturą medyczną.

- To tylko szok - bąknął.

- Właśnie - podchwyciłem niemiłym tonem - szok. U Chippinga to także był tylko szok...

Nie zareagował. Ponownie zamknął oczy i zmarszczył brwi. Na jego twarzy odmalował się wysiłek.

- Lan? - odezwał się wreszcie.

- Uhm?...

- Ja wiem, co to było...

- Ja także wiem - wzruszyłem ramionami. - Pomyliłeś się. Zapatrzony w "horyzont", nie zwróciłeś uwagi, że go tam nie ma.

- Przestań - zaprotestował słabo. - Ja myślę o tym tutaj - zrobił ręką szeroki ruch, jakby chciał objąć nim całą Galaktykę.

- Naprawdę? Dowiedziałeś się, leżąc tam jak martwe ciało?

Przez chwilę wpatrywał się we mnie beznamiętnym wzrokiem, po czym nagle na jego twarzy zagościł blady uśmiešek.

- Żebyś wiedział - mruknął. - Właśnie tam. W pewnej chwili ujrzałem obraz...

- Zawsze te obrazy - sarknąłem. - Nie

mógłbyś na jakiś czas zapomnieć o swojej wielkiej pasji?...

- To była strefa Dysona... - powiedział spokojnie.

Już otwierałem usta, żeby wyrazić pogląd na wartość informacji zbieranych za pośrednictwem ładnie szlifowanych kamyczków, kiedy nagle poczułem, że w mojej głowie dzieje się coś niedobrego. Jakby raptem puściły jakieś zastawki, blokujące dotychczas dopływ krwi do mózgu. Kilka sekund siedziałem jak skamieniały, z otwartymi ustami, niezdolny do wykonania najmniejszego ruchu.

Wreszcie zamknąłem usta i potrząsałem głową. Następnie odwróciłem się do niego. Musiał wyczytać coś w moim wzroku, bo uśmiechnął się znowu.

- Proste, prawda? - spytał z nutką przekory.

Przytaknąłem machinalnie. Proste. I jak jeszcze! Do miliona diabłów. Przecież to leżało przed nami jak na patelni! Strefa Dysona! Tylko zupełny, bezgraniczny absurd takiego przedsięwzięcia mógł sprawić, że żadnemu z nas nie przyszło to dotąd do głowy. A przecież jeśli się

chwile; zastanowić, nic innego nie mogło w takim stopniu i w taki sposób wypełnić całego układu metalowym złomem! Te wszystkie mniejsze i większe postrzępione tarcze, nie wyłączając tak ogromnych, że przekraczały rozmiarami średnice największych planet! Ba, przecież zachowały się nawet budowle, całe ich kompleksy, nie mówiąc o miliardach kilometrów kwadratowych ruin...

Strefa Dysona. Kiedyś i na Ziemi rozważano możliwość stworzenia ludzkości takiego mieszkania. Zamknięta blaszana kula, której koło wielkie odpowiadałoby mniej więcej drodze planety dookoła słońca. Zabudowa, rzecz jasna, na wewnętrznej powierzchni. Tereny mieszkalne większe o miliardy miliardów razy. Zatrzymanie prawie całej energii słonecznej na obszarze własnej cywilizacji. Piękna wizja! Nieważne, że taki sztuczny ład musiał być z natury pozbawiony prawdziwych gór, wód i przyrody. To w końcu dałoby się zastąpić sztucznymi parkami... Ale ludzie w tym samym jeszcze stuleciu, w którym wyobrazili sobie taką strefę, potrafili zrozumieć, że idea jej realizacji jest i pozostanie utopią. Inaczej. Że budowa takiego wielkiego nowego świata, teoretycznie możliwa, w praktyce musi doprowadzić do katastrofy. Bo absolutne opanowanie sił grawitacyjnych w przestrzeni, tak żeby do końca wykluczyć możliwość dewiacji, jakiegoś choćby minimalnego przesunięcia względem słońca, jest nie do osiągnięcia. Jak to powiedział Nett? "Wspaniała rasa". Rzeczywiście, wspaniała!

Tak, to musiała być ta planeta, na której się osiedlili po opuszczeniu czarnego słońca. Może potem sięgnęli po dalsze. A jeszcze później zakiełkował w nich inny pomysł. Zrealizowali go... na swoją zgubę.

- To była wspaniała rasa - powiedział Nett, jakby wiedział, co przed chwilą myślałem.

- Oczywiście! - zachnąłem się. - Jeśli wspaniałość rasy polega na tym, że potrafi zaśmiecić cały kosmos ruinami własnej cywilizacji, chętnie się z tobą zgodzę.

- Skąd wiesz, czy wszyscy zginęli?

- Chciałeś powiedzieć, że nie wiemy, do kogo mówił Ramanian, kiedy ruszał wargami na naszych ekranikach? Masz nadzieję, że nie do Airy, tylko do jakiegoś potwora?

- Chciałem powiedzieć tylko to, co usłyszałeś - odrzekł chłodno. Mimo woli spojrziałem na niego z zaciekawieniem. Nie ulegało wątpliwości, że ten szok informacyjny, któremu uległ, należy już do przeszłości.

Wstałem i odczytałem wskazania przystawki diagnostycznej. Nie pomyliłem się.

- Dość tego dobrego - odłączyłem go od aparatury. Podniósł się bez wysiłku i uśmiechnął.

- Widzisz? - mruknął. - Taki mały szumik to jeszcze nie tragedia. A czasem człowiek po przebudzeniu wstaje odrobinę mądrzejszy. Zupełnie niespodziewanie.

- Strefa Dysona - powtórzył pod nosem Jur, już chyba po raz szósty czy siódmy, od kiedy statek znowu był w ruchu. - Jakim cudem? -> zawiesił głos i pokręcił głową.

Nadal przepychaliśmy się przez obszar, wypełniony resztkami, pozostałymi po działalności dawnych gospodarzy układu. Zielona nitka powracała jednak niezmiennie na ekran, po każdym wybuchu zmiatającym ciało, które stanęło na naszej drodze. Jur znalazł lukę i zdążył wziąć namiar. Naszym celem była teraz czwarta, najbliższa planeta układu. Tam był Buk Ramanian. Żywy.

- Co takiego właściwie zobaczyłeś w tej rozwalonej piramidzie, co podsunęło ci myśl o strefie Dysona? - spytałem w pewnej chwili, zwracając się do Netta. - Jakiś "film" z budowy? Budynki?

Zapytany rozłożył ręce.

- Nie wiem, jak to powiedzieć - mruknął po chwili z wahaniem. - Czy widziałeś kiedyś model naszego systemu słonecznego?

Oczywiście, mogłem nie widzieć. Mogłem zacząć służbę w Centrali bezpośrednio po opuszczeniu żłobka. I nigdy potem nie skończyć żadnych studiów.

Wyjaśniłem mu to.

- Nie złość się - odpowiedział pojednawczym tonem. - Zobaczyłem właśnie coś takiego... chociaż nie było słońca, tylko kula... bo ja wiem... jakby Ziemia naturalnej wielkości, a obok niej szkolne modele Marsa, Jowisza i tak dalej. A mimo wszystko od razu pomyślałem o układzie planetarnym. A jeśli taki układ, to tylko ze strefą... naprawdę nie wiem. Czy to zresztą ważne?... - uśmiechnął się bezradnie.

- Może i nie - Jur zrewanżował mu się uśmiechem. - Powinniśmy się byli domyślić, bez interwencji kryształków. Zastanawia mnie tylko, jakim cudem zdążyli zasiedlić taką niestabilną konstrukcję?

- To nie musiała być pełna kula - powiedziałem z namysłem. - Sądzę, że zostawili jakieś wolne pasy, może nawet całe sektory zbudowali jedynie z wąskich pierścieni. Utrzymać sztuczną atmosferę na najmniejszym nawet skrawku ładu potrafi teraz każde dziecko, jeśli ma odpowiedni sprzęt. Musieli zainstalować jakąś aparaturę, która powinna zapewnić strefie równowagę. To znaczy tak im się zdawało.

- Nie sądziłem, że zobaczę kiedyś na własne oczy bodaj model czegoś podobnego - mruknął Jur.

- Bo masz za dużo oleju w głowie. Nie chcesz zrobić wszystkiego naraz i za wszelką cenę. Oni chcieli. Rozwijali bez ograniczeń specjalistyczne dziedziny nauki... a równocześnie rozmnażali się jak króliki. Kto wie, może i wymyślili stabilną strefę Dysona, a zginęli dlatego, że było ich już po prostu zbyt wielu i kiedy jedni pchali ten ich światek w górę, drudzy równocześnie wyteżali wszystkie siły, żeby temu przeciwdziałać? Oczywiście w najlepszej wierze...

- Byli przecież zintegrowani... - zaczął z wyrzutem Nett, ale nie pozwoliłem mu dojść do słowa.

- Toteż mówię, że w najlepszej wierze - powtórzyłem z naciskiem. - Tylko nie mogli się już ze mną skomunikować. Na szczęście my nie wiemy, jakie procesy dezintegracyjne zachodzą w rzeszy liczącej, bo ja wiem... - zastanowiłem się przez moment. - Powierzchnia tej strefy, nawet jeśli nie była szczelnie zamkniętą kulą, pomieściłaby kilka trylionów istot. Wystarczy? I jeszcze jedno. Nie będziemy się teraz bawić w archeologów, ale katastrofa musiała nastąpić w okresie, kiedy ten ocean na Telmurze prosperował już w najlepsze, bombardując ich sygnałami. Nieprzebrana, rozprzężona masa, odbierająca nieprzebraną masę informacji. Oto temat dla malarza...

- A jednak - powiedział nagle Jur - to dzięki Nettowi rozwiązaliśmy zagadkę tego obszaru...

Poczułem, że ogarnia mnie pasja.

- Zdaje się, że wpadłem w dobrane towarzystwo - wysyczałem. - Zaczekajcie jednak łaskawie, aż wrócimy. Potem polecicie sobie założyć własną hodowlę informacji... do innego układu. Tak ze trzydzieści parseków, nie bliżej. A ja będę wpadał od czasu do czasu, żeby nie przegapić momentu, w którym trzeba będzie was zabrać, tak jak my teraz zabraliśmy Chippinga. Ale, powtarzam, dopiero po powrocie. Nie żartuję... - zakończyłem z mimowolną groźbą w głosie.

- Przyjdzie czas - mruknął pod nosem Nett - kiedy będziemy musieli wrócić do Telmura... i przyjrzeć się bliżej tej hodowli.

- Przyjdzie czas - zaczął jota w jotę tak samo Jur - że nauczymy się tworzyć kanały informacyjne o dowolnie wielkiej przepustowości. Wtedy

zrobimy to, o czym mówi Nett.

- Ale na razie nie znamy takich kanałów - powiedziałem nieco spokojniej. - Dlatego, żeby pozostać społecznością, układem samoorganizującym się, musimy jeszcze liczyć noworodki. A także dbać o to, aby selektory robiły, co do nich należy. Aby gromadzone przez naszą cywilizację informacje pozostały pod kontrolą ludzi.

- Jak długo mamy dostateczne dla obecnego etapu rezerwy energetyczne... - wtrącił z naciskiem Jur.

- Tak - potwierdziłem - tak długo możemy przygotowywać się do wkroczenia w inny jakościowo okres życia naszej rasy. Skutecznie i spokojnie.

- Nie boisz się, że to "spokojnie" wyeliminuje z czasem tamto "skutecznie"? - rzucił lekkim tonem Nett.

- Nie - warknąłem.

- Przecież nie możesz mieć pewności - powiedział cicho Jur - czy ten nowy okres powinno się zacząć za rok, czy za tysiąc lat lub też należało to zrobić dziesięć lat temu. A skoro tak...

- Jestem za głupi - cisnąłem. - Oto cała różnica między wami a mną. Jestem tak głupi, że jeśli nie przestaniecie, wezwę Ziemię i zażadam rezerwowego składu ekspedycji - zaczerpnąłem powietrza i ciągnąłem już nieco łagodniej: - Po powrocie zaszyję się w najciemniejszym kącie i będę się uczył. Długo. Potem zgłoszę się do was na egzamin. Ale na razie zamknijcie się obaj. Jestem śpiący. Jur, pilnuj namiaru. I zbudźcie mnie za godzinę. Może przyśni mi się coś, co będę mógł wam opowiedzieć?...

Opuściłem oparcie i podłożyłem sobie ręce pod głowę. Przez chwilę patrzyłem bezmyślnie w sufit. Następnie zamknąłem oczy. Kilka sekund później zasnąłem.

Obudziłem się sam. W kabinie panowało milczenie. Siedzieli obok siebie, obydwaj tak samo nieruchomi i tak samo wpatrzeni w jeden punkt na ekranie. Była nim widoczna już na przecięciu zielonej nitki namiaru czwarta planeta Ety Reticulum.

Zerknąłem na kompon. Spałem dokładnie godzinę i dwie minuty.

- Nett, kolej na ciebie - powiedziałem, podnosząc oparcie swojego fotela.

- Nie jestem śpiący... - zaprotestował.

- Jesteś, tylko może nie zdajesz sobie z tego sprawy - stwierdziłem uprzejmym tonem.

Bez dalszych oporów ułożył się do snu. Spojrzałem na Jura. Skinął głową. Ekran był czysty. Widać opuściliśmy już zaśmieconą strefę układu. Zresztą przekraczaliśmy właśnie granicę pola grawitacyjnego czwartej.

Był to dość duży glob, niewiele większy od Marsa i nawet nieco podobny do niego barwą. Nie ulegało wątpliwości, że jest zamieszkały.

Nett znowu trafił w dziesiątkę. Nie wszyscy budowniczo strefy zginęli rażeni z nią. Przecież w bezpośrednim sąsiedztwie ich obłąkanego, rozdętego świata nie mogła uwić sobie gniazdka żadna obca rasa kosmiczna. Ale to był tylko przypadek. Nett nie stworzył hipotezy. Nie domyślał się nawet. Po prostu mówił. Brnął na ślepo, raz uwikławszy się w oświadczenia, dotyczące "wspaniałości" cywilizacji, z którą teraz mimo wszystko przyjdzie nam zawrzeć bliższą znajomość. Zgadł. Ale nie miał racji.

Czujnik ferromagnetyczny, sprzężony z tachdarem, nagle zaterkotał i umilkł. Błysnęło kontrolne światło celowników. Komputer naprowadzał miotacz na cel. Coś przecinało drogę statku. Jakiś metaliczny obiekt. Tylko niemal zerowej szybkości mieliśmy do zawdzięczenia, że nasze

oczy nadażały za przygotowaniami aparatury do rozprawy z zawaładrogą. Całe szczęście! W przeciwnym razie, to jest, gdyby silnik pracował chociaż jedną setną mocy, nie potrafilibyśmy już niczemu zapobiec.

Spojrzałem na ekran i rzuciłem się do pulpitu. Na małym, czerwonym przełączniku zacisnąłem dłoń o ułamek sekundy wcześniej niż Jur.

Z rozpędu objął jednak moje palce swoimi i tak, wspólnie, włączyliśmy blokadę.

Przed nami, teraz już bardzo blisko nawet jak na żółwie tempo statku, rozrastał się znajomy obraz. Żółto-pomarańczowe kwadraty, radioteleskopy, lustra radiacyjne. Niewielkie spłaszczenie w części dziobowej, gdzie zazwyczaj czekały małe robocze pojazdy. Obecnie lądowisko było jak wymiecione.

- Co robić? - spytał gorączkowo Jur.

Jak śmiesznie powolne są procesy zachodzące w ludziach, którzy pragną podzielić się ze sobą myślami, w porównaniu z tempem i precyzją przebiegu informacji pomiędzy zespołami komputera. Jur pytając wiedział, że nie otrzyma odpowiedzi, bo na jej wypowiedzenie nie było czasu. Natomiast ja, snując w tej właśnie chwili swoje bezprzedmiotowe rozmyślenia, równocześnie namierzyłem kierunek, zmieniłem położenie dyszy czołowych i strzeliłem dwukrotnie w kierunku stacji, tak jednak, żeby nie znalazła się w bezpośrednim zasięgu fotonowej wiązki. A wykonując to wszystko, odpowiadałem mu przecież. W kategoriach rozmowy nie czekał dłużej, niż tego wymagała uprzejmość... na Ziemi.

- Tym razem to już nie fatamorgana - powiedziałem.

Statek zatoczył łuk, a raczej to nieboskłon przechylił się nad nami i przemknął w świdrowatym półobrocie. Stanęliśmy. Chciałem, żeby stacja znalazła się pomiędzy nami a powierzchnią globu. Zważywszy okoliczności, mógłbym przyjąć, że mi się to udało.

- Pójdę, co? - spytał Nett, który już od dobrej chwili stał za naszymi plecami.

Wszystkie wskaźniki tańczyły, drgały, migotały pośpiesznie, atakując nas wiadomościami. Stacja była nie uszkodzona. Właz szczelnie zamknięty. Wewnątrz temperatura w sam raz, żeby załodze nie było ani za ciepło, ani za chłodno. Ziemskiej załodze. Wszystkie bloki energetyczne pracowały sprawnie. Tylko anteny milczały.

- Pospali się - szepnął Jur tak cicho, że niemal nie dosłyszałem.

- Ramanian w każdym razie jest na lądzie - powiedział szybko Nett. - Przecież do kogoś mówił...

- ...a więc niepotrzebnie się niepokojmy - podchwyciłem drwiąco. - Skoro Buk mówił do kogoś, to tym kimś mogła być tylko Aira albo Krum...

- ...albo oboje - wtrącił Jur.

- Właśnie. Czyli że na stacji może nie być nikogo. Po prostu urządzili sobie piknik. Polecieli nałykać się świeżego powietrza...

- Po prostu sam niczego nie rozumiesz - usłyszałem w odpowiedzi. Wymamrotałem coś, ale uczciwość nie pozwoliła mi się bronić.

Czekaliśmy wpatrzeni w stację, w jej beczkowate sklepiony kadłub, ozdobiony jaskrawą szachownicą, jakbyśmy mieli przed oczami jeszcze jedno kosmiczne dziwo, a nie odnalezioną po, trzeba przyznać, dość paskudnej odysei, ziemską placówkę badawczą, której zniknięcie z orbity drugiej planety Telmura zmusiło nas do opuszczenia naszego świata.

Tym razem Jur miał rację. Nie rozumiałem nic. Teraz dopiero naprawdę nic nie rozumiałem. Z tyłu, za nami, leży pierwszy z ocalonych, Chipping. Oglądaliśmy twarz drugiego członka załogi, Ramaniana, który

najspokojniej w świecie oddawał się pogawędce pod gołym niebem. Sygnały jego komponu docierają do nas przez cały czas. Czy rozmawiałby w taki właśnie sposób z przedstawicielami obcej rasy po tragicznej śmierci Airy lub Kruma? Należało sądzić, że nie. Zatem przynajmniej jedno z tej dwójki żyje. Wreszcie na naszej drodze pojawia się sama stacja. Cała, z nienagannie funkcjonującą aparaturą pokładową, hermetycznie zamknięta i milcząca. Nie emituje nawet zwykłego kodu namiarowego. Gdyby nie nasze czujniki i tachdar, zamieniłaby się w płonący obłoczek. Podążylibyśmy spokojnie dalej, nie zadając sobie trudu, by sprawdzić na ekranach analizatorów, jaki to kosmiczny włóczęga tym razem naraził się akceleratorom bezpieczeństwa.

- Do ryżego diabła - powiedziałem - dlaczego nie ma namiaru?!

- Pójdę - powtórzył swoje Nett. Wzruszyłem ramionami i mruknąłem:

- Weź ptaszka. I bądź cały czas na fonii.

Nie zapalił reflektorów. Zrezygnował nawet ze swojej czołowej lampy. I my nie świeciliśmy w stronę stacji. Widniała dostatecznie wyraźnie w pasmach podczerwieni. Jej barwy, odtwarzane przez aparaturę tachdaru, rysowały się czysto i wyraźnie. Wielka, kolorowa zabawka, zawieszona w próżni. Koło niej mniejszy od mrówki człowieczek, poruszający się powoli, przepływający niezdarnie obok anten, luster antyradiacyjnych, dyszy...

Obserwowaliśmy, jak jego dłoń znika w zagłębieniu, w którym znajdowały się przyciski, służące do uruchamiania automatów klapy i śluzy. Właz nawet nie drgnął.

- Państwa nie ma w domu - usłyszeliśmy lekko zniekształcony głos Netta, po czym ujrzelśmy, jak ponownie sięga do urządzenia, przygotowanego dla gości przybywających z kosmosu w czasie, gdy załoga stacji bawi akurat w komplecie na urlopie. Z rozmachem uderzył w przyciski, uruchamiające automatyczny zamek włazu. Kłapa pozostała nieruchoma.

- Spróbuj inaczej - powiedział Jur.

Nett zawahał się przez moment, potem objął dłońmi koło awaryjnego mechanizmu. Jego palce zacisnęły się na szorstkiej obręczy rygla.

- To na nic - wysapał po chwili odrywając ręce od uchwytu. Odrzuciło go przy tym ruchu ze dwa metry. Nie wracał na razie. Zawisł w przestrzeni z ugiętymi w kolanach nogami, głową w dół, jeśli patrzeć z naszej pozycji.

- Wracaj - rzuciłem krótko.

Z głębi stacji nie dobiegał najsłabszy ślad sygnałów biologicznych. Z tej odległości musielibyśmy je odebrać, nawet biorąc pod uwagę zalety pancerza konstrukcji. Natomiast namiar komponu Ramaniana był nadal wyraźny. I celował prosto w powierzchnię globu. Wniosek oczywisty.

- Ktokolwiek polecą na dół - bąknął Jur - powinien zostawić właz otwarty. A ten, który zostanie, musi mieć otwarte oczy. Oni nas, zdaje się, nie lubią...

- Dlaczego zaraz "nie lubią" - zaprotestował w słuchawkach głos Netta. Osoba mówiącego zniknęła z ekranów. Dokoła nas rozpostarła się piękna czerń... już złagodzona odbłaskami słonecznych promieni, załamujących się pod nami, w atmosferze planety.

Jedna z gwiazd zabłysła nagle jaśniej, po czym cichuteńko zgasła.

- Obcy obiekt - głos Jura stał się suchy i zimny.

- Nett?

- Już, już - zamruczał.

Raz tylko zerknąłem w dół, na czerwone klawisze automatów

celowniczych i spustu, po czym na powrót utkwilem wzrok w ekranie. Na tle gwiazd, w pasmach infraczerwieni widać było zupełnie wyraźnie niezbyt wielką, klockowatą bryłę. Zbliżała się szybko. Tachdar już dobrą chwilę temu wykreślił jej drogę. Przecinała punkt, który oznaczał miejsce naszego postoju.

- Zamknij właz - rzuciłem szybko. - Pośpiesz się.

- Jestem w służbie - uspokoił nas Nett.

- Trzeba ich zatrzymać - powiedział krótko Jur.

Nie była to misja powitalna. Nie pojawiłaby się w taki sposób... bez żadnych sygnałów dźwiękowych, świetlnych, biologicznych. Należało wątpić, czy w tym szarżującym pudełeczku jest ktoś żywy. Ale jeżeli?

- Wyrzuc sondę - zdecydowałem się. Nie było czasu na roztrząsanie wszystkich możliwych sposobów przekonania obcych, że nie mamy złych zamiarów, a także, że jesteśmy dość silni, by warto było przyjąć nas po przyjacielu.

- Wrócimy bez jednego pojazdu na pokładzie - mruknął Jur programując lot sondy tak, by minęła obcy obiekt w odległości nie przekraczającej półtora kilometra. Powinni się jej dobrze przyjrzeć.

Przez ekran śmignęła świetlista strzała. Silniczek zwiadowcy przygasał, w miarę jak aparat oddalał się od statku. Posłałem jedną króciutką serię. Ognisty podmuch zmiotł sondę, jakby była strzępkiem słomy, ogarniętym przez pożar.

- Zwolnili - powiedział Jur, porównując dane w okienku kalkulatora.

- Leca dalej - podkreśliłem spokojnie.

- Co robicie? - spytał za naszymi plecami Nett. Usłyszałem jego westchnienie, kiedy zrzucił kask.

- Jeszcze jedną - rzuciłem, nie oglądając się.

- Bliżej?

- Bliżej - przytaknąłem. - Całkiem blisko - dodałem, odruchowo poprawiając się w fotelu, bo obcy obiekt, chociaż nieco wolniej, w dalszym ciągu leciał prosto na nas. Nie będziemy przed nim uciekać. Jednak kiedy przekroczy strefę bezpieczeństwa, komputer sam pokieruje akceleratorami. Wtedy będzie za późno na ewentualne pertraktacje. A tam na dole są przecież ludzie.

Ekran ponownie przeszyła złotozielona błyskawica. Tym razem strzeliłem niemal od razu. Droga sondy skróciła się znacznie. Śmiercionośny ładunek dopadł ją tak blisko zagadkowego pojazdu, że ten znalazł się niemal na granicy pola rażenia.

- Uważajcie - uznał za stosowne przestrzec Nett.

- Stanęli - mruknął Jur.

Słońce, bezpromiennie rozjaśniające i nieba, i gwiazdy. Żadna z nich nie błyskała silniej, niż powinna. Obcy zrezygnowali.

Odczekaliśmy kwadrans. Nikt już nie próbował się do nas zbliżyć.

- Może chcieli nas zamknąć tak jak stację? - wymamrotał półgłosem Jur. - Nie - pokręcił głową, odpowiadając sam sobie. - Przedtem musieliby nas zaprosić na dół...

- Jak tamtych - podchwyciłem.

- Nie wszystkich - wtracił ponuro Nett.

- Co mówisz? - Jur zwrócił do niego swoją szeroką twarz.

- Mówię, że nie zaprosili wszystkich - powtórzył Nett, wskazując oczami nieruchomą postać w odsuniętym fotelu.

Wstałem.

- Więc kto leci?

Jur spokojnie odwrócił wzrok od Netta i zaczął znowu uważnie lustrować ekrany. Uśmiechnąłem się.

- Galin nie ma ochoty - stwierdziłem z lekką ironią. - W takim razie wypada znowu na ciebie, Nett...

Jur zrobił lekki ruch głową, ale nic nie powiedział. Wiedziałem, czemu należy przypisać jego powściągliwość. Uważał, że jeśli Ramanian naprawdę rozmawiał z Arią wtedy, kiedy pierwszy raz zobaczyliśmy jego twarz na ekranach, to jego, Jura, udział w uroczystościach powitalnych jest zbędny. Ciekawe, którego z nas wysłałby na dół, gdyby Budker był jednoosobowy? Inaczej mówiąc, ile o nas wiedział? Przecież w czasie wyprawy nie zamieniliśmy słowa na temat naszych osobistych spraw...

- Jestem gotów - Nett wyprężył się i odetchnął głęboko, po czym ponownie sięgnął po kask.

Rozejrzałem się po kabinie. Chipping spał z zamkniętymi oczami, jego pierś unosiła się i opadała w spokojnym, równym oddechu. Aparatura medyczna milczała.

Ekran były czyste. Czujniki szperały swoimi antenami nie napotykając żadnych przeszkód. Tylko od strony stacji odbicie wracało lekko zniekształcone. Ale w promieniu setek tysięcy kilometrów otoczenie planety było wolne od zaśmiecających cały układ Ety szczątków cywilizacji dawnych mieszkańców czarnej gwiazdy i strefy Dysona. Ilu ich zostało po katastrofie? Co zrobili od tego czasu? Jacy są ci ślepi konstruktorzy blaszanych planet, piramid z pryzmatów i informacyjnych hodowli? Jakim w ogóle można być, dźwigając bagaż takich doświadczeń?

Potrząsałem głową. Polecimy tam, nie wiedząc nic. Tak nic, jak chyba nikt przed nami, kto przystępował do lądowania na nieznanym globie.

- Zostań na orbicie, ale odejdz od stacji - powiedziałem do Jura. - Lepiej, żeby nie mieli obok siebie dwóch obcych konstrukcji. Mogłoby ich to korcić...

- Nie bój się.

Włożyłem kask i sprawdziłem łączność. Działała normalnie. Wysunąłem ekranik komponu.

- W razie czego uśmiechnij się do nas - rzuciłem do mojego maleńkiego mikrofonu. - Sygnał Ramaniana jest wyraźny. Naszego też nie powinienes zgubić. A jeśli przestaniemy odpowiadać, tak jak oni, to...

- ...odlecisz na Ziemię. Zakazuję lądować... - podpowiedział bez uśmiechu.

- Właśnie - potwierdziłem.

- Jak długo mam czekać? Zastanowiłem się.

- Jeśli nikt nie będzie cię niepokoił, nic śpiesz się za bardzo. Powiedzmy, cztery doby...

- Pięć...

- Niech będzie pięć. Ale ani minuty dłużej...

8.

Co chwila w ściankach kabiny zrywał się przejmujący gwizd. Przez ułamek sekundy narastał, po czym nagle znikał. Planeta miała większą masę niż Ziemia. Lot na wysokości stu metrów nad powierzchnią oceanu

zmuszał silniki Budkera do maksymalnego wysiłku.

Pod nami wspiwały się sinozielonkawe fale. Raz czy dwa przez mgnienie widzieliśmy błyskające w słońcu łuski czy też sierść jakichś morskich stworzeń. Temperatura powietrza na zewnątrz wynosiła dwadzieścia sześć stopni. Atmosfera jak na zamówienie. Ciśnienie nieco za wysokie, nie aż tak jednak, żebyśmy musieli korzystać ze specjalnych skafandrów. Ale istotom, które wykołysała gwiazda, choćby już stygnąca, odpowiadałoby z pewnością znacznie potężniejsze pole grawitacyjne.

Dołożyliśmy starań, żeby zjawić się niespodziewanie. Zeszliśmy ostro w dół pośrodku oceanu i lecąc tuż nad nim przeskoczyliśmy z półkuli nocnej na dzienną. Kiedy w obiektywy kamer trafiły pierwsze promienie słońca, ujrzeliśmy na horyzoncie daleką linię brzegu. Punkt, z którego dobiegały sygnały, leżał w strefie nadbrzeżnej.

Niebem płynęły żółtawe obłoki. Pomiedzy nimi błękit mieszał się z fioletem. Pogoda. Ale w powietrzu było o wiele mniej światła aniżeli w słoneczny dzień nad ziemskim miastem. Nie mówiąc już o oceanie. Promienie Ety z trudem torowały sobie drogę przez kosmiczne śmietnisko, pozostawione przez szalonych badaczy strefy Dysona.

- Ciekawość - mruknąłem w pewnym momencie. - Oto cena, jaką się za nią płaci. Nawet okoliczne planety mają mniej słońca... Spójrz na to brudne niebo. Chciałbyś mieć coś takiego nad głową, kiedy jedziesz na urlop?

Zamruczał coś niewyraźnie, zanim odpowiedział:

- Nie. Zaśmiałem się krótko.

- Może to nie sama ciekawość - powiedziałem z przekorą, jakbym wszczynał polemikę z samym sobą - ale i obstawienie niewłaściwych dziedzin nauki... już po pożegnaniu z Telmurem i hodowlą. Chociaż raczej nie. Oni nie przestali stawiać na wszystko. Świadczy o tym fakt, że tutaj także eksperymentowali... weźmy choćby tę piramidę, pod którą cię znalazłem. A więc jednak mielibyśmy raczej do czynienia z rozsypką, spowodowaną superspecjalizacją wszystkich, a w każdym razie zbyt wielu gałęzi wiedzy. Czytałem kiedyś starą, mądrą książkę na ten temat. Oni...

- A sztuczna inteligencja? - przerwał. - Ta droga jest otwarta.

- Ta droga prowadzi do nikąd - powiedziałem twardo. - Owszem, na krótko tak. Ale w perspektywie byłaby to tylko prolongata, odroczenie wykonania wyroku o pięćset czy tysiąc lat. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Zresztą kto potrafi odpowiedzieć na pytanie, ile informacji można sztucznie zakodować w genotypach, żeby rodzili się jeszcze ludzie, a nie już potwory?

- To także przeczytałeś w tej książce? - burknął z przekąsem.

- Tak.

- A więc jedynie selektory?...

- Tak. Przynajmniej na razie.

- Oni nie mieli czasu - bąknął.

- Ale ja nie mówię do nich, tylko do ciebie. Chciałbym, żebyś nareszcie pojął różnicę. Nas nic nie zmusza do pośpiechu...

- Nie jestem pewien. Po prostu ty uważasz, że mamy masę czasu, a ja się boję, że właśnie teraz ucieka nam jakaś szansa... Poza tym oni jednak przeżyli - powiedział z uporem po dłuższej chwili milczenia. - Widzieliśmy przecież domy czy konstrukcje...

- Kilkanaście - mruknąłem. Rzeczywiście, schodząc z orbity zauważyliśmy jakieś małe, pojedyncze pudełeczka, rozsiane na wielkiej przestrzeni. Jeśli przypomnieć sobie szczelnie zabudowany glob, stanowiący ich gniazdo, a potem tę strefę, zaplanowaną dla trylionów

mieszkańców, porównanie wypada więcej niż skromnie.

- Kilkanaście czy kilka tysięcy to nie ma znaczenia, jeśli chodzi o przetrwanie cywilizacji. A może, gdyby się tak nie śpieszyli, nie byłoby już nikogo? Skąd wiesz? My także zapłaciliśmy historii wysoką cenę... zanim osiągnęliśmy dzisiejszy stopień integracji i harmonii. Może ich cena była inna?

- O tyle wyższa?...

- Nie wiem, czy wyższa - wzruszył ramionami. - Inna. Jeśli policzyć ofiary, złożone przez ludzką na ołtarzach przesądów, konfliktów, wywołanych przez bzdurne, jednostkowe namiętności, we wszystkich wojnach... Tymczasem oni, jak się zdaje, weszli w stadium wysoko rozwiniętej cywilizacji bez takich obciążeń psychicznych i atawizmów. Za to popełniali inne głupstwa. Ale ich skala a nasza...

- Ano właśnie - pokiwałem głową. - Wspaniała rasa. Czy jest w ogóle jakiś sposób na takich jak ty?

Jego twarz rozjaśniła się w uśmiechu. Za szybą kasku ujrzałem znowu pogodne oblicze młodego, nieco krnąbrnego chłopca.

- Nie wiem - błysnął białymi jak mleko zębami. - Na szczęście wszyscy mi mówią, że jestem odosobnionym, wynaturzonym wyjątkiem. Co to jest? - zmienił nagle ton.

Pas wody przy samym brzegu, widocznym już teraz w odległości najwyżej dwóch kilometrów, lśnił najczystszy srebrem. Fale zamierały, dobiegając do granicy tego lśnienia, jakby zbite promieniami światła.

- Nic ważnego - powiedziałem, omiótłszy spojrzeniem wskazania czujników. - A w każdym razie nic nowego. Metal.

- Metal - mruknął do siebie. - Baterie słoneczne - dodał po chwili zastanowienia.

W okienku komputera ukazywały się dane. Tak. To srebrzyste pole było naładowane energią.

Na wszelki wypadek wzniosłem się wyżej. Kiedy patrzyło się prosto w dół, ocean przestawał świecić. Wyglądał jak idealnie gładka powierzchnia, polana cienką warstwą rtęci. Ale Budker szedł nad tym pasem spokojnie, na pulpicie nie zamigotała ani jedna alarmowa lampka.

Bez przeszkód osiągnęliśmy brzeg. Niska, szeroka plaża, pozbawiona piasku, za to przecięta odbiegającymi prostopadle od oceanu niskimi nasypami. Dalej pasmo starych wydm, porośniętych brązową roślinnością. Za nimi zaczynała się równina, z rzadka okraszona stożkowatymi kopcami o wygładzonych szczytach. Roślinność pokrywała ją nierównomiernymi płatami, gdzieniegdzie krzewiła się bujnie, tworząc wysokie, skołtunione kłęby, to znowu znikwała całkowicie, odsłaniając brunatną powierzchnię gruntu. Pomiędzy plamami roślinności i łąsyznami rysowały się owe niskie nasypy, kryjące, być może, kable energetyczne.

Pojawiły się drzewa. Drzewo to bardzo ziemskie słowo. Jeśli już miałbym szukać jakichś porównań, te tutaj przypominały raczej wbite na sztorc, postrzępione skrzydła starych samolotów. U dołu tworzyły zbite płaszczyzny bez najmniejszych prześwitów, dopiero na wysokości trzech, czterech metrów cieniały i wypuszczały jakby rozczapierzone piórka.

Dolatywaliśmy do pasma niskich wzgórz, przecinających równinę z zachodu na wschód. Sygnały emitowane przez osobisty aparacik Ramaniana prowadziły dalej, ku wyrastającym powoli z fioletowej mgiełki szczytom, zamykającym widnokrąg. Krajobraz pod nami nie zmieniał się, może tylko drzew-skrzydeł spotykaliśmy stopniowo coraz więcej. Nagle na ekranie zalśniła srebrna, zwinięta sinusoidalnie niteczka. - Rzeka - powiedział Nett.

- Nie tylko - mruknąłem, nieznacznie zmieniając położenie sterów.

Wzdłuż wijącej się linii brzegu stało kilka osobliwych konstrukcji. Szkło i wtopiony w nie metal. Luźne, cieniutkie blaszki. Wszystko to tworzyło małe, sześciennie bloki, oddalone od siebie o dobre kilkadziesiąt metrów. Było ich trzy... pięć... siedem. Ale refleksy słoneczne na przeciwległym brzegu rzeki świadczyły, że tam znajdowały się dalsze sześcianny.

- Stop - powiedziałem, mimo woli zniżając głos. Zauważyłem, że Nett sięgnął do pasa, po czym natychmiast cofnął rękę jak oparzony. Proszę. I który z nas pierwszy pomyślał o broni?

Budker opadł lekko na płaską polankę, otoczoną wybujałym żywopłotem. Wybiegała z niej jedna wąska przecinka. Nasza dalsza droga.

Silniki umilkły. Kurz, który wzbił się ponad wieżyczkę pojazdu, dokładnie przesłonił widok obiektywom kamer. Nasłuch przynosił jedynie lekki, niemal nieuchwytny ruch powietrza w gęstwinie roślinności. Był to suchy, nieprzyjemny szelest, jakby ktoś potrząsał patykiem z przywiązanymi do niego plastikowymi płytkami.

- Gdyby teraz podeszli... - bąknął w pewnej chwili Nett.

- Może nie będą ciekawi... - wycedziłem przez zęby. - Jeśli się czegoś nauczyli...

Kiedy wokół maszyny znowu rozlała się słoneczna jasność, zadarłem głowę i przez chwilę patrzyłem w ekran, przenoszący bezpośredni obraz nieba. Nadal było brudne, tak jak nad oceanem. I szpeciły je te same nijakie, szarozółte obłoczki.

Westchnąłem i przetarłem czoło, jakby panujący na zewnątrz upał znalazł drogę także do wnętrza kabiny. Następnie połączyłem się z Jurem i przekazałem mu wszystko, co zapisały bębny pamięciowe naszego pokładowego komputera. Poleciałem mu przesłać to z kolei Centrali, po czym spytałem, czy tam, w górze, nie zaszły jakieś zmiany.

- Nie - zabrzmiał w słuchawkach jego głos. - Widzę stację. Wszystko w porządku. Kilka minut temu w odległości jakichś sześćdziesięciu kilometrów pojawił się jeszcze jeden taki pudełkowaty pojazd. Przybył po orbicie, z południa. Ale zatrzymał się tam, postać chwilę, po czym zniknął. Nie uruchamiałem czujników. Myślałem, że podejście bliżej.

- Nie szkodzi, że nie podszedł - mruknąłem. - W razie czego pokaż im jeszcze raz tę sztuczkę z sondami.

- Zostało nam zaledwie osiemnaście - odpowiedział.

- Wystarczy. Oszczędzać będziesz później.

Słuchawki umilkły. Namiar, który miał nas zaprowadzić do uciekinierów ze stacji, odzywał się nieco słabiej, od kiedy usiedliśmy na polance.

Ruszyliśmy. Powoli skierowałem pojazd tam, gdzie zaczynała się przecinka i wjechałem w nią ostrożnie, jakbym się bał zadrapać farbę, którą był pokryty korpus Budkera. Cichy szelest gałęzi przemienił się w jeden nieustający trzask,

zmieszany z tępym odgłosem, jakby ktoś darł na strzępy płyty grubej folii.

- Wąsko - zauważył Nett.

- Wąsko - potwierdziłem. - I nie po drodze - dodałem, zerknąwszy na ekran. Nitka namiaru wiodła prosto jak strzelił przez najgęstsze zarośla.

Przeciskaliśmy się tak może pięćdziesiąt metrów, druzgocąc suche gałęzie po obu stronach przecinki, po czym przed nami otworzyła się następna polana. Była większa od pierwszej. Także i z niej, mniej więcej na przedłużeniu naszej dotychczasowej drogi, wybiegał wąski pas gruntu oczyszczonego z roślinności.

Wyjechałem na środek polanki i stanąłem.

- Tym razem pojedziemy prosto nad rzekę - powiedział Nett, patrząc na ekran.

Skinąłem głową.

Brzeg odsłonił się tak nagle, że Budker zdążył wysunąć się z przecinki niemal na całą swoją długość, zanim go zatrzymałem.

Dokładnie na wprost nas, w odległości jakichś stu pięćdziesięciu metrów, widniała półprzezroczysta, sześcienna konstrukcja. W jej wnętrzu coś się poruszyło. Wyteżyłem wzrok, ale ruch zamarł. Pozostały szklane ściany z wtopionymi w nie srebrzystymi blaszkami. Może to nie były blaszki? Mniejsza z tym.

Długość krawędzi sześciennego bryły wynosiła jakieś pięć metrów. Podnoże konstrukcji opasywał niski nasyp, taki sam jak te, które wiodły znad oceanu i przecinały nadbrzeżną równinę.

Zaraz za sześcianiem teren obniżał się. Zielonkawa trawa porastała łąkę, która opadała prosto ku brzegowi niezbyt szerokiej rzeki. Jej woda lśniła w słońcu jak lód. Płynęła spokojnie, nie marszcząc się na płycznach, nie tworząc wirów ani fal.

Na lewo i na prawo, oddalone od siebie mniej więcej o sto metrów, stały następne szklane pudła. Także i tamte były obwiedzione niskimi nasypami, których odnogi łączyły się ze sobą, tworząc jakby system grobli, zbudowany na planie jakiejś geometrycznej siatki. Tylko tam, gdzie stały sześciiany, siatka rozbiegała się, opisując zamknięte kwadraty.

Rozejrzałem się. Na lewo w zasięgu wzroku znajdowało się sześć budowli. Dalej rzeka zakreślała łuk, jej brzeg chował się za ścianą roślinności. Na lewo od bryły, która zagraadzała nam drogę do rzeki, stały jeszcze trzy sześciiany.

- Czy myślisz, że to są... domy? - spytał niepewnym głosem Nett.

Wzruszyłem ramionami.

- Nie. Bez względu na to, czy ktoś w nich mieszka, czy nie. W żadnym razie nie zasługują na nazwę domów. Ale nie przyjechaliśmy z wizytą. Poszukamy raczej hotelu... dla obcokrajowców.

- To jest za rzeką - potrząsnął głową. - Oni...

- Zastanawiasz się, czy wypada przejechać Budkerem przez środek wsi? - powiedziałem

z ironią. - Jeśli nawet siedzą w tych kostkach, to ulice w każdym razie są puste... zresztą zaraz zobaczymy...

Ruszyłem prosto w stronę najbliższego sześcianu. W jego wnętrzu zamigotało światło, które następnie przesłonił jakiś podłużny kształt. Coś wyprostowało się, a chwilę później zwinęło jak wąż. Od nasypu, poprzedzającego podstawę bryły, dzieliło nas już nie więcej niż pięćdziesiąt metrów... czterdzieści... trzydzieści... Dość.

Kwadratowa ściana była dostatecznie przezroczysta, by ukazać całe wnętrze "domu" jak na dłoni. Dno pudła stanowiła gładka powłoka, która wybrzuszała się w centralnym punkcie, tworząc niską, okrągłą beczkę. Przypominała ona wyloty studni, jakie odkryliśmy wewnątrz budowli na czarnym słońcu. Znajdowała się tam również pochylnia. Jedna ze ścian kładła się ku środkowi, przez co powstawał jakby skośny mostek. Na nim spoczywała jakaś bezkształtna masa, widoczna jako ciemna, podłużna plama. Sekundę wcześniej, zanim Budker zastopował, plama oddzieliła się od pochylni. Jej ruch był powolny, leniwy. Ujrzelśmy dość grubą, pionową rurę, wspartą na czterech krótszych. Te ostatnie sklepiały się łukowato, przechodząc w wyprostowaną teraz szyję, tępo zakończoną i na całej swojej długości mającą tę samą grubość. A więc to tak...

- Jak to nazwałeś? - znowu mimo woli zniżyłem głos.

- Kogga - odpowiedział również szeptem Nett. Słyszałem, że przełknął głośno ślinę. Sam poczułem suchość w ustach.

- To nie było zwierzę - wykrztusił jeszcze. Wewnątrz budowli, bo to mimo wszystko była

chyba budowla, choć pozbawiona wejścia, okien i jakichkolwiek urządzeń poza niską beczką i pochyłą ścianką, tkwił taki sam wąż, poruszający się na czterech nogach jak ten, który unosił Chippinga na trzeciej planecie Telmura. Niedorzeczność. Czy stworzenie pozbawione głowy, oczu, rąk, palców - może być istotą rozumną?

- Spójrz! - wychrypiał Nett, wskazując boczny ekran. Poszedłem za jego wzrokiem i ujrzałem, że z trzeciej, skrajnej bryły po prawej stronie wychodzi powoli wysmukła, rurowata postać. Nie otworzyła żadnej ze ścian, po prostu przeniknęła przez jedną z nich, jakby nie tylko były przezroczyste, ale istniały jedynie w naszej wyobraźni.

Oddalił się od swojego mieszkania o kilka metrów, krocząc z zabawnym dostojeństwem na czterech kończynach, wyginających się na całej długości. Następnie zatrzymał się. Jego górna część sięgała niemal dachu sześcianu. Teraz mógł patrzeć w naszym kierunku. Nie miał oczu, ale w jakiś sposób musiał nas widzieć.

Kogga - nie wiem kiedy sam zacząłem tak nazywać w myślach te stworzenia - stal przez minutę bez ruchu, po czym jego trąba czy szyja, mniejsza o słowa, zgięła się kabłąkowato. Jej koniec dotknął powierzchni gruntu. Wyglądał teraz jak monstrualny, czworonożny struś, trzymający głowę w piasku.

Nagle wyprostował się i zawrócił do przezroczystego pudełka. Nie zauważyłem, żeby zmienił pozycję, odwrócił się czy coś podobnego. Po prostu cofał się tym swoim spokojnym, pełnym powagi krokiem, aż dotarł do sześcianu i, minawszy niski nasyp, wniknął do wnętrza. Także i tym razem żadne drzwi nie otworzyły się na jego przyjęcie.

Patrzyłem za nim jeszcze przez chwilę. Znalazłszy się na powrót u siebie, ułożył się powoli na owej skośnej ścianie. Raz czy dwa poruszył kończynami, jakby szukał wygodniejszej pozycji. Następnie znieruchomiał.

- Tak, to oni - powiedział nieco jaśniejszym głosem Nett. - Muszą wiedzieć, że tu jesteśmy...

- Widać niezbyt ich to interesuje... - odburknąłem. Pochyliłem się nad pulpitem i lekko oparłem dłoń na obudowie celowników. Następnie ruszyłem. Podjechałem tak blisko sześcianu, że Budker wsparł się bokiem o nasyp. Teraz nawet kompletny ślepiec musiał się zorientować, że pod jego dom przytaszczyło się coś obcego i ciężkiego. Spoczywająca na skośnej płycie istota nie poruszyła się jednak.

Bez żadnej myśli, po prostu, żeby coś zrobić, zapaliłem nasz największy reflektor. Konstrukcja oddała błysk ze zwielokrotnioną siłą. Gdyby nie to, że mieliśmy na sobie słoneczne kaski, zapewne znowu przyszloby nam czekać dobrą chwilę, zanim odzyskalibyśmy zdolność widzenia.

- To jakieś lustro...

- Dosyć osobliwe - mruknąłem sarkastycznie. - Niby wszystko jest przezroczyste, ale jak poświecić, odbija promienie. Zauważyłeś, że żaden promyk reflektora nie rozjaśnił wnętrza tej klatki?

- Uhm... pewnie tak ma być - odpowiedział po chwili. Spojrzałem na niego. Twarz miał ściągniętą, na jego czole utworzyły się dwie głębokie bruzdy. Widać pochłoneła go jakaś niezbyt pogodna myśl.

Sześciany, ustawione na prawo od przecinki, z której wyjechaliśmy, były teraz niewidoczne. Zasłaniała je stercząca nad nami ściana. Na lewo, w najbliższym "domu" także panował spokój. I tam spostrzegliśmy

nieruchomą postać, leżącą na pochyłej przegrodzie. Oblęd.

- Chciałbym wyjść - mruknął, jakby do siebie Nett.

- Nie teraz. Pamiętasz, jak t o porwało Chippinga? Nie mam ochoty gonić cię potem dookoła tych klatek. Zresztą jesteśmy umówieni. Ktoś na nas czeka. Zapomniałeś?

- Dobrze - powiedział - jedźmy. Wykręciłem maszynę i ruszyłem prosto w stronę rzeki. Wjechaliśmy na łąkę. Zwykła, ziemską łąkę porośniętą najprawdziwszą trawą. W pewnej chwili opanowała mnie dzika chęć otwarcia włazu i zrzucenia kasku, zachłyśnięcia się zapachem świeżej zieleni.

Trzydzieści sekund później dojechaliśmy do brzegu, który urywał się tutaj raptownie, spadając metrowej wysokości stopniem do lustra wody. Nie podrywałem Budkera. Przewaliliśmy się przez krawędź łąki i plasnęliśmy całym ciężarem maszyny o wodę. Było dość płytko. Nasłuch przyniósł zbełtany plusk i bulgotanie gazów uchodzących z dyszy pojazdu. Otoczyła nas rozproszona mgiełka, od czasu do czasu jakiś gwałtowniejszy rozbryzg zalsnił w słońcu jak skacząca ryba. Komputer wyrzucił dane. Woda. Z wieloma rozmaitymi domieszkami, żelazista, ale zdatna do picia. Tym bardziej do kąpieli. Normalna woda.

Rzeka miała szerokość mniej więcej dwudziestu metrów. Dno pozbawione kamieni, gładkie i twarde. Przeciwległy brzeg wznosił się łagodnie wąską plażą, pokrytą drobnymi, brązowym żwirem. Dalej nie było trawy, tylko znane nam już kępy dzikiej roślinności, otaczającej łąse polanki, tu i ówdzie naznaczone piórowatymi drzewami.

Na lewo, w odległości może pół kilometra, widniała jedyna na tym brzegu rzeki sześcienna budowla. Ale zamiar komponu Ramaniana omijał ją, celując w zamykające horyzont góry. Obszar dzielący nas od górskiego pasma zdobiły kopce, podobne do wydm nad brzegiem oceanu. Wzniesienia, początkowo niskie i łagodne, zaczynały się jakies dwieście metrów przed nami.

Jechaliśmy teraz prosto jak strzelił, nie oglądając się już na przecinki, ścieżki ani drzewa. W pewnym momencie zawadziliśmy burta o jedno z nich. Zwaliło się z nieopisanym trzaskiem, jakby uderzył w nie piorun. Pięć minut później wjechaliśmy w ciasny przesmyk pomiędzy zboczami sąsiadujących ze sobą pagórków. Wąwoziki był tak zarośnięty, że nawet Budker miał kłopoty ze sforsowaniem zbitego kłębowiska wysokich krzewów.

Nagle roślinność rozstąpiła się. Otworzył się widok na niewielką kotlinę, otoczoną wzgórzami. Środkiem wił się nikły strumyczek, nieco dalej wpadający zapewne do rzeki. Nad jego brzegiem stała samotna sześcienna bryła. Była równie przezroczysta jak wszystkie, które spotykaliśmy do tej pory. Ale nawet gdyby zbudowano ją z blach i pomalowano czarną farbą, odgadlibyśmy od razu, kto ją zajmował. Mieszkańcy bawili bowiem na zewnątrz. Zatrzymując pojazd na skraju polanki, policzyłem kątem oka ich sylwetki. Najbliższa klęczała nad brzegiem potoku. Drugi mieszkaniac samotnego pawilonu stał kilka kroków dalej. Widziałem ruchy jego warg, chociaż nasłuch nie przynosił żadnych dźwięków, podobnych do ludzkiej mowy. Ktoś trzeci siedział na nasypie opasującym sześcian.

- Aira! - krzyknął Nett. Spojrzał na mnie, przejęty do głębi, jakby w tym właśnie momencie dotarło do niego, że odnaleźliśmy ją razem... on i ja.

W innych okolicznościach byłbym się uśmiechnął. Teraz jednak, nawet gdybym chciał to zrobić, mięśnie twarzy stawiałyby mi opór. Czuję się, jakbym tkwił wewnątrz bryły lodu. Moje szczęki zacisnęły się do bólu, choć nie wiedziałem o tym. Nie wiedziałem jeszcze nic poza tym, że zostaliśmy oszukani. Ogarnął mnie jakiś podświadomy, gniewny żal. Oni nas nie widzieli. Całkiem jak tamte, obce stwory. Nie widzieli czy nie chcieli widzieć?...

Przeszło mi przez głowę, że znowu mamy do czynienia z "obrazkami" i tylko z nimi, ale natychmiast odrzuciłem tę myśl. Nas można było wyprowadzić w pole. Automatów, utrzymujących łączność biologiczną, nie. Z tego samego powodu odpadały wszelkie spekulacje na temat ewentualnego przesunięcia w czasie dotyczącego naszej i ich obecności w tym samym miejscu. W kosmosie, po podróży w nadprzestrzeni, trzeba się liczyć także z tego rodzaju zjawiskami, nie wtedy jednak, kiedy miało się przed oczami zieloną nitkę namiaru biologicznego. Nie, oni byli tutaj, teraz, tak samo realni jak my. A równocześnie pozostawali nieobecni...

To Aira pochylała się nad potokiem. Długie, czarne włosy przewiązała jakąś wiotką gałązką. Jej twarz była ciemna, spalona od słońca. Nie wyglądała na wymizerowaną ani przygnębioną. Uśmiechała się, jakby tam w wodzie widziała piękne rybki, chwytające złotymi łuskami promienie słońca.

Tuż za nią stał Ramanian. Mówił. Znowu mówił, jak wtedy, kiedy pierwszy raz ujrzeliśmy na naszych ekranikach jego twarz. I tak samo jak wtedy nie słyszeliśmy niczego. Tylko że teraz mieliśmy go tuż przed sobą, wystarczy wyskoczyć z Budkera i przebiec kilkanaście kroków...

Pod ścianą budowli siedział Leo Krum, egzobiolog. Trójka ziemskich badaczy. Naukowców, specjalistów najwyższej klasy. Załoga stacji zbudowanej na orbicie dalekiego układu słonecznego. Podwójnie dalekiego... licząc zarówno od Ziemi, jak i miejsca, gdzie teraz odnaleźliśmy się, oni i my. Tylko że my przylecieliśmy tutaj po śladach... nawet nie ich, tylko cywilizacji, która oni nieco zbyt żywo się zainteresowali.

Mniejsza z tym. Są tutaj. Jedynie to się liczy. Zostawili na orbicie stację zamkniętą tak, że odmawiała wstępu ludziom, którzy przybyli im z pomocą. A teraz okazuje się, że żadnej pomocy nie potrzebują. Że urządzili sobie biwaczek na polance nad strumyczkiem, otoczeni skrzydatymi drzewami i gęstwą krzaków. Są opaleni i zdrowi. I nie widzą Budkera. Nie słyszeli piekielnego rumoru, z jakim przedzieraliśmy się przez tę suchą dżunglę. Nic ich nie obchodzi...

- Tak. Aira - powiedziałem wreszcie, z trudem panując nad głosem. - Ale wygląda na to, że dzisiaj goście nie są mile widziani...

- Zobaczmy - rzucił z pasją. Zanim zorientowałem się, co robi, otworzył właz. I tak nie byłbym go zatrzymywał. Cóż innego mogliśmy zrobić?

Włączyłem zdalne starowanie i sprawdziłem sprzężenie aparatury skafandra. Następnie bez pośpiechu zrzuciłem kask. Odetchnąłem głęboko. Powietrze pachniało dziwnie. Unosiła się w nim woń jakby rozpalonych od słońca skał, zmieszana z bardzo słabym zapachem jabłek. Pomimo panującego upału, oddychało się tym powietrzem lekko i swobodnie. Z ludzkiego punktu widzenia istoty zamieszkujące teraz ten glob były pod tym względem zdumiewająco uniwersalne. Na czarnym słońcu, z którego pochodzili, atmosfera zabiłaby człowieka w ciągu kilku sekund. Powietrze na trzeciej Telmura, po której biegał ów kogga kołysząc w objęciach Chippinga, było jeszcze inne. A teraz oddychali tlenem, helem i dwutlenkiem węgla z minimalnymi domieszkami innych gazów. Wydawać by się mogło, że skład atmosfery, jaka ich otacza, jest im całkowicie obojętny. A może nie oddychali w ogóle?

Wysunąłem się do połowy z wieżyczki, oparłem łokciami o krawędź włazu i patrzyłem.

Nett przebiegł kilka kroków, kierując się prosto w stronę Airy. Od miejsca nad strumyczkiem, gdzie dziewczyna nadal klęczała z nisko opuszczoną głową, dzieliło go już nie więcej niż dziesięć metrów, kiedy nagle zatoczył się do tyłu i upadł. Wstrzymałem oddech, odruchowo sięgając do pasa. Ale w otoczeniu nic się nie zmieniło. Ludzie nad potoczkiem nadal robili swoje, to znaczy nie robili nic.

Nikt nie zauważył upadku Netta. Nikt nie spojrział w stronę, gdzie zbierał się teraz z trudem i z miną, która ponad wszelką wątpliwość zasługiwała na uwiecznienie w albumie rodzinnych hologramów.

Moje palce powoli zsunęły się z uchwytu miotacza.

- Co się stało? - zawołałem półgłosem, zapominając, że nie mam na głowie kasku, a więc nie może mnie usłyszeć.

Wstał, cofnął się o krok, po czym przekrzywił lekko głowę, jakby się w coś intensywnie wpatrywał. Sięgnąłem po kask i położyłem go obok siebie.

- Co się stało? - powtórzyłem, kierując twarz w stronę mikrofonu.

- Nic... - mruknął. - Tu jest jakaś ściana...

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, ruszył do przodu, z wyciągniętymi przed siebie rękami. Teraz zobaczyłem i ja. Jego rozczapierzone palce zatrzymały się na niewidzialnej przeszkodzie. Zrobił jeszcze pół kroku, po czym jał wodzić przed sobą dłońmi, wykonując ruchy, jakby czyścił nie istniejącą szybę.

- Co to jest? - spytałem. Błyskawicznie zsunąłem się w dół do kabiny i zlustrowałem czujniki. Żaden z nich nie pokazywał obecności jakiegokolwiek zapory na drodze do bawiących przed sześcianem ludzi.

Utkwiłem wzrok w ekranie. Tarcza radaru była czysta. Wyraźnie rysowała się na niej linia wzgórz, drzewa, prosta konstrukcja... I to wszystko. Pomyślałem o pomocniczych lidarach. Trzeba tylko poczekać, aż Nett wróci. Bo nie wiem czemu, byłem już pewny, że wróci z niczym.

- Jakiś cholerny pancerz - zamruczały słuchawki w moim odłożonym kasku. Poczulem, że twarz wykrzywia mi niedobry uśmiech.

- Zaczekaj - powiedziałem. - Zdejmij kask...

Zastygł bez ruchu, z rękoma uniesionymi nad głową, i spojrział na mnie ze zdziwieniem. Wskoczyłem z pojazdu i zacząłem iść w jego stronę. Po kilku krokach na czoło wystąpiły mi kropelki potu. Było naprawdę gorąco. Ciekawe - przemknęło mi przez myśl - czy oni tam, za tą ścianą, mają klimatyzację? Ale w ostateczności zawsze mogą się wykapać w potoczku.

Stanałem obok Netta. Odjął ręce od niewidzialnej ściany i zrzucił kask, który upadł na suchą brunatną ziemię z głuchym stukiem. Wyciągnąłem przed siebie rękę. Moja dłoń natrafiła na opór. Przesunąłem ją w lewo i w prawo. Gładka, wypolerowana powierzchnia. Szkło. Nie ma szkła, które byłoby aż tak przezroczyste. Zresztą gdyby to było cokolwiek, czujniki poinformowałyby nas o tym. Ba, chcąc nie chcąc, musielibyśmy zapoznać się z kompletem danych o charakterze zapory, o materiale, z jakiego ją sporządzono, wytrzymałości...

Odwrociłem się bokiem do nie istniejącej ściany i wodząc po niej otwartą dłońią ruszyłem przed siebie. Pod nogami wyrosła mi niska, zagubiona pośrodku polanki kępa roślinności. Przekroczyłem ją i o kilka metrów dalej znalazłem się nad brzegiem potoku. Powoli, z rozmysłem, wszedłem obiema nogami w wodę i zatrzymałem się. Spojrzałem w dół. Zmaciłem wodę, z dna wąskiej, płytkiej strużki podnosiła się brudnobrazowa chmura osadu. Ale unoszona prądem dochodziła tylko do miejsca położonego bezpośrednio poniżej mojej dłoni, która nadal dotykała przezroczystej zapory. Schyliłem się i wsadziłem ręką do wody. Trafiłem na tę samą twardą, nieustępliwą ścianę. Rzecz tylko w tym, że nie stanowiła ona najmniejszej przeszkody dla samego strumyka. Najspokojniej płynął dalej, ku ludziom przebywającym za zaporą, w pobliżu sześciennej budowli. Co więcej, woda była zmaczona tylko tu, gdzie stałem, dalej muł zniknął jak zatrzymany przez proste, gęste sito. Ciekawe.

Wyprostowałem się. Niebo pełne żółtawych obłoków, z którego leje się żar. Miły żar dla kogoś, kto po doskonałej klimatyzacji zamkniętych pojazdów międzygwiazdnych może się wreszcie zwyczajnie spocić.

Powietrze przepełniające płuca po zrzućeniu próżniowego kasku. Roślinność, potoczek jak ze starych, jarmarcznych rysunków, wzgórz... a za nimi, na przeciwnym brzegu prawdziwej rzeki zielona łąka, jakby uśmiechnięta...

Wyszedłem z wody i zacząłem iść wzdłuż niewidocznej zapory. Nett ruszył także, tylko w przeciwną stronę. Jakiś czas oddalaliśmy się od siebie, potem zaczęliśmy się zbliżać. Stawało się jasne, że polanka jest ogrodzona okrągłą ścianą, przenikliwą dla fal biologicznych, które jednak tracą zdolność przenoszenia dźwięków, przenikalną dla wody, a więc z pewnością i dla powietrza, natomiast nie do przebycia dla ludzi, głosów i wszystkiego, co przybywa z zewnątrz. Jeszcze kilka minut i moja dłoń, sunąca po gładkiej tafli, spotkała się z dłonią Netta. Zatrzymaliśmy się i spojrzeliśmy sobie w oczy. Trwaliśmy tak bez słowa co najmniej minutę. Następnie jak na komendę zwróciliśmy głowy w stronę zakłętego kręgu.

Aira wstała. Tak dobrze znanym mi ruchem odgarnęła włosy, które opadły jej na oczy i uśmiechnęła się do Buka. Ramanian odpowiedział uśmiechem, po czym poruszył wargami. Zaśmiała się. Jej zęby zabłysły w słońcu najczystsza bielą. Wystarczyło, bym zrobił pięć dużych kroków, a mógłbym jej dotknąć. Tymczasem ona śmiała się, a ja nie słyszałem nic... poza dalekim szmerem suchych gałązek kołysanych ruchem powietrza.

Szła teraz w stronę sześcianu. Miała na sobie lekki kombinezon z podwiniętymi rękawami. Rozpięła go, szeroko rozchylając klapy kołnierza. Była opalona na ciemny brąz. Nigdy, w czasie całej naszej znajomości, nie widziałem jej tak ciemnej, nawet po najdłuższym urlopie na wyspach Pacyfiku. Wyglądała bardzo młodo. Nieco zeszczupiała. Bose stopy stawiała lekko, widać było, że dotknięcie tutejszego gruntu, pokrytego cieniutką warstwą pyłu, nie sprawia jej przykrości. Podeszła do siedzącego na nasypie Kruma i pochyliła się. Coś mówiła. W pewnym momencie położyła mu szczupłą dłoń na ramieniu. Leo potrząsnął głową, ujął jej dłoń w obie ręce i przytrzymał chwilę. Zaśmiała się znowu, szeroko otwierając usta. Głowę odrzuciła do tyłu. Włosy załśniły w słońcu jak świeżo zlane wodą.

Krum puścił dłoń Airy i przeniósł wzrok na Ramaniana. Z kolei ten poruszył wargami.

Wszystko to działo się kilka metrów od nas, stojących jak zakłęte w kamień postaci baśniowych rycerzy, którym się nie udało.

Nie mogłem się opanować. Zaczepiłem powietrza w płuca, aż mi w oczach pociemniało, i wrzasnąłem najgłośniejszym, jak tylko potrafiłem:

- Aira!!! Ramanian!!! Krum!!!

Słabiutkie echo wróciło zza ściany roślinności, odbite od niedalekich wzgórz. Cisza.

- Aira!!!

- Zostaw - wychrypiął Nett. - To nie ma sensu...

Sensu? A co tutaj ma sens?

- Masz drabinę? - spytałem.

- Myślałem o tym samym - powiedział po chwili z powątpiewaniem, wznosząc głowę do góry, jakby rzeczywiście mógł sprawdzić, czy ta nie istniejąca ściana tworzy półkulę, czy też jest to otwarty walec, sięgający gwiazd. A może nie był aż tak wysoki?

- Chodź - powiedziałem już normalnym głosem. - Wracamy.

Ruszyłem okrężną drogą do Budkera. Po kilku krokach usłyszałem jakiś nieokreślony pomruk. Nett szedł za mną z nisko zwieszoną głową i mamrotał pod nosem. Wyglądało na to, że chwilowo przestał być tylko ciekawy.

Poczekaliśmy we włączu, przepuściłem go, po czym wskoczyłem za nim do

kabiny i zatrzasnąłem klapę. Pół minuty później wystartowałem. Budker uniósł się lekko, wzbijając tumany rudawego kurzu. Wysokość rosła bardzo powoli. Pięć metrów... dziesięć... piętnaście... wystarczy.

Przyspieszyłem. Zrobiliśmy pętlę, zamykając w niej polankę z jej sześcianem i plażą nad potoczkiem, a także ludzi. Następnie zламаłem tor lotu.

- Uważaj - syknął Nett.

Nie odpowiedziałem. Budker wytrzyma bardzo wiele.

Wytrzymał. Maszyna wyszła bez najmniejszego szwanku. Tylko my, kiedy ciężki pojazd, nie ostrzeżony przez czujniki, otarł się burtą o nie istniejącą przeszkodę, stracił stabilność i runął na ziemię, poleciliśmy jak bezwładne worki od jednej twardej ściany kabiny do drugiej, by wylądować, ja pod pulpitem, na brzuchu, zgięty w pół jak szczyryk, a Nett do góry nogami za oparciami foteli.

Budker dygotał, spod pojazdu dysze napędowe wyrzucały tumany kurzu, kamienie, strzępy suchych roślin i bryzgi rzadkiego błota. Część maszyny zatarasowała koryto potoczka, który z wolna zaczął się powiększać, tworząc niewielkie rozlewisko.

Minęło trochę czasu, zanim zdołałem się pozbierać przynajmniej na tyle, żeby dosięgnąć klawiszy na pulpicie. Jak świat światem, a raczej jak Centrala Centrala nie zdarzyło się jeszcze, by Budker, niezniszczalny potwór, wyposażony w miotacze zdolne unicestwić całe planety, tak obszedł się ze swoimi pasażerami.

Z najwyższym trudem wgramoliłem się na fotel. Ciepła strużka spływała mi po skroni. Dotknąłem jej palcem i natychmiast cofnąłem rękę. Krew.

Uruchomiłem jeden silniczek i bardzo powoli wycofałem maszynę z koryta potoczku. Dopiero potem odwróciłem się, chwyciłem. Netta za obie nogi i wciągnąłem przez oparcie na fotel. Opadł jak zepsuty manekin. Oddychał ciężko i co chwila sięgał palcami do brody, na której paskudnie otarł sobie skórę. Nie ma co mówić, popisaliśmy się. Zdobywcy! Bohaterowie, ratujący roześmianych biwakowiczów. Do starego diabła!...

- Do starego, ryżego diabła! - wrzasnąłem. - Mam tego dosyć!...

- Na razie zrób coś ze swoją głową - wykrztusił Nett.

Prawda, głowa. W pojazdach Centrali nie ma luster. Wyszarpnąłem z zamkniętego pojemniczka kawałek plastra i na oślep zakleiłem sobie krwawiące miejsce. Na szczęście rana nie była głęboka i znajdowała się nad skronią, w kącie pomiędzy włosami. Inaczej musiałbym się jeszcze golić. Kiedy skończyłem, palce lepiły mi się od krwi. Nie zwracając na to uwagi, przygotowałem następny kawałek plastra i zająłem się brodą Netta. Krzywił się niemiłosiernie, ale nawet nie pisnął. Teraz już obaj wyglądaliśmy jak średniowieczni rzeźnicy po długim dniu pracy, obfitującym w zawodowe trudy.

Idealnie czyste ekrany nadal ukazywały rozkoszną polankę w jej całej beztroskiej, słonecznej urodzie. Leo Krum wchodził właśnie do wnętrza sześcianu. Przeniknął przez zamkniętą ścianę tak samo jak niedawno ten jakiś kogga. Urządzili się tutaj na dobre. Zapomnieli.

- Spróbujemy inaczej - warknąłem. Znowu ogarnęło mnie rozdrażnienie. Wytarłem palce o fotel i nałożyłem rękawice.

- Co chcesz zrobić? - zaniepokoił się Nett.

- Laser - powiedziałem krótko. Naprowadziłem sygnalizator na cel. Niemal tuż przed nami rozbłysła pękająca gwiazda. Ale cieńsza od włosa wiązka nagle zawróciła i pomknęła z powrotem prosto w Budkera. Rozległo się ostrzegawcze buczenie alarmowego czujnika, po czym nad dolną krawędzią ekranu zobaczyłem tępo ścięty wylot miotacza. W ostatnim ułamku sekundy zdążyłem trafić palcem w klawisz blokady. Gdybym się spóźnił, nie byłoby już przed nami polanki, sześcianu ani

ludzi. Nie byłoby niczego oprócz kałuży płonącej skały. Automaty zarejestrowały fakt, że zostaliśmy zaatakowani i tylko to było dla nich ważne: w porę odpowiedzieć ogniem.

Nie zdejmując palca z wyłącznika blokady, uniosłem lufę sygnalizatora i ponownie zwolniłem spust. Tym razem droga światła pobiegła wyżej. Nie patrzyłem w okienko wskaźnika. Próbowałem dogonić wzrokiem pojedynczą, ognistą strunę, która może jeszcze dziś, a może za kilka lub kilkaset lat połączy ten glob z innym ciałem niebieskim, gwiazdą, planeta, księżycem... czy jakimś kosmicznym okruchem, zagubionym w otchłani. Nic się nie stało. Wiązka promieni małego lasera, używanego zazwyczaj jedynie do sygnalizacji, przeszła nad tajemniczą ścianą. A więc nie był to walec sięgający gwiazd, jak niedawno pomyślałem z rozpaczliwą ironią.

Obniżałem stopniowo lufę, strzelając raz po raz, króciutkimi seriami. Wreszcie ponownie zabłysło, jakby wybuchł roczny zapas ogni sztucznych. I znowu odbita cudownym sposobem wiązka wróciła do Budkera.

- Jednak kopuła - stwierdził Nett z nutką jakiejś .gorzkiej satysfakcji.

Zapadło milczenie. Skończyło się coś, co można było nazwać czekaniem, a zaczęła manifestacja bezradności. Nawet zachód słońca i noc niczego nie obiecywały. Wtedy, gdy ratowaliśmy Chippinga i kiedy ja sarn wyciągałem Netta spod rozłupanej piramidy, istniała przynajmniej szansa, że z zapadnięciem zmroku zasną i skaczące nad nami informacyjne diabły. Tutaj nie mogliśmy liczyć nawet na to.

Wizja tańczących informacyjnych diabłów nie zdążyła zająć w mojej wyobraźni należnego jej miejsca. Pojawiła się i zniknęła, ustępując pola niejasnej początkowo myśli, która jednak od razu skupiła na sobie całą uwagę.

Czy ta niewidzialna, nie istniejąca dla radarów i komputera zaporą nie jest jakimś tak już doskonałym, że aż absurdalnym selektorem informacyjnym? Aira, Buk i Leo sprawiają wrażenie zadowolonych ze swego losu. Są zdrowi, opaleni, weseli. Nie pamiętają lub nie mogą pamiętać o tym, że uniknęli ludziom z oczu, stawiając w stan pogotowia wszystkie służby kosmiczne. Że są na obcym globie, u obcych. A przecież wystarczyłoby, żeby mogli zobaczyć nas, kiedy obchodziliśmy wkoło ich polankę. Żeby nas chociaż usłyszeli. Z pewnością zmaciłoby to ich pogodę i spokój. Musieliby pomyśleć o stacji, o swoim zadaniu i o swoich bliskich. A także zdać sobie sprawę z własnego postępowania. To wróciłoby ich Ziemi. Może informacja o naszym przybyciu jest im potrzebna jak samo życie? Oszczędzono im jednak tej informacji. My, to znaczy Jur, Nett i ja, także chronimy czyjś spokój. A razem z nami wszyscy funkcjonariusze Centrali. Jej selektory. Trzymamy nad Ziemią ten parasol jak szklaną kopułę...

Przymknąłem na moment oczy i zacisnąłem zęby. Pozwoliłem diabłom poskakać w mojej własnej głowie. Zabawiliśmy się wspólnie. Teraz dość tego. Pora wrócić do rzeczywistości.

Uspokoilem się, ochłonałem.

- Słuchaj - mówiłem bardziej do siebie niż do Netta - to jest zaporą informacyjna... Pomyślmy spokojnie - ciągnąłem z zastanowieniem - powietrze przechodzi, woda przepływa... ale muł już nie. Czym jest zmaczony strumyk? Wiadomością, że zaszło coś, co naruszyło przyrodzoną harmonię rzeczy...

- Wodę może zmacić zwierzę...

- A czym my jesteśmy? Żywe zwierzę oznacza ruch, a o jego obecności ktoś może, ale nie musi zostać poinformowany. Nie przedostają się fale radiowe ani w ogóle dźwięki...

- A fale biologiczne? Wzruszyłem ramionami.

- Nie wiem. Może tamci ich nie znali i nie wiedzieli, że trzeba się zabezpieczyć także przed wzmacniaczami pól mózgowych. Zauważ jednak, że te fale nie potrafią przenosić fonii... jak normalnie.

- Ale obrazy tak...

- Obrazy tak - przyznałem. - Portreciki uśmiechniętych ludzi... odrzucających każdą myśl, która mogłaby naruszyć ich pogodę ducha. Warto by sprawdzić, czy wolno im wychodzić... czy pozwolono im spacerować poza obrębem tego klosza.

- Jeśli to zapora informacyjna - odpowie

dział cicho Nett - mogą nie wiedzieć, że ten klosz w ogóle istnieje...

Spojrzałem na niego uważniej. To nie było głupie. Niegłupie, ale takie, że dłonie same zacisnęły mi się w pięści.

- Myślisz?...

- Jeśli się nie mylisz... - powiedział z wahaniem. - Lan, ja teraz naprawdę nie chciałbym wracać do moich argumentów ani w ogóle do naszych rozmów... wiesz o czym. Ale pomyśl sam. Ludzie niby wiedzą, że istnieje coś takiego jak Centrala, selektory informacyjne. Lecz czy budząc się rano, pracując, załatwiając swoje codzienne sprawy, naprawdę rozumieją, stale uświadamiają sobie, co to oznacza? Nie. Zatrzaszczyliśmy się o to, żeby tak nie było. Są spokojni. Ci tutaj - wskazał wzrokiem miejsce nad strumykiem - także są spokojni. Nie chcę z tobą dyskutować, ale...

- Czy twoje obcowanie z pandemonium informacyjnym nauczyło cię zgadywać, co kto myśli? - przerwałem. - Powinieneś zatem wiedzieć, co pomyślałem na końcu.

- Nie rozumiem?...

- Nie? W takim razie nie jesteś jasnowidzem. Szkoda...

Dłuższą chwilę w kabinie panowała cisza. Mimo woli zastanowiłem się nad tym, czy Aira i jej dwaj towarzysze wiedzą, że są więźniami. Przechodzą przez ściany pudełkowatego domu jak ci, dla których te domy zbudowano. Ale to jeszcze nic nie znaczy. Kogga, który wyszedł na naszych oczach ze swojego sześcianu, oddalił się od niego zaledwie kilka metrów. Czyżby i on tkwił pod jakąś niewidzialną czapą? Ale przecież do budowli, która stanęła wtedy między nami a rzeką, podjechaliśmy tak blisko, że musiałem ostro pracować sterami, żeby się o nią nie otrzeć. Ta w każdym razie była na pewno odsłonięta. Tyle że jej lokator nie kwapił się z kolei do wyjścia na świeże powietrze.

- Dodaj do tego - odezwałem się wreszcie, wracając do momentu, w którym pierwszy raz padły słowa "zapora informacyjna" - że nasze czujniki widzą przed sobą czyste pole. Jakkolwiek nazwiemy tę ścianę, nie było dotąd wypadku, żeby uniwersalne szperacze nie potrafiły wykryć materialnej przeszkody.

- Jak to materialnej? Czy sądzisz?... Chociaż racja - przytaknął własnym myślom - to musi być coś w rodzaju bariery psychicznej... bo ja wiem...

- Centrala - powiedziałem niespodziewanie dla samego siebie. - Mówiłeś o niej przed chwilą, jeśli się nie mylę...

Jego oczy rozszerzyły się nagle. Przyjrzał mi się, jakby raptem ujrzał obok siebie samego kogę.

- Centrala? Selektory? Takie?

- Selektory - powtórzyłem zgryźliwym tonem. - Takie.

- Gdyby tak było... - zaczął i urwał. Na policzki wystąpiły mu rumieńce. Oddychał szybko.

- Doszli nareszcie do wniosku, że "obcowanie ze wszystkim" przynosi im same klęski - ciągnąłem z jakąś nierozumną zawziętością. - Zamieszkali w przezroczystych sześcianach... nie wiedząc o tym, że są przezroczyste, bo nie mają naszych oczu... i odcięli się od wszystkiego, co przychodzi z zewnątrz. Może zgromadzili zapasy energii na miliony lat. Musieli oczywiście zostawić jakieś ośrodki dyspozycyjne, otwarte dla wieści przychodzących z kosmosu i dla niektórych, zapewne bardzo nielicznych gałęzi nauki. Ten obiekt, który pojawił się koło statku, gdy orbitowaliśmy przy zamkniętej na głucho stacji...

- Sam fakt jej zamknięcia... - dorzucił beznamiętnie Nett. Następnie ożywił się. Przez twarz przemknął mu cień uśmiechu.

- W takim razie - powiedział niemal wesoło - powinieneś się tu czuć jak u siebie w domu. Kto wie, czy oni nie są nawet lepsi od Ago Graffa i innych speców z szefostwa Centrali? Może warto by zaadoptować ich niektóre doświadczenia?...

- Zamknij się - warknąłem. - Podoba ci się Aira? Prawda, że tutejszy klimat jej służy?...

Twarz mu zmierzchła. Skulił się w fotelu. Przez chwilę jeszcze wpatrywał się we mnie, jakby nie rozumiejąc, co powiedziałem, po czym uciekł z oczami.

- Nie chciałem - mruknąłem cicho.

- Nie szkodzi... Zapanowała cisza.

- Jeśli mają system informacyjny w rodzaju naszego Gigama - odezwałem się po dobrej chwili --to powinniśmy byli coś przechwycić. Tymczasem są cisi jak sama śmierć.

Nie odpowiedział. Jego szeroko otwarte oczy były utkwione w jednym punkcie. Pobiegłem za tym niewidzącym spojrzeniem i natrafiłem na Airę. Wyszła właśnie z przezroczystego sześcianu i usiadła obok Kruma.

- Chyba - ciągnąłem - że mają tylko łączność przewodową, system zamkniętych i doskonale ekranizowanych światłowodów albo coś w tym rodzaju...

- Co? - drgnął nagle i zwrócił do mnie pobladłą twarz.

- Weź się w garść - powiedziałem spokojnie. - Widzisz przecież, że są zdrowi. Znaleźliśmy nie uszkodzoną stację i wszystkich członków jej załogi. Sukces, Nett. Nie rozklejaj się...

Odchrząknął i przez chwilę kaszlał sucho. Łzy napłynęły mu do oczu. Poczerwieniał. Wreszcie, przewyciężając chrypkę, wykrztusił:

- Przepraszam cię, Lan... czy... nie chciałbym... ale czy ty i Aira?... Czy?...

Nie, na pewno nie był jasnowidzem. Gorzej, że ja sam czułem się zagubiony we własnych myślach. Obserwuję ją, siedzącą nad tym potoczkiem, powtarzam sobie, że ją uratuję, cieszę się z tego i odpędzam od siebie myśl o Avonie, której twarz stale wraca mi przed oczy. Cóż są warte nasze selektory, jeśli ludzie i tak pozostają zdani na grę uczuć, które rodzą się i giną wbrew naszej woli? Inaczej mówiąc, do jakiego stopnia te uczucia są informacjami, przed którymi Centrala nie jest w stanie nikogo osłonić? Jak wyglądałaby taka osłona, gdyby udało się ją zrealizować? Co dałaby ludziom, a co im zabrała?

Nett czeka na odpowiedź.

Przymknąłem oczy i pokręciłem przecząco głową.

- Nie. Jeszcze zanim wyruszyliśmy z Ziemi, usłyszałeś wszystko, co mam na ten temat do powiedzenia.

- Tak, ale widzę przecież, co się z tobą dzieje...

Spojrzałem na niego z najczystszyim zdziwieniem. Czyżby naprawdę nie rozumiał?

- Byłem zły - przyznałem pojednawczym tonem. - I dalej jestem zły. Dlatego wspomniałem o Airze. Czego jeszcze chcesz? Odwrócił głowę.

- Nic, Lan. Nic...

- To dobrze. Bo będziemy musieli odwalić podwójną robotę. Za siebie i za nasze zespoły informatyczne. Okazuje się, że wobec naprawdę szczerlnych selektorów - są bezradne. Mamy nad nimi pewną wyższość. W porównaniu z komputerem nie wierny nic i niewiele potrafimy, jesteśmy powolniejsi od żółwi, ale nie damy się zbyć byle niewidzialną ścianką.

- Co możemy zrobić?

- Na razie pomyszkujemy trochę. Nic nie wskazuje na to, by Aira i inni nosili się z zamiarem rychłego opuszczenia tej polanki. Poszukajmy kontaktu.

Dojechaliśmy do maleńkiej plaży nad rzeką, gdzie stała jedyna na tym brzegu sześciokątna budowla. Zatrzymałem Budkera dwadzieścia metrów przed nią i od razu naprowadziłem na cel sygnalizator. Błysnęło, odbita wiązka, jakby to było zgodne z wszystkimi prawami fizyki, bezgłośnie trafiła w wieżyczkę naszego pojazdu. I tutaj światło naszego, a więc obcego lasera zostało zatrzymane kilkanaście metrów przed zamieszkaną konstrukcją.

- To samo - powiedział Nett.

- Uhm - mruknąłem. - W pewnej mierze

to nawet pocieszające. Okazuje się, że nie tylko gości z Ziemi trzymają w tej kopulastej klatce. - Owszem... - przytaknął bez entuzjazmu. Zawróciłem i wjechałem w wodę. W tym miejscu było głębiej. W pewnym momencie musiałem zamknąć wieżyczką, ale i tak fala, którą pędził przed sobą pojazd, zdążyła opryskać nam twarze drobnymi, chłodnymi kropelkami.

- Pysznic jak na zamówienie, co? - rzuciłem ponuro.

Nie odpowiedział. Najbliższa klatka, wznosząca się nad samym brzegiem, była już blisko. Maszyna pokonała bez trudu metrowy stopień i wyniosła nas na zieloną łąkę. Chwilę później jej przód zaczął powoli wspinać się na otaczający budowlę nasyp. Był to ten sam sześcian, do którego podjechaliśmy od razu po wydostaniu się z wąskiej przecinki. Wiedzieliśmy, że możemy zbliżyć się do niego bezpiecznie. W każdym razie pamiętaliśmy, że nie był nakryty żadnym niewidocznym kloszem.

- Zdaje się, że to ktoś lepszy - powiedziałem, kiedy Budker stanął. - Albo coś się zepsuło.

- Poczekajmy - powiedział szybko Nett, jakby się bał, że nagle ruszę pełną mocą silników, z zamiarem staranowania pudełkowatej sadyby.

Wzruszyłem ramionami.

- A cóż robimy?...

Pobiegłem wzrokiem wzdłuż wąskiego, spłaszczonego nasypu. Rosła na nim niska trawa, zlepiona i lśniaca, jakby polana miodem. Od pętli opasującej sześcian odchodziła odnoga, która biegła ku zaroślom, łącząc się po drodze z innymi rurowatymi wypukłościami, prowadzącymi do dalszych budowli. Czy naprawdę mieli tam pod spodem sieć informacyjną? A może tylko przewody energetyczne? Przecież zamknięte w tych pudełkach istoty musiały otrzymywać ciepło, pokarm i coś w końcu powinny robić, choćby dla zabicia czasu. Inna rzecz, że kogga, którego mieliśmy akurat przed sobą, tak blisko, że gdybym wszedł na

pancerz pojazdu, mógłbym go poklepać po węzowatej szyi, nie wyglądał na zapracowanego. Cały czas leżał bez ruchu na swojej pochylni. Może spał? Może oni nie lubią słońca i ozywają w nocy?

Poczekamy. Słońce stoi już nisko. Zachód przyjdzie niedługo.

Wreszcie zaczęło się ściemniać. Najpierw zmierzchły dolne partie sześcianu, a za to wierzchołki skrzydełkowatych drzew zapłonęły ciemną czerwienią. Następnie światło, w którym nie było już nic ziemskiego, przeniosło się na szczyty wzgórz. Wszystko poszarzało.

- No i co w tej kokili? - bąknął w pewnej chwili Nett.

- W czym?

Spojrzał na mnie, jakby chciał spytać, czego właściwie nie rozumiem.

- W kokili - powtórzył.

- Co to znowu? - warknąłem.

- Kokile, no, myślę o tym sześcianie - wyjaśnił z pewnym zniecierpliwieniem.

- Cóż to takiego "kokila"? Uśmiechnął się blado.

- Nic - odpowiedział beztrąsko. - Myślę,

że to się tak nazywa, wiesz... kokila. Forma do wielokrotnego odtwarzania.

Z kolei sam musiałem się uśmiechnąć.

- Ty naprawdę jesteś artystą - powiedziałem kręcąc głową. - Najpierw kogga, teraz kokila... niedługo ułożysz cały słownik. A jak nazwałbyś te śliczne strusie drzewka?

- Jak? - odparował z miejsca. - Oczywiście organy.

Spojrzałem na majaczące w półmroku skrzydlate, postrzępione drzewa i istotnie znalazłem w nich pewne podobieństwo do stojących w ciasnych szeregach, skośnie ściętych puszczalek.

- Szkoda, że nie możesz zagrać - zadrwiłem. - Może wywabiłbyś ich z tych pudełek... przepraszam, kokili.

- Szkoda - skinął poważnie głową. - Widzisz, muzyka to tak jak malarstwo. Wyłapywanie informacji. Czy przyszło ci kiedyś na myśl, że w informacjach, wypełniających kosmos, są nie tylko sprawy interesujące uczonych, ale i wszystkie sonaty, obrazy, wiersze...

- Od dawna wiem - powiedziałem chłodno - dlaczego wtedy wyłączyłeś selektory. Czy nie sądzisz jednak, że popełniasz pewnego rodzaju plagiat?

- Nie. Przynajmniej tak długo, jak długo istnieją tacy jak my...

- Inaczej mówiąc - podchwyciłem - gdyby zamknąć dopływ wszystkich przypadkowych wiadomości, do końca oczyścić naszą cywilizację z szumu informacyjnego, sztuka musiałaby umrzeć.

Nie odpowiedział od razu. Zamyślił się. Wreszcie mruknął, jakby do siebie:

- Trudno to sprecyzować. Ale byłaby inna...

- Jaka?

- Po prostu inna. Bo ja wiem... - rozłożył bezradnie ręce. - Z góry znalazłbyśmy wzruszenia, jakich doświadczymy. Stałaby się mniej skuteczna, a więc i mniej potrzebna...

- Obcowanie ze wszystkim - powiedziałem drwiąco. - Wielka rzecz. No, dobra - zmieniłem ton. - Zobaczmy, co robi nasz kogga.

W tym momencie, jakby tylko czekał na moje słowa, mieszkaniec sześcianu podniósł się ze swojego skośnego łoża. Wokół panował już

mrok, jednak wewnątrz bryły było doskonale widoczne. Czyżby jej przezroczyste ściany potrafiły także magazynować światło?

Stwór stał przez chwilę, kołysząc górną częścią tułowia, po czym nagle ruszył w stronę najbliższej ściany. Uderzył o nią ciałem i upadł.

Usłyszałem zdławiony okrzyk Netta, ale nie zwróciłem na niego uwagi. Jak zahipnotyzowany obserwowałem scenę, która rozgrywała się wewnątrz budowli.

Kogga zbierał się powoli, chyba z wielkim wysiłkiem. Pamiętaliśmy, z jaką łatwością jego sąsiad z ostatniej w szeregu budowli przenikał przez ściany swojej celi. Potrafili to nawet ludzie. A ten tutaj nie.

Znowu stanął wyprostowany. Jakiś czas widzieliśmy falujące ruchy pionowo wzniesionego tułowia, po czym jeszcze raz, szybciej niż przed chwilą, ruszył w stronę ściany. Uderzył w nią całym sobą i oklapł niby przedziurawiony worek. Minęły ze dwie minuty, zanim zaczął się podnosić. W pewnym momencie spostrzegłem, że mimo woli pilnie nadstawiam uszu, czy nie usłyszę jakiegoś jęku, skowytu, skargi. Ale w kabinie nadal panowała niczym nie zmacona cisza. Tym większej ekspresji nabierał ów niemy film, przedstawiający heroiczną, beznadziejną walkę zamkniętego w sześcianie stworzenia domagającego się wolności.

- Może to dlatego, że my tutaj stoimy? - wykrztusił w końcu Nett.

- Nie sądzę - odpowiedziałem cicho - ale... W końcu i tak nie mieliśmy nic do roboty.

Uruchomiłem silnik i wycofałem pojazd. Zatrzymaliśmy się jakieś trzydzieści metrów dalej. Wnętrze sześcianu nadal było widoczne jak na dłoni.

Kogga zbierał siły do ponownej próby. Kiedy ją wreszcie podjął, rozpedził się tak, że tylko śmignął spod jednej ściany do drugiej i rzucił się całym sobą na przezroczysty mur. Skutek był piorunujący. Runął na podłogę i rozpląszczył się. Mijały minuty, a on wciąż leżał jak martwy. Dopiero po upływie kwadransa uniósł górną część ciała i nie wstając popęzł w stronę skośnej ścianki. Wgramolił się na nią, co zajęło mu następne pięć minut, po czym znieruchomiał.

- Zajrzyjmy, co słychać u sąsiadów - powiedziałem siląc się na lekki ton. Zaczęły mnie ogarniać niejasne przeczucia, że łatwiej w całym nieskończonym kosmosie odnaleźć zaginioną ziemską załogę, aniżeli zrozumieć obcy świat, do którego się trafiło mniej lub bardziej przypadkowo.

Zawróciłem i ruszyłem w stronę najbliższej kokili. Nie wiedzieć czemu nie spodziewałem się żadnej przeszkody. Toteż jechałem dość szybko do miejsca, w którym Budker wyrzwał dziobem w coś, czego nie było widać.

- A tutaj jest! - powiedział rozradowanym tonem Nett, kiedy udało mu się z powrotem wdrapać na fotel.

- Istotnie jest - mruknąłem, pocierając stłuczone ramię.

A więc niektóre budowle są nakryte szczelnymi kloszami, a inne nie. Z tych innych mieszkańcy nie mogą się wydostać. Co to znaczy?

Ominiąłem osłonę sześcianu i ostrożnie ruszyłem w stronę następnego. Nagle stanąłem.

Kolejna kokila widniała przed nami w odległości mniej więcej czterdziestu metrów. W momencie, kiedy maszyna zastopowała, kogga wychodził już na zewnątrz. Przekroczył na tych swoich czterech klockowatych nogach nasyp i ruszył prosto w naszą stronę. Mimo woli zerknąłem, czy kłapa jest zamknięta.

Kogga zbliżał się. Jeszcze moment, a wpadnie na Budkera i potłucze się jak tamten, który na próżno usiłował opuścić swoją sześcienną celę.

Nie. On nas widział.

- Patrz, patrz! - wydyszał Nett, jakbym cały czas drzemał z zamkniętymi oczami. - Tamci nas nie zauważali, a ten wie, że tutaj stoimy...

Tak. Informacje z zewnątrz są dla nich niedostępne, ale wiedzieliśmy już przecież, że to nie może dotyczyć wszystkich. Latali. Bardzo szybko odkryli naszą obecność na orbicie, koło zamkniętej stacji. Może kogga, którego mieliśmy teraz przed oczami, pełnił służbę w jakimś stopniu podobną do naszej?...

Zerwałem się i otworzyłem klapę. Był właśnie za rufa. Szedł powoli, z tą samą pewnością ruchów, która nasuwała myśl o wewnętrznej godności, jakbyśmy mieli do czynienia z miejscowym uczonym lub nestorem cechu złotników.

- Hej - zawołałem, ile sił w płucach. - Halo! - dodałem niedorzecznie, wymachując rękami. Następnie bez zastanowienia wyskoczyłem na zewnątrz i stanąłem na pancerzu pojazdu.

- Uważaj - syknął Nett.

- To ty uważaj - warknąłem. - Siedź tam i w razie czego... - nie skończyłem.

Kogga nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi. Nie przerwał swego powolnego marszu. Wynurzył się już z za rufy i szedł teraz z powrotem w stronę sześcianu. Zeskoczyłem na ziemię, syknąłem z bólu, bo wykręciłem sobie stopę, ale drogę mu zagroziłem.

Cóż z tego, kiedy szedł dalej! Uniosłem ramiona nad głowę i rozłożyłem je, jakbym go chciał uścisnąć. Także i to go nie zatrzymało. Jeszcze chwila, a po prostu wejdzie na mnie. Nie byłem ścianą, od której musiałby się odbić. Przyszło mi na myśl, że on przecież umie przenikać przez zapory nie do przebycia dla innych. Wyobraziłem sobie, że, wchodzi we mnie jak duch i cofnąłem się.

W ostatniej chwili. Mijał mnie właśnie, tak blisko, że nie musiałbym nawet wyciągnąć ręki, żeby go dosięgnąć. Zrobiłem ruch, jakbym go chciał chwycić, ale ramię mi opadło. Pomijając, że ten gest mógł mnie drogo kosztować, nasze ludzkie dłonie były po prostu za małe, żeby objąć jego nogę lub tę rurę w górze. Musiałbym go dosłownie porwać w ramiona, a przyznam, że to akurat niezbyt mi się uśmiechało. Zrobiłem natomiast co innego. Wyrwałem z za pasa miotacz laserowy i strzeliłem mu pod nogi. Ciemności przeszła oślepiająca nitka czystego ognia. Szedł dalej. Pobiegłem za nim, wyprzedziłem go i strzeliłem ponownie.

- Hej! - zawołałem raz jeszcze. Nic. Minał mnie jak pomnik, który nagle ożył, ale niezupełnie, najspokojniej wkroczył na nasyp otaczający jego kokilę i po chwili, przeniknąwszy przez ścianę, znalazł się u siebie. Wprostował się, postać kilka sekund kołysząc górną połową tułowia w prawo i w lewo, by następnie jakby nigdy nic spocząć na swoim skośnym materacu.

Porwała mnie najczystsza pasja. I popełniłem błąd.

Poderwałem rękę z miotaczem. Skierowałem jego wylot w sześcienną budowlą, nie tam, gdzie w środku odpoczywał kogga po swoim spacerku, tylko w górny róg bryły, i strzeliłem. Poraził mnie błysk, poczułem potworny ból w lewym udzie, pociemniało mi w oczach, zdałem sobie sprawę, że osuwam się na ziemię, w ostatnim ułamku sekundy zrozumiałem, że leżę mając tuż przed oczami miotacz, który wypadł mi z dłoni, po czym ogarnął mnie mrok.

Mleczne koła, krążące mi przed oczami zbladły, po czym rozmyły się, ale nadal nic nie widziałem. Westchnąłem i chciałem przetrzeć sobie powieki. Moje palce natrafiły na coś szorstkiego, co zakrywało mi twarz.

- Leż spokojnie - usłyszałem docierający z oddali głos Netta. - Leż spokojnie. Sam to komuś mówiłeś... nie tak znowu dawno.

Nagle przypomniałem sobie. Wszystko.

- Oczy? - spytałem. Głos miałem normalny. Przynajmniej tak mi się zdawało.

- Wszystko w porządku, Lan - powiedział Jur Galin. - To tylko chwilowe porażenie. Nic ci nie jest. Masz ranę w lewym udzie... gdyby wiązka poszła kilka centymetrów wyżej, byłoby gorzej. Ale nie poszła...

- Nie poszła... - powtórzyłem z wysiłkiem. - To co z tymi oczami?

- Mówiłem już - głos Netta był łagodny, cichy. - Aparatura zaaplikowała ci kurację. Nie martw się. Za godzinę zdejmemy ci to z twarzy...

Za godzinę? Świetnie.

- Wygląda na to, Nett, że jesteśmy kwita - mruknąłem. - Powinienem był przewidzieć, że wiązka promieni wróci do mnie jak po sznurku... wracała przecież, kiedy strzelaliśmy do tych niewidocznych półkul.

- Ale tym razem nie było żadnej półkul. Nie mogłeś wiedzieć, że i budowle tak samo odsyłają laserowe wiązki...

- Czasem trzeba wiedzieć - westchnąłem. - Strzeliłem bez zastanowienia. Chciałem zwrócić na nas jego uwagę. A właściwie nie wiem, czego chciałem - wyznałem z żalem. - Wściekłem się i to wszystko.

- Leż teraz spokojnie - powtórzył Jur. Dopiero w tym momencie zdałem sobie sprawę, że znajduję się z powrotem na statku. Oczywiście. Cóż mógł zrobić Nett, jeśli nie wrócić ze swoim bagażem na orbitę. Ale instynkt pilota - bo przecież żaden ruch, dźwięk, nic uchwytnego zmysłami - powiedział mi, że statek jest w ruchu.

- Lecimy? - spytałem. Spróbowałem unieść głowę, ale nie pozwoliły na to pasy, którymi byłem przywiązany do fotela.

- Tak.

- Ludzie?

- Poczekają.

- Dokąd lecicie?! Na Ziemię?!

- Nie. Uspokój się... Umilkłem. Jeszcze godzina. Dobrze.

- Widzisz - odezwał się Nett - Jur doszedł do wniosku, że twoja teoria jest słuszna. Że oni naprawdę wymyślili jakąś barierę informacyjną... tak jak przedtem skonstruowali tamtą hodowlę. Ten sam kij, tylko trzymany za przeciwny koniec. Jur przypuszcza, że doświadczenia, które mają za sobą... krótko mówiąc, zostało ich niewielu. Więc otorbili się...

- Otorbili? - powtórzyłem półgłosem. - To określenie mogę zaakceptować - przyznałem z zastanowieniem. - Otorbili. Ale nie tylko siebie...

- Ludzie nieśli przecież ze sobą mnóstwo informacji - wtrącił Jur. - Obecność naszej stacji w sąsiednim układzie groziła w każdej chwili przełamaniem wszystkich barier.

- To okropne - powiedział drżącym z emocji głosem Nett. - Nie

dlatego, że tak siedzą bez ruchu w tych kojcach... Tobie - w jego tonie pojawiła się nagle gorycz - to akurat pewnie by odpowiadało. Wyśniona wizja zdyscyplinowanego funkcjonariusza Centrali. Ale przecież są wśród nich jednostki, które odbierają informacje... i albo je przekazują dalej, albo nie. Niektórym wolno opuszczać sześciany, a inni siedzą w nich jak w klatkach. Widzieliśmy - głos mu się załamał - widzieliśmy - powtórzył - że nie wszyscy są zadowoleni z takiego stanu rzeczy. Ten kogga wałacy z rozpaczy łbem o ścianę...

- On nie ma żadnego łba - zauważyłem ponuro. - Poza tym skąd wiesz, że to był odruch rozpaczy? Może na przykład drapią się w taki właśnie sposób, kiedy ich coś swędzi?

- Daj spokój - zaprotestował słabo. - Niektóre sześciany...

- Kokile - poprawiłem.

- Niektóre kokile - powtórzył nieco rozdrażniony - są nakryte czapami, a inne nie. Jednym osobnikom wolno się poruszać tylko w kręgu, zakreślonym podstawami tych półkul, a inni jakby nigdy nic podchodzą do Budkera, a kiedy im się znudzi, wracają leniuchować dalej.

- Z tego wszystkiego wynika - podjąłem już bez ironii - że są wśród nich istoty wyższe i niższe. Ktoś może prowadzić badania naukowe, choćby w bardzo ograniczonym zakresie, a jego sąsiad musi tylko pilnować, na przykład, prawidłowego obiegu energii. Ktoś inny zatrzymuje dla siebie informacje napływające z wszechświata... jednemu przysługuje prawo rodzenia dzieci, jeśli je rodzą, a nie, dajmy na to, lepią z przymacików, a innemu nie. Bo dzieci trzeba wykształcić i wychować... a to oznacza manewrowanie informacjami. Informacje... tak...

Przyszło mi na myśl, że jeśli Nett teraz się odezwie, jeśli powie cokolwiek, będę musiał mu zaprzeczyć i zrobię to wbrew sobie.

Przerażający obraz świata. A przecież widzieliśmy zaledwie jedną rzeczkę... dwie czy trzy polanki... kilka budyneczków z samotnymi mieszkańcami.

Nett nie powiedział ani słowa. Pewnie powinienem mu być za to wdzięczny. Ale nie byłem. Chociażby dlatego, że w tym właśnie momencie zaświtała mi nowa myśl. Myśl, czy raczej wizja, wobec której wszystko, co mówiliśmy przed chwilą o cywilizacji Ety Reticulum, brzmiało jak opowieść o niewinnych psotach zdrowych, wesołych czternastolatków.

- Pamiętacie pochyłe ścianki w budowlach na czarnym słońcu? - spytałem, po czym nie czekając na odpowiedź ciągnąłem dalej: -- To były ekrany, tyle że nie świetlne, tylko radioaktywne. Mieszkańcy "kokili" muszą mieć specjalny zmysł, który umożliwia im odbieranie, przekazywanych tą drogą informacji. Wtedy oglądali swoją nową, przyszłą ojczyznę i statki, które miały ich tam zabrać. A teraz? Czy ktoś przy zdrowych zmysłach położy się, powiedzmy, na ekranie holowizora? Ale oni wszyscy, jak jeden, leżą na tych skośnych ściankach. Czy to wam nic nie mówi?

- Chcesz powiedzieć - zaczął z wahaniem Nett - że przystosowali się do jakiegoś bardziej bezpośredniego odbioru programów? Czy też, że ich nadajniki milczą już od tak dawna, że po

prostu zapomnieli o pierwotnym przeznaczeniu tych pochylni, zmienili je w łóżka?...

- Nic innego nie przychodzi ci na myśl? Nett milczał.

- Jeśli naprawdę te radioaktywne impulsy docierają bezpośrednio do ich układu nerwowego czy ośrodków mózgowych, a ekrany w dalszym ciągu służą nie tylko jako łóżka - powiedział zamiast niego Jur - to w jakim stopniu nadajniki wpływają na ich życie?...

- Otóż to. A raczej, w jaki sposób kształtują ich życie wybrane

istoty, które obsługują te nadajniki...

- Zdalne sterowanie? Jakaś karykatura fantomatyki? - wybełkotał Nett.

- Wreszcie trafiłeś w sedno...

- To mogłoby tłumaczyć, dlaczego są tacy... cisi - Jur zamyślił się.

- Gdyby twoja hipoteza była prawdziwa, to by znaczyło, że oni stale przebywają w jakimś nierealnym świecie, który jednak decyduje o trybie ich prawdziwego życia...

- Nie wszyscy - burknąłem. - Ale to nie hipoteza, tylko domysły. Znowu domysły. Na szczęście.

- Na szczęście - odpowiedział jak echo Jur. Nett głośno przełknął ślinę, po czym w kabinie

zapanowało milczenie.

- Ile jeszcze do końca tej godziny? - spytałem nagle.

- Już niedługo - mruknął Jur.

- Dokąd lecimy?

- Na Telmura.

Zamilkłem. Oczywiście, że na Telmura. Że też sam na to nie wpadłem. Niby czego innego mogliśmy jeszcze spróbować?

- A jeśli i on okaże się dla nich nośnikiem niebezpiecznych informacji... z zewnątrz?

- To trudno - odparł spokojnie Jur. - Ale mam nadzieję, że nie. Są zintegrowani od swojej prehistorii. Powinni mieć instynkt solidarności. Tak czy inaczej sędzę, że niczego nie ryzykujemy. Na próbę rozwalenia tej klatki antymateria zawsze będzie czas.

- Nie musimy strzelać akurat do tej, w której są ludzie - powiedziałem nieprzyjemnym tonem.

- Zostałeś porażony wiązką promieni, wystrzeloną z twojego własnego lasera - zareplikował Nett. - Co będzie, jeśli się okaże, że poradzili sobie także z antymateria? Wtedy nawet Budker nie pomoże...

- Zdejmijcie mi to już - odezwałem się po chwili ogólnego milczenia.

- Czuję się dobrze.

- Aparatura... - zaczął Nett, ale Jur nie pozwolił mu skończyć.

- Dobra, Lan - mruknął. Usłyszałem zbliżające się kroki i wreszcie krępujące mnie pasy ustąpiły. Jeszcze moment, i ujrzałem wypełniające kabinę nikłe, bezcieniowe światło.

Podniosłem się nie bez pewnego wysiłku, usiadłem. Szumiało mi w głowie, ale wszystkie kości miałem na swoim miejscu. Tylko lewe udo, od pachwiny aż do kolana, było ciasno spowite elastycznym bandażem. Nie czułem bólu. Aparatura medyczna zaaplikowała mi z pewnością jakiś środek znieczulający.

Chipping spał nadal. Rude włosy opadły mu na bok, odsłaniając twarz. Utracił już swoją chorobliwą bladość. W chwili, kiedy na niego spojrzałem, poruszył bezgłośnie wargami, po czym niespodziewanie uśmiechnął się. W tym uśmiechu odmłodził o dwadzieścia lat. Patrzyłem na niego z uwagą. Co mu się mogło śnić? Czy to nie aparatura podsuwa mu miłe, pogodne obrazy? Analogie... Spokój ludzi... i spokój istot odizolowanych od żywego świata to przecież informacje...

Odwrociłem wzrok od Chippinga i rozejrzałem się po kabinie. Ekrany były czyste. Czyli że opuściliśmy już płaszczyznę ekliptyki układu, który jego mieszkańcy kiedyś tak niefortunnie przebudowali.

- Obliczyłeś kurs?

- Tak - potwierdził Jur, po czym roześmiał się nagle. Spojrzałem na

niego ze zdziwieniem.

- Ja obliczałem kurs... dla generatorów kolapsacyjnych... tak na wszelki wypadek, bo nie wiedzieliśmy, kiedy dojdiesz do siebie, a sami nie chcieliśmy wchodzić w nadprzestrzeń, natomiast Nett bawił się w pajaka...

- Czy to jakaś nowa nazwa? - spytałem.

- Nie - na twarzy Netta także pojawił się nikły uśmiezek. - Utkąłem najprawdziwszą sieć... Widzisz? - wskazał na podłogę za oparciami foteli. Spojrzałem tam i ujrzałem wielką, porządnie złożoną sieć, sporządzoną z lin asekuracyjnych, jakie niesie w ładowniach każdy statek, na wypadek, gdyby załozde wypadło pokonywać skaliste góry.

Trafiliśmy jednak w pamiętne miejsce na trzeciej planecie Bety Telmura, chociaż nie było to wcale łatwe, zważywszy wszystkie zagadki, które musiał rozwiązać komputer, prowadząc statek stamtąd do układu Ety Reticulum. Trafiliśmy, poświęciwszy zaledwie trzy sondy z tych osiemnastu, jakie nam jeszcze zostały. Może dlatego, że tam, gdzie stała zbudowana z pryzmatów piramida, panowała właśnie noc i nic nie straszycło czujników oślepiającymi zajaczkami? W każdym razie komputer mimo wszystko bezbłędnie zapamiętał i odtworzył naszą ówczesną drogę.

Tym razem postanowiliśmy posłużyć się Budkerem. Zabraliśmy także trzy automaty robocze. Zanosilo się przecież na polowanie z nagonką.

U stóp kryształowej piramidy panowały ciemność i cisza. Okolica wydawała się wymarła, jak wtedy. Łagodne garby -wzgórz szły milczącym szeregiem ku horyzontowi, pasmo górskie majaczyło w mroku na tle ciemnognatowego nieba, powietrze było nieruchome.

Zeszliśmy ze szczytu jednego wzniesienia i zaczęliśmy się wspinać na zbocze następnego. Piramida zostawała powoli za naszymi plecami. Nagle skądś, zza wzgórz, dobiegł stłumiony dźwięk. Stałem. Poczulem dłoń Netta na swoim ramieniu.

Cisza.

- Co to było? - zaszemrało w moich słuchawkach.

Nie odpowiedziałem. Syknałem tylko, żeby go uciszyć. Minuta, dwie, trzy...

- Uiii - rozległo się znowu. Źródło tego nieludzkiego zawodzenia przybliżyło się. Przyszło mi jeszcze na myśl, że żadne z tych stworzeń, które widzieliśmy w tych sześcianach na Ecie, nie wydawało przecież głosów. Może ciało tego tutaj wpadało w jakieś wibracje, spowodowane chorobą? Bo to stworzenie samotne, porzucone, zdane na łaskę informacyjnej piramidki, było przecież równie bezradne jak przedtem Chipping. Szok informacyjny zagraża każdej myślącej istocie. Nie tylko człowiekowi.

Wszystko to przemknęło mi przez głowę, kiedy już biegłem, najszybciej, jak na to pozwalało ukształtowanie terenu, w stronę, z której doleciał ów jęk, podobny do krzyku wielkiego ptaka. Wybiegłem z rozpędu na szczyt najbliższego wzniesienia i nagle stanąłem tuż przed Budkerem. W słuchawkach słyszałem chrapliwy, przyspieszony oddech Netta. Nasłuch przynosił miarowe człapanie automatów.

Było przy Budkerze. Przyszło samo. Może W pewien sposób naprawdę opiekowało się wtedy Chippingiem i porwało go, ponieważ sądziło, że z naszej strony zagraża mu niebezpieczeństwo? Mówiliśmy wtedy o tym... ale przecież, u licha, żaden z nas nie brał tego serio. Tymczasem teraz owo stworzenie samo przyszło do nas. Czy nie dlatego, że byliśmy podobni do Chippinga?

Snop światła mojego reflektora padł na dziwnie skuloną, podługowatą sylwetkę. Stwór stał bez ruchu, jakby na coś czekał.

Automaty rozbiegły się, ciągnąc za sobą sieć. W jasnych smugach

światła widzieliśmy wyraźnie końce białych lin. Wreszcie pierścień zamknął się. Wtedy dopiero kogga rzucił się do ucieczki. Za późno. Automaty zbiegły się z trzech stron i błyskawicznie połączyły ze sobą końce sieci.

- Zaczekaj chwilę - powiedział Nett, schowany niemal cały w awaryjnym włazie, prowadzącym do ładowni.

- Co tam robisz?

- Nic takiego - odpowiedział prostując się. Zajrzałem mu przez ramię. Uporządkował ładownię, umocowując wszystkie większe i cięższe przedmioty. Podłogę wymościł pozostałymi linami i namiotami. Mimo woli pokręciłem głową i wzruszyłem ramionami.

- Zapominasz - powiedziałem drwiąco - że tam, u siebie, zwykli sypiać na gołych ścianach. Gdybyś naprawdę chciał mu umilić podróż, powinienś raczej wstawić jakąś skośną deskę...

- Obejdzie się - mruknął, po czym odwrócił się i wszedł na pancierz. Nie patrząc w moją stronę, przerzucił nogi przez krawędź włazu i zniknął wewnątrz pojazdu. Polowanie było skończone. Czas wracać.

Stacja, widoczna gołym okiem, zakrywała kilka dalekich słońc południowego nieba. Pod nami jajowaty brązowiebieski glob świecił jak wielki, cudaczny lampion. Kiedy patrzyliśmy na niego pierwszy raz, był zielonkawy.

- Ładna, prawda? - usłyszałem w słuchawkach głos Netta. Oprzytomniałem od razu. Znowu coś jest ładne!

Odbiłem się i omal nie przeleciałem nad uchylonym włazem Budkera. Złapałem jego krawędź w ostatniej chwili i z pasją wciągnąłem się głową w dół do wnętrza pojazdu. Wywinałem najprawidłowszego koziołka i kiedy w górze zamajaczyło czołowe światło Netta, siedziałem już spokojnie w fotelu.

Nad oceanem była noc. Fale przetaczały się leniwie powolnym, jednostajnym ruchem. Nasłuch przynosił ledwie dosłyszalny oddech śpiącego morza.

Baterie słoneczne w strefie przybrzeżnej nie lśniły teraz. Ich powierzchnia przesuwiała się pod nami matowa i martwa. Na wzgórzach za brzegiem także panował spokój.

Tym razem nie szukaliśmy już przecinek w zasięgach tutejszej roślinności. Wylądowaliśmy od razu za rzeką, na wprost kopuły, pod którą uwięziono ludzi. Bo to mimo wszystko było więzienie, nawet jeśli nie lepsze ani nie gorsze od tego, jakie miejscowi władcy zgotowali własnym pobratymcom.

Polana tonęła w mroku. Wnętrze sześcianu było ledwo widoczne. Wtedy, tamtej nocy, budowle gospodarzy globu pozostawały niemal idealnie przezroczyste i jakby oświetlone. Dzisiaj było trochę inaczej. A może ludzie nauczyli się przyciemniać to utrwalone w ścianach światło, które nocami nie przeszkadzało istotom pozbawionym oczu?

Zawołaliśmy raz i drugi. Spróbowaliśmy jeszcze na wszelki wypadek strzelić z lasera. Kopuła była na swoim miejscu. Nic się nie zmieniło.

Ludzie spali. Za posłania służyły im skafandry, wypchane jakimiś roślinami. Aira i Ramanian leżeli wewnątrz sześcianu, na podłodze. Krum ułożył się na zewnątrz. Oparł głowę o pochyłość nasypu i leżał na wznak, jakby patrzył w gwiazdy. Ciekawe, czy widzą gwiazdy? Co w ogóle jest dostępne dla ich oczu, skoro nie dostrzegają nas?...

Zawróciłem. Tu nie mieliśmy na co czekać.

Wylądowałem na wprost budowli czy kokili, którą zamieszkiwał ów uprzywilejowany osobnik, pozwalający sobie na spacer wokół pojazdu obcych przybyszów. Zapaliłem wszystkie reflektory. Ich światło skierowałem w dół, na powierzchnię gruntu. Nie chciałem, żeby nas

oślepiło, kiedy ponownie wyjdzie nam. na spotkanie... jeśli wyjdzie.

Wezwaliśmy automaty. Wytoczyły się w trójkątnym szyku. Pomiędzy nimi przewalał się po ziemi spowity w sieć, milczący kłęb. Od kiedy znalazł się w ładowni Budkera, ani razu nie usłyszeliśmy jego przenikliwego, zawodzącego głosu.

Wyszedłem za nimi, Automaty posuwały się bardzo powoli. Sieć nie krępowała zbyt ciasno pojmanego koggi. Od czasu do czasu unosił tę rurę, którą zazwyczaj podtrzymywały cztery złączone podkowiasto kończyny, jakby się rozglądał. Liny sieci naprężały się wtedy, pozostawiając mu jednak nieznaczną swobodę ruchów. Inna rzecz, że nie próbował z niej korzystać.

- Nie podchodź zbyt blisko - powiedział Nett. Patrzył za nami, wychylony z wieżyczki.

- Nie bój się - mruknąłem. - Nie będę już strzelał...

Kiedy pierwsze dwa automaty zbliżyły się do ogradzającego budowlę nasypu na jakieś dziesięć metrów, zatrzymałem orszak. Kształty śpiącego czy też odpoczywającego koggi rysowały się wewnątrz sześcianu zupełnie wyraźnie.

Podszedłem do naszego jeńca i poluzowałem trochę krępujące go sznury. Następnie pomogłem mu wstać. Zrobiłem to, ciągnąc za liny, bo mimo wszystko nie mogłem się przemóc, żeby dotknąć jego ciała. Było za bardzo nijakie, żadne, obce.

Kogga stanął na nogach, które z konieczności trzymał blisko siebie. Zachwiał się. Podtrzymałem go, w dalszym ciągu posługując się tylko linami. Wewnątrz kokili nadal nic się nie działo. Jak tamtego zbudzić? Przedtem nie reagował ani na mój krzyk, ani na wiązkę światła, którą paliłem grunt pod jego nogami. Ślepi, głusi i przeraźliwie, absolutnie obojętni?

Stałem. Kogga stał również. Jajowate kształty automatów, przechylone do przodu, czekały wraz z nami. Na niebie gwiazdy, złote, lekko przydymione. Ani śladu chmur czy choćby tych żółtawych obłoków, które w dzień dawały nieco cienia. Noc była niemal tak samo gorąca jak dzień. Z zarośli nie dobiegał najlżejszy szmer. Powietrze jakby również zasnęło.

Stałem. Mijały minuty i kwadransy. Wreszcie, chociaż broniłem się przed tym jeszcze, musiałem zacząć myśleć, co będzie, jeśli i ten nasz ostatni wybieg spali na panewce. Wojna. Tak. Nietrudno zniszczyć cywilizację, reprezentowaną przez garstkę samotników, ocalałych z bezprzykładnej w dziejach kosmosu katastrofy. Były zapewne większe kataklizmy, świat musiał widzieć upadki potężniejszych, mądrzejszych, może nawet liczniejszych ras. Ale czy któraś runęła na skutek własnej, nieokiełznanej ciekawości?

Niewiele zobaczyliśmy dotychczas na tej planecie, która przygarnęła rozbitków, ale pewne fakty po prostu rzucały się w oczy. Zgnębieni losem, który sami sobie zgotowali, wpakowali się ze skrajności w skrajność. Zbudowali baterie słoneczne i w ten sposób zapewnili sobie dopływ energii, biorąc pod uwagę ich niewielką liczbę, zapewne na miliony lat. Następnie popadli w przerażony i przerażający równocześnie błogostan. Odrzucali wszystko, co przybywało z zewnątrz i mogło zaintrygować jakikolwiek twórczy umysł. Nie chcieli budować, tworzyć, dowiadywać się. Co robili? Czy o czymś myśleli? Czy umieli, na przykład, oddawać się jakiejś sztuce, pozbawionej jednakże form materialnych? Tego zapewne nie dowiemy się nigdy.

To ich otorbienie byłoby może łatwiejsze do przyjęcia z ludzkiego punktu widzenia, gdyby kontrolę nad swoją izolacją powierzyli martwej sieci informatycznej. Ale takie automaty, aby mogły spełniać swoje zadanie, musiałyby być ustrojami homeostatycznymi. Musiałyby więc posiadać zdolność samoorganizowania się. A to znaczyłoby oddanie się bez reszty w ręce maszyn.

Nie mogli tego zrobić. Więc wyłonili spośród siebie jednostki, którym wolno było przyjmować informacje z zewnątrz, czuwać, czy z kosmosu nie nadciąga niebezpieczeństwo, czy zespoły energetyczne działają sprawnie i w końcu, czy inni są posłuszni, czy ktoś w swoim szóstym zmysle nie szuka przypadkiem rozwiązania jakiejś zagadki, która nagle, nie wiedząc skąd i dlaczego, wykiełkowała w jego mózgu. A skoro wyodrębnili tę pierwszą grupę, to dalszym logicznym krokiem było podzielenie jej na osobników przeznaczonych do rozwiązywania poważniejszych problemów, i takich, którzy spełniali funkcje pomocnicze. Odbyli dokładnie odwrotną drogę niż ludzkość - po ostatecznym upadku wielkiej prywatnej własności i zakończeniu trudnych procesów integracyjnych.

Ale to nie wszystko. Pozostawała ta większość... izolowana, kto wie, może bezimienna? Jakie miała uprawnienia? Czy ich rasa osiągnęła nieśmiertelność... przynajmniej w kategoriach ludzkiego pomiaru czasu? Czy wyobrażali sobie, że ta bezimienna większość będzie drzemać w swoich szóstych zmysłach przez całą wieczność?

Nett nie powiedział mi tego. Jur był mniej powściągliwy, ale i on dał mi zaledwie do zrozumienia, że przemyślał sprawę. Nie potrzebowałem tej ich delikatności. Dla postronnego obserwatora cała nasza wyprawa była z pewnego punktu widzenia jednym nonsensownym dialogiem między mną a Nettem. Jego racje znalazły w końcu monstrualnie wyolbrzymione potwierdzenie. Obraz szczątkowego społeczeństwa, złożonego z układów niemal bezwzględnie odosobnionych, jak drzewa, mógł stanowić karykaturę ostatecznego kresu drogi, po jakiej zmierza Centrala. I cóż stąd? Co innego selekcja informacji, a co innego rezygnacja z nich. Ale czy hipotetycznie jest do pomyślenia, że nie wiedzieć kiedy selekcja przeobrazi się w otorbienie? Lojalnie trzeba przyznać, że tak. Przypomniałem sobie słowa Jura. Miał rację. Nie powinniśmy dopuścić do tego, by kiedykolwiek zabrakło wśród nas takich Nettów. Nawet, a może właśnie wśród straży Gigama, w szeregach funkcjonariuszy Centrali. Niech pilnują tego momentu, w którym moglibyśmy coś przegapić. Jakaś, jak mówił, szansę. Powiedziałem kiedyś Nettowi, że cierpi na obsesję śmierci. A jeśli się myliłem? Jeśli była to właśnie obsesja życia?...

Zapomniałem, gdzie jestem i co tutaj robię. Stałem, bezwiednie uśmiechając się do siebie. Myśli przepływały leniwie i do niczego mnie nie zobowiązywały. Cisza. Spętany kogga. Szóstki, odsyłający z powrotem wiązki promieni. Przenikający przez przezroczyste ściany osobnik, zbudowany z pięciu gładkich, wyginających się węzowato rurek. A do tego za rzeczką, jakby przeniesioną z ziemskiego rezerwatu, śpiący smacznie ludzie. Zdrowi, opaleni, potrafiący się śmiać. Nett... do licha, może sam mógłbym sobie powiesić w domu jeden z tych jego, jak je nazwał, holomazów?

Pomyślałem: "w domu" - i nagle znowu stanęła mi przed oczami twarz Avony. Ujrzałem jej smutny uśmiech. Zobaczyłem, jak znajomym ruchem odgarnia z czoła kasztanowe włosy. Aira i Nett... Nett, który ciągle jeszcze ma skrupuły, i Aira, niegdyś moja żona, znana mi do ostatniego kawałeczka jej pięknego ciała, a tak bardzo obca, nie tylko teraz, tutaj, ale i przedtem, na Ziemi.

Uczucia. Otwarty rozdział w życiu naszego społeczeństwa, losach jednostek i... w naszej służbie. Szczelina, przez którą przekradają się informacje albo przecucie informacji. Dla niego moja dziewczyna stała się wszystkim, a ja przyjmuję to obojętnie, bo przedtem poznałem jego Avonę. Intryżka ze staroświeckiej farsy, poroniony wątek melodramatu, który zrobił klapę jeszcze przed premierą. Równocześnie fakt. Jakim cudem? Skąd? Dlaczego?

Dlaczego? A któż może wiedzieć, dlaczego rozchodzą się drogi ludzi, którzy skądinąd mają sobie wiele do zawdzięczenia i dobrze sobie nawzajem życzą?

Powiem jej, że...

Poczułem chłód na policzkach. Noc była nadal ciepła, niemal gorąca. Zamyśliłem się. Odbiegłem od rzeczywistości. Ta nie pozwalała mi na razie rozmawiać z Aira...

Powiedziałem: noc. Ale niebo na wschodzie nasiąkało powoli barwą pomarańczowo-zieloną. Brzeg rzeki, budowle, zarośla i polanki, wszystko to było już pełne dziwnego, surowego światła. Świt na Ziemi zawsze przynosi ochłodzenie. Tutaj było inaczej. Przestałem noc. Bez ruchu. Nadszedł ranek, a ja czułem, jak ściekają mi po skroniach strużki potu.

Odwrociłem się i spojrzałem w stronę Budkera. Nett tkwił nadal na swoim miejscu, wychylony do połowy z wieżyczki pojazdu. Chyba i on przetrwał w tej pozycji całą noc. Co zrobimy, jeśli dzień nie przyniesie żadnej zmiany?

Słońce oderwało się w końcu od linii horyzontu. W ścianach budowli obudziły się jakieś zblakane promyczki. I wtedy nareszcie samotny lokator "kokili" wstał. Przez moment trwał bez ruchu, sztywno wyprostowany, następnie ruszył prosto w naszą stronę. Przeniknął przez ścianę i przekroczył nasyp. Kiedy od naszego jeńca dzieliło go już nie więcej niż pięć kroków, dałem znak automatom. Zaczęły się powoli cofać, ciągnąc za sobą uwięzionego w sieci kogę, który, rzecz jasna, od razu stracił równowagę i upadł. Cofałem się i ja, nie patrząc za siebie, zachowując stałą odległość od mieszkańca sześcianu.

- Co teraz? - - usłyszałem przyciszony głos Netta.

- Nic - odpowiedziałem spokojnie. - Zabieram go na spacer. Zobaczmy, czy lubi się kąpać.

Wyminąłem Budkera i cofałem się nadal, nie zwalniając i nie przyspieszając, aż poczułem przez nogawki spodni chłodny dotyk wody. Sięgała mi najpierw po kolana, potem doszła do piersi. Dno było równe, szorstkie. Także automaty, wlokące ze sobą swój żywy łup, osiągnęły już linię brzegu. Samotny kogga wciąż szedł za nami. Dałbym wiele, żeby móc wiedzieć, czy on patrzy, czym patrzy i co widzi. Ale dawno już porzuciłem wszelką myśl o prawdziwym kontakcie z tymi istotami. Pierwsze kosmiczne spotkanie niezbyt się ludziom udało. Dla nas kontakt mógł oznaczać jedynie bezpłodne zaspokojenie ciekawości... a oni? Nie życzyli sobie żadnych spotkań ani wzruszeń. Może dawno temu, kiedy byli jeszcze prężnie rozwijającą się rasą i myśleli dopiero o budowie strefy Dysona, kontakt naszych cywilizacji przyniósłby - nam oszałamiające technologie, a im ocalenie. Może kiedyś, po latach, kiedy uporają się z tym, co ich jeszcze czeka, jeśli zamierzają trwać w swoim otorbieniu? Ale nie teraz. Ani nie za rok. Niech nam tylko oddadzą ludzi...

Automaty uniosły związanego kogę wysoko nad powierzchnię wody i, cofając się w ślad za mną, dźwigały go ku przeciwległemu brzegowi. Osobnik, któremu pozwolono spacerować, do czego inni, jak mogliśmy się o tym przekonać, nie mieli prawa, dotarł do skraju łączki i zatrzymał się na moment. Nie stał jednak dłużej niż kilka sekund. Nagle grunt wokół niego poruszył się, jakby pod ziemią z szybkością pocisku biegł jakiś ogromny kret. Od budowli do stóp koggi, jeśli można mówić o stopach w wypadku tępo zakończonych walców, powstał taki sam nasyp jak te, które opasywały wszystkie kokile i przecinały teren od rzeki do brzegu oceanu. Kret biegł dalej. Płynąca leniwie woda wzburzyła się. Mimo woli obejrzałem się za siebie i przyspieszyłem. Kiedy stanąłem na przeciwległym brzegu, nasyp przeciął już rzekę, która zmieniła się nagle w wodną karuzelę, i dotarł do zwirowatej plaży, nieco na lewo od miejsca, gdzie stały automaty. Wtedy nasz spacerowicz ruszył dalej. Jego nogi zagłębiły się w rzece najwyżej na wysokość trzech, czterech centymetrów. Zbudował sobie most i szedł teraz po nim, tak samo powoli jak do tej pory, tak samo pewnie i z taką samą niezmaconą godnością. Nie ulegało wątpliwości, że oni nadal potrafili wiele jako konstruktorzy i

technolodzy. Zbyt wiele, jak na mój gust.

Katem oka dostrzegłem, że Nett uruchomił Budkera i podąży za nami, trzymając się w dość znacznej odległości. W dalszym ciągu siedział w wieżycy, dookoła niej biegały już jednak kierunkowe anteny, tak że mógł się czuć bezpieczny przed ewentualnym atakiem z tyłu.

Musiałem się teraz częściej oglądać za siebie. Doszliśmy do zarośli, porastających niskie wzgórza. Przecinka nie tworzyła prostego korytarza, tylko wiła się zakosami, a ja wcale nie miałem, ochoty wypróbować na sobie, czy plecy człowieka poradzą sobie równie łatwo z suchymi, skłębionymi chaszczami, jak Budker. Na szczęście ślady naszej wczorajszej bytności były aż nadto wyraźne. To pozwoliło mi wreszcie dotrzeć bez przygód na skraj polanki, przeciętej potoczkiem. Ujrzałem, że Aira i Buk robią coś nad wodą, ale nie przyglądałem im się dłużej niż ułamek sekundy. Automaty nadal unosiły naszego jeńca w powietrzu. Teraz dałem znak, żeby go położyły, po czym, posługując się końcami lin, pomogłem mu wstać. Następnie odwróciłem się i pociągnąłem go za sobą. Automaty utworzyły teraz osłonę, idąc obok siebie, tuż za moimi plecami. Doprowadziłem skrępowanego kogga do niewidocznej ścianki, nakrywającej otoczenie sześcianu zamieszkanego przez Airę oraz jej towarzyszy, i wyciągnąłem przed siebie rękę. Uderzyłem nią kilkakrotnie w zaporę, po czym odwróciłem się, spojrzawszy w stronę istoty, która przyczłapała za nami znad rzeki, i wskazałem kilkakrotnie na przemian ludzi nad strumykiem i naszego jeńca. Następnie zostawiłem tego ostatniego pod opieką automatów i poszedłem prosto do miejsca, gdzie stał kogga, wyróżniony przez swoją rasę. Zatrzymałem się dwa kroki przed nim i ponownie wskazałem uwięzionych ludzi, a potem postać spowitą w sieć. Potworzyłem ten gest kilkakrotnie i przybrałem postawę wyczekującą.

Cisza. Dokoła spieczony grunt, posypany cienką warstwą pyłu. Za moimi plecami kogga przywieziony przez nas z innego układu. Przyszła mi do głowy idiotyczna myśl, że kiedy wreszcie pryśnie ta jakaś bariera informatyczna lub czym w końcu jest to przezroczyste draństwo, niewykrywalne dla naszych czujników, uwolnieni ludzie nie zechcą stąd odjechać. Taki tu spokój...

Spokój. To właściwe słowo. Jeśli czegoś miałem już naprawdę zupełnie, ale to zupełnie dość, to właśnie spokoju.

Nagłym ruchem, nie powodowany żadną myślą, wyszarpnąłem zza pasa miotacz. Wycelowałem w bok, w kępę zarośli, i strzeliłem. Krótki błysk, a potem błyskawicznie rozprzestrzeniający się ogień. Trzask płonącego chrustu.- i ani śladu dymu. Usłyszałem okrzyk Netta, ale nie zareagowałem na niego. Przesunąłem lufę miotacza ku tyłowi i strzeliłem za siebie, w inną kępę, położoną znacznie bliżej miejsca, gdzie znajdował się uwikłany w sieć kogga. Zerknąłem na stojącą przede mną w dalszym ciągu jak pomnik postać i w końcu wycelowałem miotacz prosto w naszego jeńca.

Nareszcie coś osiągnąłem. W pierwszej chwili nie rozumiałem, co się dzieje, wystarczyło mi jednak, że w otoczeniu w ogóle zaczynają zachodzić jakieś zmiany.

Najpierw spomiędzy zarośli dobiegł tępy odgłos dartej ziemi i łoskot, jakby przez największy gąszcz przedzierało się wielkie zwierzę. Wkrótce okazało się jednak, że to tylko owa podziemna maszyna, naśladowująca kreta. W okamgnieniu otoczyła nasypem miejsce zajęte przez osobnika przybyłego znad rzeki i zaczęła się posuwać w moją stronę. Stałem bez ruchu, tylko opuściłem rękę, w której trzymałem miotacz i odsunąłem go od biodra. Nie chciałem dwa razy powtarzać tego samego błędu.

To coś pod ziemią posuwało się teraz wolniej. Grunt nie kruszył się na wzdętej powierzchni, jakby równocześnie coś ryło od wewnątrz, a coś innego uklepywało powstałe wzniesienie. Kiedy nasyp zbliżył się do moich stóp, kret nagle zmienił kierunek. Stałem nadal bez ruchu. Palce zaciśnięte na uchwycie miotacza zbieleły mi i zdrętwiały, ale

nie czułem tego. Przestałem myśleć, przestałem oddychać.

Nasyp minął mnie w odległości metra. Podziemny świder zaczął znowu pracować szybciej. Zmierzał teraz prosto ku strumyczkowi, nad którym siedzieli ludzie. Kilka, najwyżej kilkanaście sekund, a zetknie się z "groblą" okalającą sześcian Airy, Buka i Kruma. Zacisnąłem szczęki. Mogłem liczyć. Ale nie robiłem tego. Nie zrobiłem nic. - Lan!

- Lan!

- Nett!

- Lan!

- Nett! Jesteście!

Pociemniało mi w oczach. Poczulem na piersi jakiś wielki ciężar, który za chwile uniemożliwi mi zaczerpnięcie powietrza. Przestraszyłem się. Zamachałem gwałtownie rękami i przezwyciężając opór stwardniałych mięśni twarzy odetchnąłem głęboko. Usłyszałem chrapliwy świst, z jakim powietrze torowało sobie drogę do moich płuc. W krtani zapiekło coś boleśnie.

Kiedy oprzytomniałem, nie było już koggi, którego sprowadziliśmy z nad rzeki. Przede mną, w milczącym półkolu zatrzymali się Buk Ramanian, Aira i Leo Krum. Za nimi stanęły automaty.

- To my - wychrypiałem bezsensownie. Ujrzałem ich opalone twarze, skamieniałe w wyrazie zupełnego osłupienia. Patrzyli na mnie nadal nic nie mówiąc, następnie zaczęli się niepewnie rozglądać na boki, jakby chcieli spytać, gdzie są, co to za miejsce i skąd się tutaj wzięli.

- Nett - powiedziała półgłosem Aira. - Lan... - dodała zaraz.

Przestałem słuchać. Nie patrząc na nich, podszedłem do "naszego" koggi, który stał, kołysząc się niezdarnie na skrzepowanych nogach. Wyjąłem zza pasa nóż i naciągając liny zacząłem je ciąć. Po chwili kogga był wolny. Wolny i u siebie. Nic więcej nie mogliśmy dla niego zrobić...

Podziemna sieć komunikacyjna istniała naprawdę. Uprzywilejowany osobnik musiał stworzyć dodatkowy kanał, żeby porozumieć się z innymi możliwymi swojej planety. W efekcie ludzie mogą wrócić na Ziemię.

Czy postąpiono tak kierując się jedynie instynktem solidarności, na który liczyliśmy, podejmując naszą ostatnią "łowicką" wyprawę na Telmura? Nie byłem tego pewny. Skłonny byłem raczej mniemać, że poddali analizie całą naszą działalność w układzie Ety i wysnuli logiczne wnioski. Nie byli przecież głupi. Zauważyli, że nie zachowujemy się agresywnie, jeśli nie zostajemy do tego zmuszeni. Zniszczyliśmy własne sondy, żeby ostrzec ich kosmiczne pojazdy, zamiast strzelać bezpośrednio do nich. Przywieźliśmy tego obłąkanego z Telmura. Zrozumieli, że nie zagraża im z naszej strony bezpośrednie niebezpieczeństwo.

Ale zdecydowało coś innego. Po pierwsze doszli z pewnością do wniosku, że skoro odnalazł ich jeden nasz statek, to potrafią tego dokonać również następne. Woleli, żeby Ziemia zostawiła ich już w spokoju, a w każdym razie, żeby nie wysyłała ekspedycji po trupy, bo wtedy te ekspedycje mogłyby zachować się inaczej. Po drugie - jeszcze ważniejszy musiał być dla nich stopień zagrożenia informacyjnego ze strony naszej cywilizacji. Otóż ich zdaniem zapewne dostatecznie wyraźnie dali nam do zrozumienia, że nie życzą sobie kontaktu. A my nie przejawialiśmy nadmiaru ciekawości. Nie szukaliśmy ich centrów dyspozycyjnych, nie zainteresowaliśmy się instalacjami ukrytymi w tych nasypach, nie próbowaliśmy ścigać ich obiektów latających. Zajęliśmy się tylko ludźmi. A więc należało sądzić, że uwolniwszy ludzi, czym prędzej zapomnimy o ich świecie i drodze, jaka do niego wiodła, poprzez czarną gwiazdę i ruiny strefy Dysona. Czy tak będzie naprawdę? Owszem, gdyby chodziło o mnie. Co do reszty, przyszłość

pokaże.

Sieć opadła i kogga stanął wreszcie wyprostowany, w całej swej okazałości. Rozstawił szerzej nogi i zakołysał górną częścią ciała w obie strony. Nagle zrobił krok w moją stronę. Cofnąłem się odruchowo. Zatrzymał się. Chwilę trwał bez ruchu, po czym raptem skoczył do tyłu. Nie sposób było odgadnąć, czy się przedtem odwrócił... Jeśli dotychczas stał zwrócony do mnie przodem, to teraz mógł biec tyłem. Ale cóż znaczą te słowa w odniesieniu do... no, do koggi?...

Kiedy zniknął mi z oczu w przecince, zwróciłem się w stronę uwolnionych ludzi. Stłoczeni przy Budkerze, z przejściem wsłuchiwali się w to, co mówił do nich wychylony z wieżyczki Nett. Aira chłonęła rozognionym wzrokiem jego chłopięcą, uśmiechniętą twarz. Krum z namysłem kiwał powoli głową. Ramanian stał nieruchomo, spoglądając jakby ze zdziwieniem na swój kompon.

W dalszym ciągu byłem jak odurzony, czułem szum w skroniach i oddychałem z trudem. Teraz dopiero zdałem sobie sprawę, że do tej pory zaciskałem szczęki i że bardzo boli mnie noga. Spojrzałem na swoje lewe udo. Przez bandaż, a także i przez kombinezon sączyła się krew.

Wyprostowałem się i podszedłem do grupki, zebranej wokół Budkera.

- Śniadanie na trawie - powiedziałem patrząc bez uśmiechu na Netta. - Był zdaje się taki obraz. Powinieneś go znać...

- Nie wiem, o czym mówisz - rzucił cierpko. - Nie jestem historykiem sztuki. Nie jestem nawet malarzem...

Zapanowało milczenie. Aira, Ramanian i Krum patrzyli na mnie z nie ukrywanym zdumieniem. Wreszcie Buk podał rękę Airze i pomógł jej wejść na pancierz. Nett wciągnął ją do włazu. W ślad za Aira poszli Ramanian i Leo. Wtedy odetchnąłem głęboko, ostatni raz rozejrzałem się po spokojnej polance ze strumykiem, obejrzałem sobie sześcienne budowlę i zerknąłem na świeży nasyp. Następnie sam wgramoliłem się do wieżyczki i zatrzasnąłem nad sobą klapę.

W sterowni panowała ciasnota. Ludzie podzielili się rozłożonymi fotelami. Siedziałem sam przed głównym ekranem, mając za plecami elastyczne oparcie.

Jeszcze raz strzeliłem krótko z dyszy czołowych. Odległość wciąż była zbyt mała. Nie chciałem ryzykować.

Kolorowa szachownica stacji znalazła się na przecięciu nitek celownika. Statek płynął po orbicie, oddalając się od konstrukcji, która stanowiła przedmiot uzasadnionej dumy ziemskich inżynierów.

Dość. Wyciągnąłem dłoń i zatrzymałem ją przez moment w powietrzu, nad pulpitem. Następnie szybko, jakbym się bał rozmyślić, uderzyłem w czerwony klawisz spustu.

Po raz ostatni w ciągu tej wyprawy weszło przed nami potworne słońce anihilacji. Tym razem rozpadała się w nicość ziemską stacja badawcza. Wszelkie wielokrotnie ponawiane próby dostania się do jej wnętrza spaliły na panewce. Nie wolno nam było tak jej zostawić. Zawierała zbyt wiele informacji o jej twórcach. Rasa, zamieszkująca ten układ, jest w tej chwili nieliczna i najzupełniej nieciekawa wszystkiego, co dzieje się w bliższych i dalszych światach. Któż jednak może zaręczyć, że tak będzie zawsze? A przecież w końcu chodzi o istoty, które potrafiły przeprowadzić swoją cywilizację z umarłej gwiazdy do żywego układu planetarnego, a następnie skonstruować strefę Dysona. Kto wie, kiedy odezwie się w nich dziedzictwo ciekawskich poszukiwaczy?

Przestrzeń przed nami była czysta.

- Uwaga - powiedziałem, mimo woli zniżając głos - przygotować się. Schodzimy z płaszczyzny ekliptyki...

Statek szedł pełną mocą silników, z każdą sekundą oddalając się od ruin cywilizacji koggów i jej dziwacznie zorganizowanych resztek na planecie samotnych sześcianów.

- Jak to się stało? - spytałem, przerywając ciszę, która panowała od momentu unicestwienia stacji - - że opuściliście orbitę na drugiej Telmura?

- Jak to? - zdziwił się Ramanian. - Mon wam nie powiedział?

Spojrzałem w stronę Chippinga, który siedział wsparty o Netta, na położonym oparciu jego fotela, i musiałem się uśmiechnąć.

- Tak się złożyło... - mruknąłem - że nie mieliśmy okazji porozmawiać...

- Nie mogli się ode mnie niczego dowiedzieć - wyjaśnił nieco opryskliwie Chipping - bo zaraz na drugi dzień po waszym odlocie zamiast w bazie, obudziłem się w jakimś sklepiku ze szkiełkami. Kilka minut później zacząłem widzieć w tych szkiełkach bezsensowne obrazki, potem usłyszałem potworny hałas, a wreszcie po prostu sfiksowałem. Jur powiedział, że znajdowałem się w stanie szoku informacyjnego...

- Jakim cudem miałeś się zbudzić w bazie? - zdziwiłem się z kolei ja. - W jakiej znowu bazie?

- Oni zbudowali dla niego prowizoryczną, ale dobrze wyposażoną bazę na trzeciej Telmura, zanim odlecieli - wtrącił Jur. Tak jak było umówione obudził Chippinga, kiedy tylko pozostał z nim sam na sam i teraz wiedział już wszystko, co tamten zapamiętał.

- Właśnie - przytaknął ponuro Chipping. - Tylko że ktoś albo coś obudowało tę bazę taką kryształową piramidą... Myślałem, że oślepiłem, kiedy wreszcie udało mi się wyleźć na zewnątrz i spojrzałem na mój pałac. Ale wtedy byłem już chyba nieprzytomny...

- To mógł zrobić tylko ten zwariowany kogga - powiedział Nett.

A więc tak wyglądała prawdziwa geneza "informacyjnego eksperymentu" w postaci obdarzonego pamięcią wzrokową i zdolnością emitowania dźwięków ostrosłupa z pryzmatów. Twór chorego, obłąkanego koggi. Pewnie jego zmacony umysł podsunął mu wspomnienie podobnych konstrukcji, które służyły bądź miały służyć jakiemuś konkretnemu celowi i urządził sobie po prostu zabawę. Zimno mi się zrobiło na myśl, że chory, samotny, pozbawiony aparatury i narzędzi, potrafił mimo wszystko zbudować tę piramidę. Tak. Oni naprawdę umieli zbyt wiele.

- A skąd ten się tam wziął? - spytałem.

- Oni przylecieli po nas - odezwała się cicho Aira. - Taki wielki, sześcienne statek... z otwartą platformą. Wewnątrz było powietrze. Ziemskie. Uznaliśmy to za zaproszenie...

- ...i skorzystaliście z niego - dokończyłem. - Ale nie przesiadaliście się, tylko uruchomiliście silniki stacji. A przedtem, żeby zachować twarz, zdecydowaliście się jednak zostawić w badanym układzie Chippinga. Tak?

- Powiedzmy, że tak - przyznał niechętnie Krum. - Nie chcieliśmy, by przebywał w bezpośrednim sąsiedztwie tej hodowli... więc przenieśliśmy bazę na sąsiednią planetę. Stamtąd Chipping miał o wszystkim zawiadomić Ziemię... ale jak wynika z tego, co sam mówi, nie zdażył. Oni... to znaczy ten obcy statek, towarzyszyli nam, kiedy budowaliśmy bazę dla Chippinga. Może wtedy został tam także ten...

- Kogga - odpowiedziałem.

- Właśnie. Zresztą nie wiem...

- No, a wasz statek? Wiecie, że jest zupełnie zdemolowany? - spytał Jur.

Ramanian przymknął na moment oczy, po czym skinął głową.

- Tak - bąknął. - Kiedy ich jednostka podchodziła do nas, jej pilot popełnił błąd. W efekcie otarli się o nasz statek i zniszczyli go. Uznaliśmy to za wypadek...

- Ciągłe uznawaliście coś za coś - warknąłem. - Ich obiekt za zaproszenie, a rozwalenie ziemskiego statku za przypadek, nad którym oni boleli tak samo jak wy. Nic innego nie przyszło wam na myśl? A skąd wiedziałeś o czarnym słońcu i jego koordynatach? - zwróciłem się z kolei do Chippinga. - Powinniśmy ci podziękować... a już zwłaszcza oni - zrobiłem gest w stronę pozostałych.

- O czarnym słońcu?... - powtórzył z najwyższym zdumieniem Chipping. - Ja?...

Westchnąłem. Więc jednak to były tylko sny, narzucone mu przez "pamiętające" przyzaciki. Sny bywają różne. Ten akurat zawierał szczyptę przydatnych informacji.

Odwróciłem się od Chippinga i omiotłem spojrzeniem pozostałą trójkę.

- Rozumiem. Zostawiliście Chippinga w bazie, która natychmiast przestała być bazą - powiedziałem łagodniejszym tonem - i polecieście stateczkiem, w którym było takie świetne powietrze. Co dalej?

Dłuższą chwilę panowała cisza. Wreszcie Krum odchrząknął i powiedział:

- Zostawiliśmy stację na orbicie... widzieliśmy w dole planetę, a przy naszym włazie dalej stał ten otwarty statek. Więc...

- Nie musisz kończyć - przerwałem. - Rozumiem, że niełatwo chwalić się własnymi osiągnięciami. Mnie także wrodzona skromność nigdy na to nie pozwalała. Od momentu, w którym przekonaliście Netta, żeby nie instalował kompletu selektorów, podczas kiedy wisieleście nad gigantyczną wytwórnią blekotu informacyjnego, można się było po was spodziewać wszystkiego. Ciekawość... - zawiesiłem głos.

- Wy... wiecie? - wyszeptala Aira. Szybko odwróciłem twarz, żeby nie zobaczyła mojego uśmiechu.

- Domyślamy się - odpowiedziałem spokojnie. - A jak was ściągnęli do tego pudełeczka nad potokiem?

- Wylądowaliśmy tam po prostu... w tym ich statku. Wysiedliśmy, a on odleciał. Zobaczyliśmy, że tuż obok nas stoi taki sześcian, a potem odkryliśmy, że możemy przechodzić przez jego ściany jak przez powietrze...

- Potraktowali was lepiej niż niektórych swoich - mruknąłem. - Mieliście polankę i strumyczek. Nie musieliście tłuc głowami o ściany...

- Co?

- Nic, nic. Nie próbowaliście się wydostać?

Znowu dłuższą chwilę nikt nic nie mówił.

- Widzisz - powiedział w końcu z westchnieniem Krum - my dopiero od Netta dowiedzieliśmy się, że byliśmy zamknięci. Mówiliśmy oczywiście o Ziemi, że wrócimy, że przylecicie po nas, ale to wszystko było jakieś... odległe, przyblakłe. Wyłączyliśmy swoje kompony, zostawiając tylko jeden, Ramaniana, żeby uniknąć wprowadzenia w błąd tych, którzy po nas przybędą. Pojedynczy sygnał jest bardziej czytelny. Ale nie czuliśmy obecności tej kopuły... po prostu nie przychodziło nam na myśl, że jesteśmy więźniami...

- A ludzie? - spytałem, czując, że przez plecy przebiega mi zimny dreszcz. - Wasi bliscy?

- Nie...

- Nikt?

- Nie... tam był taki... taki...

- Spokój - pomógł Kramowi Ramanian. - Tam był po prostu spokój...

- Miałeś z nami trochę zabawy - powiedziałem, jakiś czas później do Jura, korzystając z tego, że wszyscy inni zajęci byli jedzeniem. - Nasłuchałeś się, co?

Zaśmiał się krótko.

- Ależ skąd. Wiedziałem, z kim lecę. Słyszałem dużo o tobie... a co do Netta... widzisz, byłem w komisji, która badała jego sprawę. Wiesz, zaraz potem, kiedy pełniąc dyżur wyłączył na jakiś czas selektory...

Trwało chwilę, zanim się otrząsałem i mogłem wydobyć głos.

Syknałem. - Masz jeszcze coś

- Pięknie dla mnie?

- Nie złość się... - powiedział pojednawczym tonem. - Tak się złożyło, że przed odlotem rozmawiałem o tobie i o nim z Boukinem. Powiedział mi, czego mogę się spodziewać... i na co powinienem uważać. Więc uważałem.

- Na Netta... i na mnie?

- Tak.

- Ślicznie. I co?

- Nic. Było dobrze. Bardzo się cieszę, że mogłem polecieć właśnie z wami - zwrócił do mnie twarz, która przybrała wyraz zabawnej powagi. - Gdyby inni ludzie latali do gwiazd, można by z nimi umrzeć z nudów. Chociaż... - zastanowił się przez chwilę - czy w ogóle inni ludzie mogliby latać do gwiazd? Może gdyby nie tacy jak ty i Nett, dotąd nie wyściubilibyśmy nosa za Księżyc?

- Ja także - burknałem kwaśno - czy tylko Nett?

- Nie. Ty także.

Chciałem mu jeszcze coś powiedzieć, ale poczułem nagle lekki dotyk czyjejs dłoni na ramieniu. Odwróciłem się i tuż nad sobą ujrzałem twarz Airy. Przez mgnienie poczułem na policzkach muśnięcie jej włosów. Następnie wyprostowała się nieco.

- Lan, przykro mi... - wyszeptała.

Milczałem. Przebiegło mi przez głowę wszystko, co myślałem o niej i o sobie. Ale słowa, które chciałem wypowiedzieć, uleciały jak zbłąkane informacje i w żaden sposób nie mogłem ich ściągnąć, uporządkować...

- Ach, Airo - odezwał się nagle lekkim tonem Jur - byłbym zapomniał. Mam coś dla ciebie...

Sięgnął do kieszeni bluzy i po chwili podał jej zgięty, niemal przepołowiony automacik kosmetyczny. Przyjęła go bezwiednie i przyjrzała mu się wzrokiem świadczącym, że patrzy na coś, co widzi po raz pierwszy w życiu. Nagle zrozumiała. Jej twarz wypogodziła się w nikłym uśmiechu, który jednak natychmiast ponownie ustąpił miejsca wyrazowi powagi.

- Nie przyda się już na nic - ciągnął swobodnie Jur. - Pomyślałem jednak, że może zechcesz go zachować na pamiątkę...

Skinęła nieznacznie głową, po czym, trzymając nadal automacik na otwartej dłoni, znowu zwróciła się w moją stronę.

- Nie wiem, jak to się stało, Lan - szepnęła. - Przecież naprawdę cię

kochałam... ale Nett... - głos uwiązał jej w krtani.

Nett. Właśnie to imię było mi potrzebne. Uśmiechnąłem się szeroko.

- Nic nie mów, dziewczyno - mój głos brzmiał ciepło. Już byłem opanowany. - To zawsze jest trochę nieprzyjemne, kiedy ludzie się rozchodzą - powtarzałem teraz swoje myśli, które nagle powróciły i ułożyły się w logiczną konstrukcję. Czy kłamstwo zawsze jest tylko kłamstwem i niczym więcej?

- Lan?...

- Niczego nie mam wam za złe - odpowiedziałem na nie postawione pytanie. - Bardzo cię lubię. Zresztą Netta także...

Przyglądała mi się chwilę badawczo. Wreszcie potrząsnęła głową.

- Ale ja nie mogę się z tym uporać - wykrztusiła. - Ty... To znaczy ja i Nett... a ty nas uratowałeś...

Wstałem. Obszedłem fotel i położyłem jej ręce na ramionach. Patrzyła we mnie szeroko otwartymi oczami. Musiała jednak wyczytać w moim wzroku coś, co ją przekonało, bo niedostrzegalnie jej twarz zaczęła się zmieniać. W kącikach warg ponownie pojawił się uśmiech.

- Nett was uratował - stwierdziłem. - Nie ja. Nie wiem, jakim cudem tak się stało i nie należy wyciągać z tego żadnych wniosków, ale to jemu przede wszystkim masz do zawdzięczenia, że teraz możesz nie móc uporać się sama ze sobą - zaśmiałem się. - Ładnie mi się to powiedziało, prawda?

Uśmiechnęła się odrobinę szerzej.

- I zostaniemy przyjaciółmi? - spytała z nutką przekory.

Poczułem, że na twarz nasuwa mi się jakiś cień, jakby chmura przysłoniła słońce.

- To trochę inna historia - odparłem wymijająco, siląc się na pogodny ton.

Nie zauważyła niczego.

- Ja, ty, Nett i... Avona? - spytała, przekrzywiając kokieteryjnie główkę.

Chmura rozproszyła się.

- To znowu trochę inna historia... - odwróciłem się, żeby poszukać wzrokiem Netta.